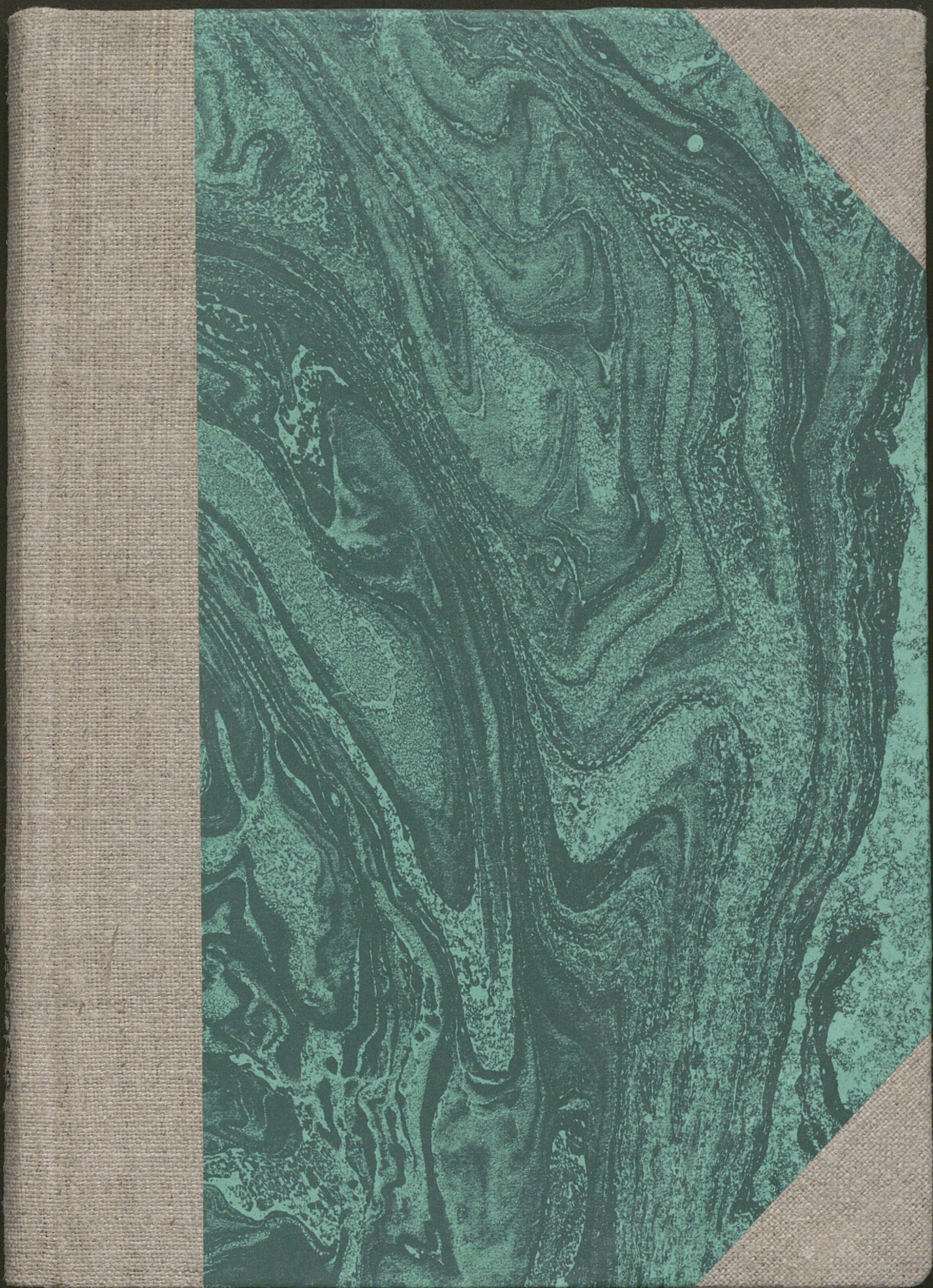
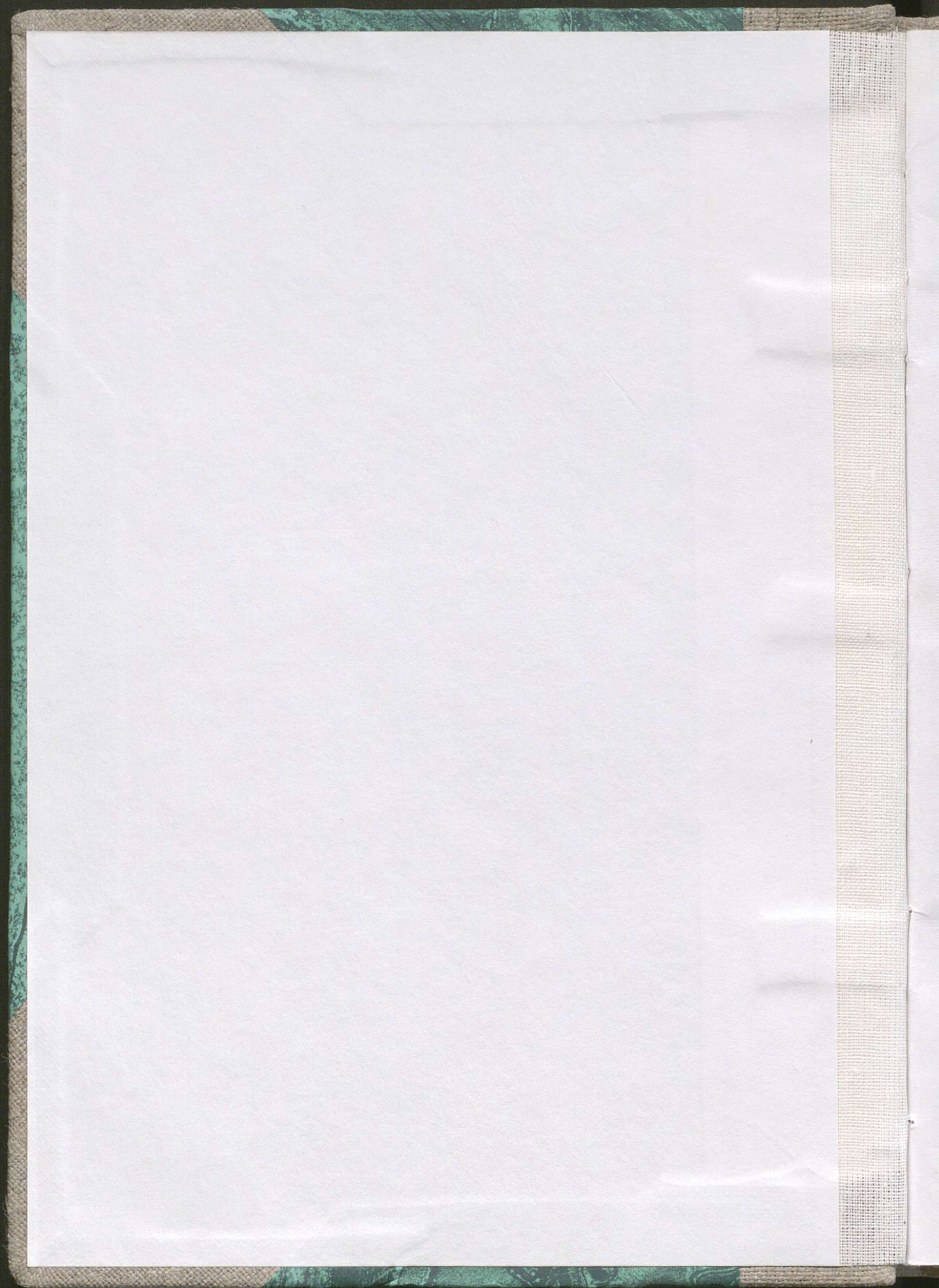




II 630.596

PRZEŻYCIA WIĘŹNIA POLITYCZNEGO



BOHATEROWIE czy Zdrajcy?

Bohaterowie czy zdrajcy?

Bohaterowie czy zdrajcy?

Seria Warszawska Tom III

Wydawca: **Jan Powierza**

„WYDAWNICTWO NOWOCZESNE SP. Z O. O."
WARSZAWA, 1940.

Druk. NKW. Warszawa, Marszałkowska 3. Centr. tel. 8.02-40

Stanisław Brochwicz

Bohaterowie

czy

zdrajcy?

Wspomnienia
więźnia politycznego

Wszelkie prawa zastrzeżone.



II.630.596



1949 D 523/2



Powracam myślą poza siebie, daleko wstecz oglądam się za siebie i staram się odnaleźć te momenty mojego życia, które zaprowadziły mnie za więzienne kraty. Staram się odnaleźć w moim życiu te chwile, które upoważniły rząd polski do postawienia mi straszliwego i jakże bolesnego zarzutu, iż jestem na usługach obcego mocarstwa, iż jestem zdrajcą. I nie tylko zdrajcą! Szpiegiem!!!

Chcę odnaleźć w moim życiu te chwile, które wskazywałyby na to, iż ja — pisarz i publicysta — stałem się agentem obcego mocarstwa, iż moje postępowanie pozwalałoby rządowi Składkowskiego i Becka powziąć podejrzenie, jakobym pozostawał na usługach III. Rzeszy już długi czas przed moim aresztowaniem. Przeglądam w mej pamięci każdy fakt, wspominam każde wydarzenie, porządkuję i oceniam wszystko, co się działo ze mną w ciągu ostatnich kilku lat — chcę poddać krytyce i analizie każdy mój krok. Zapytuję siebie, jakie postępki mojego życia dały prawo tym ludziom podejrzewać mnie, iż uprawiam szpiegostwo na rzecz Trzeciej Rzeszy, iż nie tylko pisarzem jestem, ale też jednocześnie agentem wojennego wywiadu obcego mocarstwa?!

I gdy czynię ten przegląd, gdy wszystko po kolei rozważam, dochodzę do wniosku, iż zanim odpowiem sobie, muszę dwie rzeczy rozróżnić i rozważyć poważnie: czy pytanie w związku z moją osobą „winien albo niewinien“ odnosi się do Polski, czy też do rządu, który owej strasznej chwili losami Polski kierował. Bo przede wszystkim te dwa pojęcia należy poważnie rozróżniać. Całkiem co innego stanowiło Polskę w latach 1937—39, a całkiem co innego rząd polski, na czele którego stali panowie Składkowski i Beck, a ponad którymi w chmurach unosiła się „legendarna“ (prawdziwie legendarna!) postać „marszałka“ i „spadkobiercy“ Rydza-Śmigłego. Nikt mi zaprzeczyć nie może, iż między narodem polskim a je-

go fatalnym „wodzem“ istniała wielka, niesamowita różnica. Jeśli rozważymy sytuację, jak to następnie zamierzam uczynić, zobaczymy dziwny, niesamowity, bezprzykładny obraz: przepaść, szeroka, na miarę historii rozwarta przepaść; po jednej stronie naród stoi z usłużnie podaną przez Anglię przepaską, a po drugiej „wódz“ tego narodu, otoczony kliką żądnych władzy ludzi, stanowiących rząd polski. O nich chcę mówić przede wszystkim, ich duchowe oblicze trzeba najpierw odsłonić, aby móc zrozumieć, czemu ci ludzie stali po drugiej stronie przepaści i czemu ci ludzie tak zawzięcie, tak zapamiętale swój naród w przepaść ciągnęli.

Ja myślę, że wystarczyła by krótka odpowiedź. Myślę, iż za wszystko wystarczyć powinny ich czyny, popełnione w czasie między 1 a 20 września 1939. Swym postępowaniem oni sami wystawili sobie świadectwo. Wcale nie trzeba dalej wstecz sięgać, nie trzeba przytaczać niezliczonej ilości faktów, które złożyły się na wielką i ostateczną katastrofę państwa polskiego. Wystarczy, gdy się rozważy to wszystko, co uczynił rząd polski w dniach krwawej i jakże bardzo niepotrzebnej, bezsensownej wojny z Niemcami, do której ci ludzie doprowadzili z całą premedytacją.

Jak zachowała się rządząca klika podczas wojny, jest już rzeczą powszechnie wiadomą. Samoloty i samochody stały w pogotowiu, konta w zagranicznych bankach wykazywały miliony funtów i dolarów, wille i domy również od dawna zakupiono na Riwierze i w Anglii. Na cóż jeszcze więcej mieli czekać ci ludzie, dla których losy narodu polskiego były całkowicie obojętne?!

— — — — — — — — — — —

I oto, gdy żołnierz polski ginął na posterunku, gdy usiłował nawiązać walkę z najsilniejszą armią świata, gdy toczył krwawy i beznadziejny bój, którego w istocie nigdy nie chciał toczyć, do którego stanął jedynie na rozkaz swojego „rządu“ — co czynią ci ludzie? Czy również swe życie narazili, czy również znaleźli się w szeregach tych, którym uprzednio potrafili perfidnie wytłumaczyć, iż jedynym pragnieniem Niemiec jest całkowita zagłada narodu polskiego, że to właśnie Niemcy prowokują wojnę z Polską? O tej „prowokacji“ ze strony Niemiec będę jeszcze poniżej mówił, ta sprawa również wymaga przynajmniej krótkiego omówienia.

Nie. Ci ludzie udali się gdzie indziej. Walczące dywizje pozostały na łasce losu, który zresztą okazał się bardzo wspaniałomyślny, dzięki dżentelmeńskiej postawie zwycięzców. Oni mieli od



I oto, gdy żołnierz polski ginął na posterunku...

dawna przygotowaną marszrutę. Oni nie czekali. Nie chcieli czekać! Nie potrzebowali dłużej czekać! Po co?! Przecież chodziło jedynie o to, aby polskie dywizje wpędzić w obłąkaną, bezsensowną i beznadziejną wojnę z Niemcami. Przecież tylko tego sobie życzyli ci, którzy udzielili Polsce owych sławnych „gwarancji". Jak już rzekłem, wodzowie mieli gotową marszrutę. Nie na front prowadziła ta marszruta, nie do tych, którzy owej strasznej chwili umierali w okopach. Cóż mogli ich obchodzić ci ludzie teraz, gdy się już wojnę rozpętało?! Droga „wodzów" prowadziła gdzie indziej. Na południe. Wodzowie polscy rozpoczynali właśnie swą wspaniałą wycieczkę za granicę. Po słońce południa... Dosyć się napracowano, dosyć się napocono w trudach rządzenia. Teraz nareszcie, w spokoju, można będzie spożywać owoce owego „rządzenia".

Prezydent państwa, jak się teraz dopiero okazało, w ogóle nie rozstawał się ze szwajcarskim paszportem. Nosił go zawsze w kieszeni. Ot, na wszelki wypadek. Marszałek Nr 2, Śmigły-Rydz, który takie huczne mowy wygłaszał jako pierwszy żołnierz armii polskiej, nawet nie próbował związać swych „historycznych" i wodzowskich losów z losami swej nieszczęsnej armii. Ten „wspaniały żołnierz" nie szukał śmierci na polu walki, nie pośpieszył do swych krwawiących dywizji — szybko, jak tylko można było najszybciej, szukał schronienia poza granicami kraju. Ogarnia uczucie wstydu i odrazy, gdy się jeszcze pomyśleć musi o innych ludziach, którzy stanowili ów wspaniały „żelazny" polski rząd. Runęło w przeciągu trzech tygodni całe państwo — zawaliło się jak domek z kart. Padło w gruzy państwo, którego losami kierowali ludzie w rodzaju Mościckich, Becków i Śmigłych... I czyż mogło być inaczej...?! Pod potężnymi razami niemieckich pancernych dywizji rozpadła się polska armia. Opuszczona, zdemoralizowana szybkością i bitnością przeciwnika, całkowicie zdezorganizowana — w ucieczce i w poddaniu się szukała rozwiązania tej tragicznej zagadki, wobec której postawili ją jej wspaniali wodzowie...

— — — — — — — — — — —

Dla Europy — tej Europy na zachód od Renu — losy Polski były i będą, jak zawsze zresztą, całkowicie obojętne. Tę „demokratyczną" Europę też nic nie obchodzi, jakie są losy polskiego żołnierza, podobnie jak nie obchodziło jej i to, czy ten żołnierz gdzieś tam na wschodzie, nad Wisłą i Bugiem, umiera... Polska spełniła swą rolę, którą przeznaczyli jej panowie Churchill i Chamberlain, Śmigły i Beck i ulubieniec znudzonych dam, rozkoszny mister An-

thony Eden. Polska wojowała. Co prawda wiele mówiło się również o pokoju z Niemcami. Ale dopiero o pokoju w Berlinie, który podyktuje się Niemcom, pokonanym i rozbitym. Generalissimus i bohater spod Kijowa, z łaski niedołężnego Prezydenta i własnej kliki „marszałek“ Śmigły-Rydz, wybierał się do Berlina jako... zwycięzca, aby tam podyktować Trzeciej Rzeszy warunki pokoju. Przynajmniej tak zapowiadał to milionom nieszczęsnych polskich analfabetów, którym wetknięto broń w rękę i rozkazano maszerować na Berlin, którym opowiadano najpotworniejsze bzdury o niemieckiej nędzy, którym przedstawiano niemiecką armię jako beznadziejnie słabą... Wstyd powtarzać wszystkie brednie, które opowiadano tym ludziom o bezsilnej, wewnętrznie „rozprzężonej“ armii niemieckiej. Niemieccy żołnierze, z którymi rozmawiałem na froncie, opowiadali mi z uznaniem i współczuciem o niebywałych faktach, gdy polska kawaleria szarżowała z szablą w ręku na niemieckie stalowe fortece, o tym, jak polscy żołnierze spokojnie czekali z najeżonymi bagnetami na zbliżające się pancerne oddziały niemieckie, aby te czołgi nadziać (!!!) na bagnety...! Nic dziwnego. Przecież im długo i starannie wbijano w głowę, iż te straszne niemieckie czołgi są zrobione z dykty i tylko dlatego tak groźnie wyglądają, bo dobrze są pomalowane...

W czyich oczach ci nieszczęśni żołnierze znaleźli uznanie? W oczach swych niemieckich przeciwników, w oczach niemieckich dowódców! Gdy właśni wodzowie, spokojnie i wygodnie, zaopatrzeni w ogromne środki, wylądowali w zagranicznych uzdrowiskach, niemieckie dowództwo wyraziło uznanie dla dzielności polskiego żołnierza, a Kanclerz Adolf Hitler w swej mowie z 20 września z uznaniem mówił o polskim żołnierzu i z najwyższą pogardą o polskim dowództwie. A już z zupełną odrazą o polskim rządzie.

Nasuwa się logiczne pytanie: Czy ci ludzie, którzy posłali armię polską w bój, wiedzieli przede wszystkim o tym, przeciw komu wyruszają polskie dywizje? Czy mieli pojęcie o sile i bojowości armii niemieckiej, o jej duchu zwycięstwa, o wspaniałym przygotowaniu technicznym?

— — — — — — — — — — —

Ile był wart polski sztab generalny, okazało się podczas wojny. Ale przecież ten sztab istniał, przecież coś się tam jednak robiło, przecież musiano zastanowić się, zanim powzięto decyzje. Nie jestem wojskowym, nie posiadam żadnego przygotowania

w zakresie wiedzy wojskowej, ale gdy się przyprowadzi zupełnego laika, postawi go przed mapą Europy wschodniej sprzed 1.IX.1939 i zapyta go o strategiczne położenie Polski, można łatwo domyśleć się, jaka będzie odpowiedź. A jeśli się jeszcze temu laikowi objaśni, że nad zachodnią granicą jest skoncentrowany cały polski przemysł, tak ważny dla nowoczesnej wojny, to... Nie, doprawdy nie umiem pojąć ani zrozumieć, o czym myśleli ci wojenni panowie, z „genialnym" strategiem i wodzem na czele — o czym myśleli oni, gdy stali przed mapą Polski...?

Ogarnia zdumienie — i wstyd — i odraza — i uczucie żalu, że ci ludzie dziś bezkarnie paradują po zagranicznych uzdrowiskach.

A więc powtarzam moje pytanie: czy rząd polski wiedział o tym, iż wszelka walka z Rzeszą Niemiecką przyniesie w rezultacie pogrom Polski, że **armia polska** stoi na z góry straconej pozycji, że ta armia, jeśli podejmie wojnę z Niemcami, **ulegnie zagładzie...?**

Podejmuję raz jeszcze to pytanie, ponieważ poczuwam się do obowiązku udzielenia nań odpowiedzi, ponieważ **mogę i chcę** na to pytanie odpowiedzieć.

Tak jest! Rząd polski był doskonale poinformowany o sile i bojowym przygotowaniu armii niemieckiej. Rząd polski wiedział z góry o nieuniknionej porażce swej armii. Rząd polski wiedział dokładnie, iż nieszczęsna armia polska w starciu z armią Trzeciej Rzeszy musi ulec całkowitej zagładzie.

— — — — — — — — — — —

W roku 1938 miałem okazję rozmawiać z polskim wojennym attaché w Berlinie, pułkownikiem Szymańskim. On był zaproszony na manewry armii niemieckiej i podzielił się ze mną swoimi wrażeniami. Mówił o sile niemieckich zmotoryzowanych oddziałów, mówił o potędze niemieckiego lotnictwa, o niezwykłej sprawności bojowej armii niemieckiej i o precyzji dowództwa. Widziałem wówczas, iż polski attaché wojskowy znajduje się pod bardzo silnym wrażeniem, które wywarły na nim manewry armii niemieckiej.

— Panie pułkowniku — zapytałem wówczas — a jak wyglądałoby porównanie z armią polską albo francuską?

— Nie ma w ogóle żadnego porównania! — zawołał wówczas mój rozmówca. — To żelazna pięść, która może dziś wszystko w Europie rozbić! Niemcy są wspaniale przygotowani militarnie



... największa potęga lotnicza świata,...

i ja o tym wciąż przypominam w Warszawie. Oni tam są dobrze przeze mnie poinformowani.

— Dlaczego?! — zawołałem zdumiony — przecież nasze stosunki z Niemcami są z każdym dniem lepsze i ja w każdym razie nie przypuszczam, aby miało kiedykolwiek przyjść do zbrojnego konfliktu z Rzeszą Niemiecką.

— Hm... oczywiście — uśmiechnął się pułkownik Szymański bardziej do własnych myśli, niż do mnie — oczywiście, że nie powinno dojść do żadnego konfliktu. Ale ja, wie pan, tak, ot, na wszelki wypadek... Niech nie mówią potem, że nie wiedzieli.

Ta niezwykle charakterystyczna rozmowa dała mi bardzo wiele do myślenia. Czyżby ten człowiek nie wszystko powiedział — czyżby naprawdę liczył się z możliwością wojny między Polską a Rzeszą Niemiecką? Byłem zaniepokojony.

Tego dnia po południu moje obawy rozwiały się w rozmowie z berlińskim korespondentem „Gazety Polskiej" Kazimierzem Smogorzewskim. Ten ostatni wiele opowiadał mi o serdecznym i przychylnym nastroju wśród berlińskich kół oficjalnych w stosunku do Polski. Gdy podzieliłem się z nim moimi wrażeniami odniesionymi z rozmowy z pułkownikiem Szymańskim, mój rozmówca uśmiechnął się i powiedział: — Warszawa pod żadnym względem nie pozwoli siebie wciągnąć w awanturę wojenną przeciw Niemcom. Oni tam zbyt dobrze wiedzą, czym mogłoby się skończyć podobne szaleństwo.

Następnie Smogorzewski opowiedział mi, iż w przyszłym, tj. 1939 roku istnieje zamiar wzniesienia w Magdeburgu pomnika Marszałkowi Piłsudskiemu i że w uroczystości odsłonięcia weźmie osobiście udział sam Kanclerz Hitler. Będzie to wielka, wspaniała manifestacja sąsiedzkiej przyjaźni polsko-niemieckiej.

W styczniu 1939 roku zdarzyło mi się rozmawiać w Warszawie z majorem Kowalczykiem, lotniczym attaché polskim w Berlinie. Między jednym a drugim robrem bridża rozmawialiśmy o Berlinie, o niemieckim lotnictwie. Major Kowalczyk mówił o lotnictwie niemieckim w samych superlatywach (jak się okazało, miał rację) — oświadczył wręcz, iż jest to największa potęga lotnicza świata, że Rzesza Niemiecka jest w powietrzu nie do pokonania.

Wreszcie niezwykle znamienną rozmowę przytoczyć muszę, którą również w tym czasie prowadziłem z moim znajomym, pułkownikiem sztabu generalnego Wiśniowskim. Zajmował on bardzo poważne stanowisko pierwszego oficera sztabu. Często stykałem się z nim w towarzystwie i między nami nawiązała się nić wzajemnej życzliwości. Pułkownik Wiśniowski zaliczał się zresztą do mo-

ich przysięgłych czytelników na długo, zanim poznałem go osobiście.

Kiedyś, powróciwszy z podróży do Niemiec i Italii, spotkaliśmy się, aby pogawędzić o moich wrażeniach. W miarę jak mówiłem o tym, co widziałem w Niemczech, o panującym w Trzeciej Rzeszy duchu i porządku, twarz mojego rozmówcy stawała się coraz bardziej posępna. Zauważyłem, iż słucha mojego opowiadania nie tylko z uwagą, ale też jakby z pewnym niezadowoleniem. W pewnej chwili zwrócił się do mnie z następującym pytaniem:

— Niech pan mi szczerze powie, czy pan, jako pisarz odniósł wrażenie, że w Niemczech na wypadek wojny może wybuchnąć wewnętrzna rewolucja?

Ogarnęło mnie zdumienie. Po tym wszystkim, co mu powiedziałem o Trzeciej Rzeszy, o panującym tam powszechnym entuzjaźmie dla narodowego socjalizmu, on zwraca się do mnie z podobnym pytaniem!

Kategorycznie zaprzeczyłem możliwości jakichkolwiek rozruchów. Przeciwnie, przecież ja już niejednokrotnie podkreślałem w moich artykułach niezwykłą zwartość i wewnętrzną spoistość Rzeszy.

— Nie — zawołałem. — Na wypadek wojny Niemcy staną się wewnętrznie jeszcze bardziej zwarte, jeszcze silniejsze duchowo.

— Hm... tak pan myśli — pokiwał z powątpiewaniem głową mój rozmówca. — Na czym pan opiera te swoje kategoryczne twierdzenia?

— Panie pułkowniku, pan czytał moje artykuły — odparłem — ale one nie oddają w pełni tej niezwykłej i wspaniałej epopei, którą przeżywają współczesne Niemcy.

— Pan sam jest narodowym socjalistą, mój panie — pokiwał głową z pobłażaniem mój rozmówca.

W toku rozmowy pułkownik Wiśniowski, jeden z najbliższych współpracowników naczelnego wodza polskiej armii, nie ukrywał przede mną, iż sytuacja strategiczna Polski jest bardzo niekorzystna, ale przecież Rzesza będzie musiała prowadzić wojnę na kilka frontów, a gdy do tego dojdzie jeszcze rewolucja wewnątrz...

— Panie pułkowniku — uśmiechnąłem się — pan tak mówi, jak gdyby należało liczyć się z szybkim wybuchem wojny między Polską a Rzeszą...

— No, tego nie powiedziałem. W każdym razie mogę panu powiedzieć to, czego pan tam, w Niemczech, nie dostrzegł. Mianowi-


BIBLIOTEKA NARODOWA

cie, my wiemy na pewno, że Niemcy pierwsi wojny nie zaczną, ale gdy przyjdzie odpowiednia chwila, to się już potrafi Rzeszę zmusić do wojny.

Z tonu i dalszego toku rozmowy zrozumiałem, iż oni — t. zn. sztab — liczą się z taką sytuacją, gdy Polska będzie musiała sprowokować zatarg zbrojny z Rzeszą Niemiecką i że termin tej prowokacji nie zależy od dowództwa polskich sił zbrojnych, ale od jakichś innych czynników, o których on nie chciał, czy też nie mógł nic konkretnego powiedzieć. W każdym razie już do końca rozmowy nie udało mi się mu wytłumaczyć, iż wybuch jakiejkolwiek rewolucji w Niemczech jest absolutnie niemożliwy. On nie chciał mi uwierzyć, iż Trzecia Rzesza jest tak bardzo silnie skonsolidowana wewnętrznie. Widocznie ktoś bardziej autorytatywny zapewnił go, iż podobny nonsens jest możliwy.

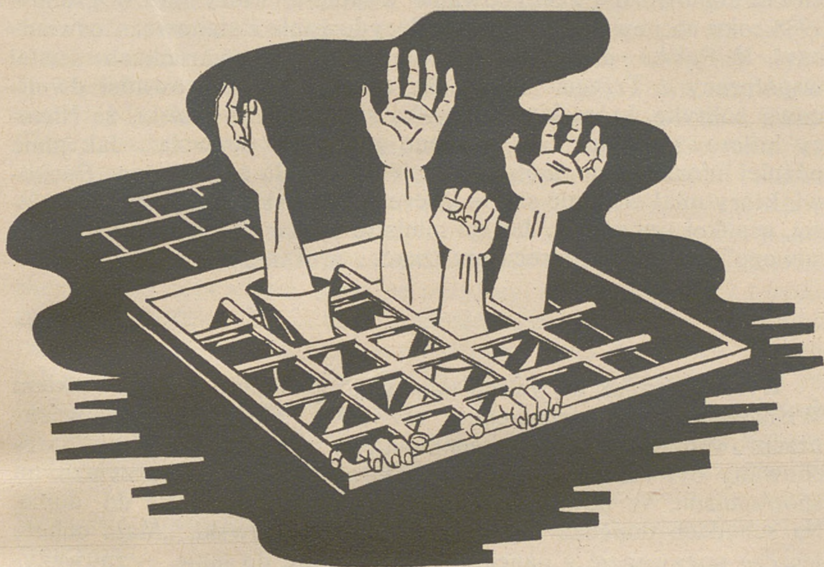
Przytoczyłem tutaj te rozmowy, które przeprowadziłem z polskimi wojskowymi w swoim czasie, aby zobrazować, jak układały się te sprawy w ogóle przed dniem 1 września 1939.

— — — — — — — — — — —

Z pułkownikiem Wiśniowskim rozmawiałem raz jeszcze w ostatnich dniach maja 1939, gdy już dla nikogo nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Polska prze za wszelką cenę do zbrojnego konfliktu z Rzeszą.

Spotkanie to miało szczególnie interesujący przebieg. Złożyło się tak, iż on i ja zostaliśmy zaproszeni do pewnego domu na kolację, podczas której rozmowy obracały się około polityki. Wszyscy obecni uważali, iż sytuacja jest szczególnie naprężona i nie kryto wcale możliwości rychłego wybuchu wojny. Zauważyłem — co mi się zresztą już ostatnio często zdarzało, iż wielu unika w ogóle prowadzenia rozmowy ze mną, inni zaś zachowywali wobec mnie daleko posuniętą rezerwę. Postanowiłem w miarę możności jak najszybciej opuścić to zebranie. W pewnej chwili zbliżył się do mnie pułkownik Wiśniowski i, korzystając z tego, że nas nikt nie słyszy, powiedział półgłosem: — Widzi pan co się tutaj dzieje, wszyscy unikają pana jak zadżumionego. Ma pan opinię zdeklarowanego germanofila. Pańska sytuacja będzie teraz z dnia na dzień coraz bardziej ciężka. Pan się zbyt poważnie deklarował jako zwolennik narodowego socjalizmu.

— — — — — — — — — — —



„Bereza Kartuska wszystkich pomieści, uspokoi i pogodzi".

Dziwni ludzie: gdy wygłaszali swe patriotyczne frazesy, zawsze w moją spoglądali stronę, jakby stąd spodziewając się protestu. I gdybym w owej chwili zaryzykował głośne oświadczenie, iż jestem zdecydowanym przeciwnikiem wojny z Niemcami, ponieważ mam na względzie dobro Polski, prawdopodobnie wyproszono by mnie z tego zebrania i ostatecznie okrzyczano wrogiem państwa. W tym czasie nie przypuszczałem ani na chwilę, że II Oddział Sztabu Generalnego uruchomił cały swój makabryczny aparat, aby zebrać przeciw mnie poszlaki, wskazujące na to, że pozostaję w tajnej służbie Trzeciej Rzeszy. Czyż mogłem przypuszczać, iż moje szczere i obiektywnie wypowiadane zdanie o Niemczech, może spowodować, że aż Drugi Oddział zajął się moją osobą, że rozpocznie się obszerne i szczegółowe badanie każdego fragmentu mojego życia, każdej znajomości, każdego kroku! Czy szczerze sądzono, iż jestem naprawdę w służbie niemieckiego wywiadu, czy

też postanowiono pod tym pretekstem usunąć z areny życia publicznego młodego i aktywnego pisarza, który mógł w pewnej chwili stanowczo i zdecydowanie wystąpić, który już w grudniu 1938 roku na pewnym zebraniu zdecydowanie i stanowczo oświadczył, iż Polska może egzystować jedynie w warunkach ścisłej współpracy z Trzecią Rzeszą, że minister Beck prowadzi dwulicową politykę, która kiedyś zemści się na losach Polski, że Niemcy hitlerowskie długo na podobne gierki nie pozwolą... Jak mnie później informowano, moje wystąpienie zostało zreferowane Beckowi, który miał wyrazić się, iż „Bereza Kartuska wszystkich pomieści, uspokoi i pogodzi". Jak na ministra spraw zagranicznych i „rasowego" dyplomatę, trzeba przyznać, zwrot niezbyt wytworny.

— — — — — — — — — — —

Wracam jednak do owego majowego spotkania z pułkownikiem Wiśniowskim i do znamiennej rozmowy, którą z nim wówczas przeprowadziłem. Jak już wspomniałem, nastrój wobec mnie nacechowany był rezerwą i chłodem. Obrzucano mnie nieprzyjaznymi spojrzeniami. W pewnej chwili postanowiłem udać się do domu. Na schodach dopędził mnie pułkownik Wiśniowski. „Mam ochotę jeszcze pogawędzić z panem" — zwrócił się do mnie — zauważyłem pańską ucieczkę i pośpieszyłem za panem. Czy ma pan ochotę na nocny spacer?" Odesłałem mojego szofera do domu i poszliśmy wolnym krokiem w kierunku Wisły. Szliśmy w milczeniu, paląc papierosy i czekając aż któryś z nas pierwszy zacznie rozmowę. Zrozumiałem, iż on chce mówić ze mną o mnie i o mojej publicystycznej działalności. Ostatnimi czasy — o czym oczywiście wiedziałem — wiele mówiło się o mnie w Warszawie, wymieniano moje nazwisko wielokrotnie wówczas, gdy mowa była o ludziach, którzy mogliby w Berlinie pozyskać utracony kredyt moralny i odbudować zaufanie do szczerych intencyj Polski wobec Trzeciej Rzeszy i mniejszości niemieckiej w Polsce, szczególnie na Śląsku, gdzie sobie długie lata bezkarnie hulał Grażyński. Czym był Grażyński dla Niemców, lepiej nie wspominać. U Polaków pan ten cieszył się zasłużoną opinią złodzieja publicznego grosza, czerpiącego pokaźne zyski z rozmaitych kombinacyj, robionych w Katowicach za pośrednictwem swojego przyjaciela, pewnego adwokata. Wielki przemysł śląski nie dawał łapówek wprost do rączki pana wojewody, ale płacił bajońskie sumy za interwencje adwokatowi Chmielewskiemu. Za to można było być pewnym, że każda interwencja pana adwokata w urzędzie wojewódzkim natychmiast zo-

stanie uwieńczona pomyślnym rezultatem. Cały Śląsk po cichu mówił o tym od szeregu lat, nikt jednakże nie ośmielił się otwarcie wskazać na szacherki pana wojewody, osobistego przyjaciela pana prezydenta Mościckiego. Wojewoda Grażyński nie darzył mnie względami. Moje artykuły o Trzeciej Rzeszy z reguły ulegały konfiskacie, a moja książka „Matki czuwają", która nic wspólnego nigdy nie miała z polityką, po cichu została usunięta z terenu Śląska. Jednym słowem, w ciągu ostatnich dwu lat, z terenu Śląska usuwano wszystko, cokolwiek opatrzone było moim nazwiskiem. Pan Grażyński po prostu nie lubił mnie. Jemu też zawdzięczam, iż po raz pierwszy posłyszałem o sobie zdanie, że jestem niemieckim agentem. Było to w kwietniu czy też maju 1938. Zetknąłem się w pewnym domu na przyjęciu po raz pierwszy i ostatni z Grażyńskim. Na dźwięk mojego nazwiska, pan wojewoda zmierzył mnie ostentacyjnie wzrokiem od stóp do głowy i zawołał: „Aha, pana chciałem od dawna już poznać. Ostatnio znów zasłynął pan jako zdobywca Austrii". Ta ironiczna uwaga odnosiła się do cyklu moich artykułów o przyłączeniu Austrii do Rzeszy. Najwyższym wysiłkiem woli pohamowałem się wówczas, aby nie powiedzieć mu, co myślę o nim i o jego zachowaniu się wobec mnie. Nie wolno mi było wywoływać skandalu ze wszechmocnym wojewodą.

— — — — — — — — — — —

Powracam jednak do mojej rozmowy z pułkownikiem Wiśniowskim. Utrwaliła mi się ona w pamięci z wielu względów, przede wszytkim zaś dlatego, iż powziąłem wówczas podejrzenia, że jestem uważany za wroga państwa polskiego. Postaram się w miarę możności ściśle odtworzyć przynajmniej fragmenty tej rozmowy, którą zresztą zanotowałem dokładnie następnego dnia w moim notatniku, lecz wszystkie moje papiery i notatki, wszystkie rękopisy i dokumenty, — jednym słowem: wszystko, cokolwiek posiadałem, zostało zabrane w dniu mojego aresztowania przez agentów II Oddziału polskiego sztabu generalnego. Jednakże ważniejsze fragmenty tej rozmowy dokładnie sobie zapamiętałem.

Przede wszystkim pułkownik Wiśniowski zapytał mnie, czy zamierzam wydać zapowiedzianą przeze mnie książkę o Trzeciej Rzeszy.

— Czytałem niedawno cykl pańskich artykułów o kwestii żydowskiej w Niemczech, drukowanych w „Falandze". To część pańskiej książki, nieprawdaż?!

— Tak jest. Mam nadzieję wydać moją książkę w połowie lipca. W ciągu najbliższych dwu tygodni mam nadzieję ostatecznie uporać się z tą robotą.

— Ja jednak nie radziłbym panu z tym śpieszyć. Jeśli pan tę książkę wyda, to spali pan za sobą wszystkie mosty, cała opinia zwróci się przeciw panu, a książka i tak znajdzie się na pewno na indeksie. Z tych kilku fragmentów wnioskuję, że książka jest bardzo przychylna dla Niemiec.

— Przede wszystkim dla narodowego socjalizmu i dla osoby Adolfa Hitlera, panie pułkowniku — wtrąciłem.

— Panie, w teraźniejszych czasach to wszystko jedno — odparł mój rozmówca — Niemcy czy Hitler, on tam sam rozstrzyga o wszystkim.

— Chwała Bogu, że pan sobie z tego zdaje sprawę — uśmiechnąłem się ironicznie — toteż należałoby się z nim jak najprędzej dogadać. Z człowiekiem tej miary co Kanclerz Rzeszy nie będzie to trudne. Oczywiście gdy się ma dobrą wolę!...

— Co pana gniewa w polskiej polityce?

— Przede wszytkim dwulicowość i bezczelność Becka. Wybaczy pan, pułkowniku, wiem że to pański kolega i towarzysz broni, ale inaczej tego nazwać niepodobna. Przecież cała Europa wie o tym, że Polska już we wrześniu ubiegłego roku gotowa była stanąć po stronie zachodnich „demokracji" i nie zdemaskowała się tylko dlatego, iż Chamberlain sobie tego nie życzył. A wie pan, dlaczego sobie tego nie życzył? Bo był niedostatecznie gotowy. Rozumie pan?! Anglia nie jest jeszcze gotowa, aby podjąć ostateczną rozprawę z hitlerowskimi Niemcami.

Na ustach mego rozmówcy dostrzegłem uśmiech: — No, dobrze, ale skoro Anglia będzie gotowa, to sytuacja nasza będzie w stu procentach pewna. Chamberlain chce po prostu wtedy rozpocząć wojnę, gdy będzie miał całkowitą pewność, iż wygra wojnę przeciw Niemcom. Nie można mu tego mieć za złe. Jak również nie można mieć za złe Beckowi, że pragnie, aby Polska znalazła się w obozie zwycięzców.

— Panie pułkowniku, proszę sobie dobrze zapamiętać moje słowa: **współczesne Niemcy są nie do pokonania.**

— Na czym pan opiera to swoje twierdzenie?

— Na dokładnych i wszechstronnych obserwacjach przejawów życia publicznego w Trzeciej Rzeszy. Nie, panie pułkowniku,

Niemcy pobić niepodobna, ponieważ Niemcy to narodowy socjalizm a idei nie można zniszczyć pieniądzem czy kulą. Zresztą Beck wybrał dla Polski bardzo nieszczególną rolę, nie można być dumnym z naszej polityki zagranicznej. Nie wiem, co panu Beck opowiada o swoich rozmowach z Hitlerem, ale ja panu jedno powiem, choć nigdy nie rozmawiałem z Kanclerzem: to człowiek, który nie pozwoli z sobą długo igrać bezkarnie i nie da się zwodzić pod żadnym pozorem. Beck powinien o tym dobrze wiedzieć. Niech pan doradzi swojemu przyjacielowi, aby przestał igrać z ogniem. Obiady u angielskiego króla skończą się, gdy się przestanie być polskim ministrem, albo gdy się zostanie ministrem... na wygnaniu!

— Co pan powiedział?!

— Powiedziałem prawdę. I przyjdzie dzień, że pan sobie przypomni moje słowa.

— To brzmi prawie jak proroctwo — powiedział Wiśniowski i w jego głosie zabrzmiała nuta ironii. — Wyobraża pan sobie, że gdyby wybuchła wojna z Niemcami, ponieślibyśmy aż taką klęskę, iż rząd musiałby uciekać z kraju?... Nie, panie, tu się pan zagalopował. Niemcy wprawdzie są obecnie dość silni, ale nie aż tak potężni, aby położyć kres istnieniu Polski! A co do polityki Becka, to...

— Muszę jeszcze dodać — wtrąciłem — iż uważam ją ze bezczelną, ponieważ głosi on w kraju na wszystkie strony, iż jest wykonawcą testamentu Wielkiego Marszałka. Gdyby nie te bajki, które rozdmuchują teraz do ogromnych rozmiarów, ludek warszawski już dawno powybijałby okna w rozkosznym pałacu naszego ministra spraw zagranicznych. To właśnie bezczelność!

— Przyszłość pokaże, czy pan miał rację. Zresztą, niech pan nie sądzi, że my — rozumiałem w tym jego „my" — sztab generalny — patrzymy z zadowoleniem na burzę, która się teraz rozpętała.

— Którą Beck rozpętał — poprawiłem. — Słyszałem, że między Śmigłym a Sosnkowskim istnieje poważna różnica zdań. Podobno generał Sosnkowski sprzeciwia się dalszemu zaostrzaniu sytuacji, uważając, iż Polska nie jest zdolna do samodzielnej wojny z Niemcami.

— My też nie będziemy żadnej wojny samodzielnie prowadzili. Wspólnie z Anglią, Francją, Rosją i Litwą musimy tę wojnę wygrać.

— Nawet wtedy przegramy ją, panie pułkowniku.

— Oho! Pana za sianie defetyzmu powinni izolować — uśmiechnął się mój rozmówca — i obawiam się, że tym się skończy, iż

pana zamkną. Niech pan będzie ostrożny, czasy są szczególnie gorące, a pan sobie poczyna zbyt śmiało. Panie, chcę panu zadać pewne pytanie.

— Proszę.

— Czemu jest pan tak absolutnie pewny zwycięstwa Niemiec w przyszłej wojnie? Na czym opiera pan swe twierdzenie?

— Powiedziałem już panu, pułkowniku, że mój pogląd jest ściśle związany z poczynionymi w Niemczech obserwacjami. Te Niemcy, które ja poznałem, nie mogą **żadnej** wojny przegrać!

— Czy upoważnia mnie pan do powtórzenia tych słów komuś z moich przełożonych?

— Wiem, kogo pan ma na myśli i nie tylko upoważniam pana, ale gdy trzeba będzie, powtórzę to osobiście.

— Chętnie doprowadziłbym do podobnej rozmowy, ale jest to wykluczone. Rozumie pan?... Nie mogę panu, niestety, nic więcej powiedzieć, ale taka rozmowa jest obecnie wykluczona ze względu na pańską opinię. Pewne czynniki o specjalnym znaczeniu nigdy nie pozwoliłby na to, aby pan rozmawiał. Zresztą byłoby to w obecnej sytuacji zupełnie bezcelowe. Zaszliśmy zbyt daleko.... A panu radzę być ostrożnym. Na pana już zwrócono uwagę.

— — — — — — — — — — —

Powróciłem do domu pod silnym wrażeniem tej rozmowy. Zrozumiałem, iż między Polską a Niemcami dojść musi do konfliktu, że jakieś tajemne siły pchają Polskę w objęcia śmierci... Dla mnie osobiście nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż wojna z Rzeszą oznacza niechybną śmierć. Wprawdzie nieprzytomna propaganda krzyczała, iż 35-milionowy naród nie pozwoli siebie łatwo połknąć, ale nie łudziłem się ani przez chwilę, jaki będzie rezultat tej wojennej hecy. Przede wszystkim w Warszawie nie chciano pamiętać, iż 35-milionowe państwo nie znaczy to samo, co: naród. Dla paru żydków robiących polską propagandę państwo stanowiło to samo pojęcie co i naród. Niemcy, Rusini, Ukraińcy i Żydzi stanowili blisko 40 procent tego 35-milionowego „narodu". Ale z tym nikt nie chciał się liczyć. Powiedziano sobie „trzydziestopięciomilionowa Polska" i nikt nie chciał wiedzieć, czy w tej imponującej liczbie mieszczą się miliony Niemców, Rusinów, Ukraińców, Białorusinów, których można ubrać w żołnierski mundur, ale którym trudno wmówić, że się powinni bić i umierać w walce z Niemcami. Wreszcie 3½ miliona żydów, którzy w żadnym wypadku nie



... Oni parli Polskę do wojny z Niemcami, oni też już na wiele miesięcy przedtem rozpoczęli swą pasożytniczą działalność, uprawiając spekulację i wyzysk...

mogli być Polakom pomocni — podobnie jak wszędzie stanowili oni i w Polsce (szczególnie w Polsce!) element rozkładowy. Oni parli Polskę do wojny z Niemcami, oni też już na wiele miesięcy przedtem rozpoczęli swą pasożytniczą działalność, uprawiając spekulację i wyzysk, tak łatwe w czasie przedwojennej gorączki. O zażydzeniu Polski nie potrzebuję chyba tutaj wspominać. Zbyt często gumowe pałki polskiej policji spadały na głowy polskiej młodzieży, manifestującej przeciw wszechwładnie panującemu w Polsce żydostwu. Zbyt wiele setek trupów padło w małych miasteczkach, gdzie doprowadzony do ostateczności polski chłop z kło-

nicą w ręku chciał uwolnić się spod żydowskiego jarzma. I cóż z tego, że pan Składkowski jednego czy drugiego drobnego handlarza żydowskiego posłał do Berezy Kartuskiej za to, że ów handełes pobierał o pięć groszy więcej za kilogram ryby czy cukru?! Gangrena rozwijała się bez przeszkód. Stuprocentowy, klasyczny żyd, generał Jakub Krzemieński (!) zasiadał od wielu lat na fotelu prezesa najwyższej izby kontroli państwa. Drugi, równie wspaniały żyd, minister skarbu Tadeusz Grodyński (!) był motorem wszystkich „ekonomicznych“ poczynań rządu. Zabrakłoby miejsca na wymienienie wszystkich Mondów, Reichmanów, Gruberów, Szereszewskich, Goldklangów, Hofmanów itp. „Polaków“. Warszawscy współwyznawcy paryskiej żydówki m-me Składkowskiej nadawali ton życiu publicznemu Polski.

Zresztą wszystkie dziedziny życia publicznego Polski znajdowały się pod bezpośrednim albo pośrednim wpływem żydów. Ostatnio rząd polski podjął pozorną akcję odżydzenia, był to jednak jedynie trick, mający na celu przeciwdziałanie szerzącemu się gwałtownie narodowemu socjalizmowi. Trzeba przyznać, iż ideologia narodowo-socjalistyczna znajdowała wśród szerokich mas społeczeństwa polskiego wielki posłuch i cieszyła się ogromną popularnością. Niejeden biedny chłopek czy urzędnik powędrował do więzienia za to jedynie, iż doprowadzony do ostateczności, w porywie rozpaczy zawołał do eksploatującego go żyda-pasożyta: „Czekaj ty, przyjdzie Hitler, to on wam pokaże!“ Nienawiść względem żydów i stosowanych przez nich metod bezwzględnego wyzysku w ciągu ostatnich paru lat szła w parze z gwałtownie szerzącą się ideologią narodowo-socjalistyczną. Rząd stojący na usługach londyńskich Mondów i Melchettów podjął sprytną akcję, zresztą w stylu angielskiego Intelligence Service. Poczęto głosić konieczność odżydzenia polskiego życia publicznego, poczęto „zastanawiać się“ nad wynalezieniem nowych form społeczno-ekonomicznych, które miałyby w przyszłości pozwolić Polakom na swobodne odetchnięcie w jarzmie żydowskiego kapitału i żydowskiej przebiegłości. W ten sposób postarano się zmniejszyć w tej dziedzinie atrakcyjną siłę narodowo-socjalistycznej propagandy. Żydzi patrzyli zresztą na całą sprawę z ogromnym spokojem, wiedziano bowiem, iż jest to jedynie „zasłona dymna“ przeciw szerzącym się gwałtownie sympatiom ku narodowemu socjalizmowi. Szerokim masom wmawiano, iż aby uwolnić się od żydów, nie koniecznie trzeba zaraz dawać posłuch temu, co się dzieje w sąsiednich Niemczech, nie koniecznie trzeba czytać „Mein Kampf“ i wierzyć w Hitlera, można sobie te rzeczy zorganizować inaczej. Jak je w rze-

czywistości „organizowano“, wszyscy dobrze wiemy, nie wielu wśród nas jest takich, którzy nie odczuliby tego na własnej skórze, przez długie lata ulegając żydowskiej przebiegłości i żydowskiemu wyzyskowi. Żydzi w Polsce zachowywali na ogół kamienny spokój, doskonale bowiem wiedziano, jaki cel mają te wszystkie „przygotowania“ do odżydzenia. Dla nich już od dwu i pół lat nie ulegało najmniejszej wątpliwości, w jakim kierunku pomaszerują polskie dywizje, gdy padnie rozkaz. Oczywiście: rozkaz z Londynu.

— — — — — — — — — — —

Temu powiedzeniu: „rozkaz z Londynu“ chciałbym również poświęcić nieco uwagi. Utarło się powiedzenie, iż wojnę z Rzeszą rozpętano na rozkaz Londynu i po moim powrocie do Warszawy w grudniu 1939 miałem okazję wysłuchać niezliczoną ilość uwag i powiedzeń na temat „rozkazu z Londynu“. Jak ta sprawa wyglądała naprawdę, ustalą czy też już ustaliły dokumenty państwowe, fakty historyczne. Ja nie zamierzam badać tutaj historii ani tym bardziej jej tworzyć — moje rozważania mają inny cel, do którego muszę tutaj zdążać jedynie ocierając się o tak zwane „dowody historyczne“. W tej materii zresztą historia wydała swój wyrok nieprawdopodobnie szybko, potępiając tych, którzy zadecydowali o dziejowych losach nieszczęsnego narodu polskiego. I ja bynajmniej nie stoję pod wrażeniem tego wyroku, który wydała historia potępiając Polskę i karząc ją taką karą, jakiej świadkami jesteśmy obecnie. Wręcz przeciwnie: na początku mojej pracy stwierdziłem, iż między tymi, którzy działali w imieniu narodu polskiego, a samym narodem istniała przepaść i tej przepaści nie usunęła nawet niebywała i chyba nigdy dotąd nie notowana propaganda nienawiści przeciw Niemcom.

Muszę stwierdzić, iż w roku 1939 ludzkość była świadkiem nie jednej największej bitwy w dziejach świata, czyli bitwy pod Kutnem, ale dwu bitew, dwu wielkich niewidzianych w dziejach ludzkości bitew. Jedną bitwę wygrała Anglia, drugą zaś Rzesza. I dlatego, iż pierwszą wygrała Anglia, przyszło do drugiej, do bitwy pod Kutnem, do największej bitwy wszystkich czasów, jak orzekli znawcy rzemiosła wojennego — i do najwspanialszego zwycięstwa wszystkich czasów. Ale ja pragnę mówić o tej pierwszej bitwie — o bitwie wygranej przez Anglię.

Anglia znów wygrała we właściwy sobie sposób jedną z wielu bitew, które złożyły się na całość i wielkość Brytyjskiego Impe-

rium. Bitwa, którą wygrała Anglia, obeszła się bez rozlewu krwi i nawet bez specjalnego rozgłosu, ale mimo to skłonny jestem twierdzić, iż było to jedno z najfantastyczniejszych zwycięstw, jakie kiedykolwiek odniosła Wielka Brytania.

Nie była to bitwa w otwartym polu, nikt w niej ze strony Wielkiej Brytanii życia swojego nie naraził. Cechuje to zresztą wszystkie wojenne sprawy Anglików, że zawsze ktoś inny o nich się bije i ktoś inny dla nich umiera.

Polska miała do wyboru: przyjęcie propozycji Rzeszy co do współpracy i ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków, albo przyjęcie angielskich gwarancyj. Czym były propozycje Hitlera, wszyscy dobrze wiemy. Zbędne byłoby stwierdzać, iż stanowiły one trwałą i niewzruszoną podstawę do rozbudowy dobrosąsiedzkich stosunków między Polską a Rzeszą, że przyjęcie propozycyj Führera równało się raz na zawsze zabezpieczeniu trwałego i konsekwentnego rozwoju niepodległej, silnej Polski. Właśnie: s i l n e j, czyli takiej, jaką chciał ją widzieć Wielki Marszałek.

Ale na drugiej szali znalazły się angielskie gwarancje, których nikt w Polsce nie rozumiał. Dla szarego człowieka w Polsce było wielką niewiadomą, co właściwie gwarantuje mu znany z fotografii, wysoki, śmieszny pan z parasolem i o co w tej całej zawiłej historii chodzi. Gwarancje udzielone Polsce ze strony Rumunii czy Litwy byłyby bardziej zrozumiałe i popularne dla Polaka.

Należało więc Polakowi tę sprawę wytłumaczyć. Należało go za wszelką cenę wdrożyć do tej zawikłanej i trochę bajecznej sprawy angielskich „gwarancji".

Bo przecież tutaj, w Polsce, niewielu było takich, którzy zdawaliby sobie sprawę, na czym owe sławetne gwarancje polegały i czym kierował się pierwszy minister J.K.M. króla Anglii, gwarantując Polakom nie tylko całość ich państwa, ale jeszcze udzielając im łaskawie pozwolenia, aby w każdej chwili mogli nakazać Anglii wypowiedzenie wojny Trzeciej Rzeszy. Ten starszy pan, dla którego było najzupełniej dotąd obojętne, czy w Warszawie na ulicy Marszałkowskiej można upolować sześć czy osiem białych niedźwiedzi w ciągu sezonu, nagle do głębi wzruszył się losami Polaków i postanowił nawet w imię nakazanej przez Chrystusa miłości bliźniego bronić do upadłego zagrożonej Polski. I nawet był na tyle dobry i szlachetny w swym pragnieniu usłużenia Polakom, że oświadczył „Kochani panowie, jestem stale do waszej dyspozycji. Niemcy postanowili was niewolnikami uczynić i do pługu zaprząc, ale ja, jako prawdziwy Anglik, pogardzający wszelkim uciskiem, nigdy na

nic podobnego nie pozwolę". I ponieważ ci Niemcy są narodem sprytnym i mogą z Polską tę całą sprawę załatwić bez jednego wystrzału, pan Chamberlain uroczyście przyrzeka Polsce, iż każdej chwili, gdy ta ostatnia uzna siebie za zagrożoną i potrzebującą pomocy, Anglia natychmiast wkroczy wszystkimi swoimi siłami, aby tej pomocy udzielić. Innymi słowy, optycznie wydawaćby się mogło, iż Chamberlain nie tylko związał losy Brytyjskiego Imperium z losami Polski, ale właściwie uzależnił te losy od postępowania warszawskich mocarzy politycznych. To nie Anglia prowokowała wojnę z Rzeszą, ale Polska nakazywała Anglii wmieszanie się do tej wojny. Trzeba stwierdzić, iż podobnie silna dawka narkotyku podziałała mocno na opinię polską, tym bardziej, iż sprawa tych gwarancji poparta została niebywałą akcją propagandową. Nie na tym jednak koniec: Chamberlain wprawdzie nie miał pojęcia, czy w Warszawie na ulicy Marszałkowskiej polują na białe niedźwiedzie, ale był świetnie poinformowany o mentalności polskich „mężów stanu", o ich bezgranicznej megalomanii. I dlatego, nie tylko „wydał siebie i losy swej ojczyzny w ich ręce, ale posunął się jeszcze dalej: przyjął gwarancję od Polski. Wzajemnie zagwarantowano sobie pomoc. Mocarstwa porozumiały się — dwa mocarstwa, Polska i Wielka Brytania, zagwarantowały sobie nawzajem zbrojną pomoc! Ogarnia uczucie wstydu, gdy się o tym myśli... Każdego prawdziwego Polaka to musi boleć. Każdy wstyd boli...

— — — — — — — — — — —

Poniżej będę mówił o tym wszystkim, co się działo między 1 a 16 września 1939 w moim życiu — o tym wszystkim, czego świadkiem przyszło mi być w ciągu tych nieszczęsnych szesnastu dni.

Będę opowiadał o rzeczach strasznych. Wielu moich czytelników nie uwierzy mi, wielu być może ze zgrozą zamknie stronice tej książki albo z oburzeniem stwierdzi, iż obrażam w ten sposób moich współobywateli, iż naród polski nigdy nie był zdolny do czegoś podobnego, że rycerski duch Polaka i jego tradycje nigdy nie pozwoliłby mu zdobyć się na sprawy, które działy się w ciągu pierwszej połowy miesiąca września.

I ja byłem tego zdania. Przyglądając się wydarzeniom, szeroko rozwierałem oczy i w duchu zapytywałem siebie: Czyż to ci sami ludzie, których ojcowie złączyli swe dzieje z pojęciem najszczytniejszych rycerskich tradycji?! Polską, walcząca przeciw Rzeszy

we wrześniu 1939, nawet do cieniów swych wielkich rycerzy nie mogła zwrócić się o wsparcie, albowiem i wielcy Zmarli odwrócili głowy z uczuciem zgrozy i wstydu... Naród polski, potomkowie pancernych towarzyszy, szlachetnych rycerzy, Zyndramów z Maszkowic, Chodkiewiczów i Żółkiewskich, Tarnowskich i Habdanków, zapomniał o swej narodowej godności, zapomniał o tym, iż jeden tylko czyn znajdzie uznanie w oczach przeciwnika: uczciwa walka w otwartym polu; i jedna tylko śmierć jest usprawiedliwiona: śmierć w otwartym polu... I ci Polacy, którzy tę zasadę żołnierskiej walki wyznawali do końca, zasłużyli sobie na szacunek i uznanie przeciwnika. I trzeba przyznać, iż przeciwnik ten zachował się wobec pokonanego prawdziwie po rycersku.

Mówię o tym tutaj, ponieważ nie wyczerpałem jeszcze roli Anglii, ponieważ nie wskazałem miejsca i czasu wygranej przez nią bitwy, największej obok bitwy pod Kutnem, w dziejach świata. Mówię o tym i dlatego jeszcze, ponieważ słowa moje mogą przydać się potomnym pokoleniom, które jeszcze wstydzić się będą musiały czynów swych ojców we wrześniu roku 1939. Zaprawdę, może nigdy nie były tak bardzo aktualne i dotkliwe owe słowa chorału: Rękę karaj, nie ślepy miecz...

Wierzę, iż naród polski jest bliski już tej chwili, gdy to tragiczne błaganie zaniesie przed tron Najwyższego Sędziego...

Dlatego wracam jeszcze raz do roli Anglii, do sprawy udzielonych Polsce gwarancji. Do pierwszej wielkiej bitwy roku 1939, wygranej przez pp. Chamberlaina i Halifaxa, dwu ludzi, którzy nigdy nic wspólnego nie mieli ze sztuką wojenną. A mimo to tych dwu panów trzeba uznać za zwycięzców bezkrwawej bitwy o Polskę. Halifax oddał ostatni strzał, który rozstrzygnął o zwycięstwie Anglii, gdy złożył w Izbie Lordów oświadczenie, iż „angielskie gwarancje poczną działać w chwili, gdy Polska tego sobie będzie życzyła.“ W umysłach polskich dyplomatów i polityków to oświadczenie brytyjskiego ministra spraw zagranicznych wywołało paroksyzm radości i dumy. Teraz sobie nareszcie pogadamy jak należy, cały świat się dowie co zacz za mocarstwo, ta Polska! Siedzimy sobie spokojnie, bo się nam tak podoba, ale my tutaj w Warszawie mamy taki guziczek, który wystarczy tylko pocisnąć, a natychmiast grad angielskich bomb z ziemią zrówna Berlin. To jest taki specjalny, chytry mechanizm, spreparowany przez p. Chamberlaina na nasz wyłączny użytek. Pociśniemy guziczek — i natychmiast rozpęta się nad Europą krwawa pożoga.

Chamberlain skonstruował w Warszawie niebezpieczny, bardzo niebezpieczny mechanizm, na który z zachwytem tutaj spoglądano.

Wystarczy nacisnąć — i zaraz się zacznie... Coraz więcej szowinistów zbierało się wokoło mechanizmu, coraz więcej drżących, podnieconych rąk wyciągało się w kierunku magicznego guzika.

W Warszawie pracowano nad zgromadzeniem coraz większego tłumu przy wystawionym na widok publiczny angielskim mechanizmie. Pracowano nad spopularyzowaniem nazwy owego automatycznego aparatu: „brytyjskie gwarancje".

Ale niechaj nikt nie sądzi, iż była to robota wykonana ad hoc, w pośpiechu, bez uprzedniego starannego i precyzyjnego przygotowania.

— — — — — — — — — — —

O tym, z jaką starannością czyniono przygotowania, mogłem przekonać się już w grudniu 1938 roku, a więc przed faktem ostatecznego rozpadnięcia się Czechosłowacji i stworzenia protektoratu oraz niepodległego państwa słowackiego. Już wtedy w Londynie dwukrotnie bawił naczelnik wydziału prasowego M. S. Z. Skiwski, celem omówienia technicznych zagadnień współpracy polsko-angielskiej w dziedzinie prasy i propagandy. Stwierdzam z całą stanowczością, iż w grudniu 1938 istniały ścisłe kontakty w dziedzinie prasy i propagandy między Polską a Anglią. W styczniu 1939 w Londynie bawił m. i. pewien mój dobry znajomy, współpracownik „Kuriera Porannego". Po powrocie do Warszawy odbył ów znajomy dłuższą konferencję z naczelnikiem Skiwskim, po czym otrzymał polecenie udania się do Gdańska w charakterze specjalnego wysłannika. Przed wyjazdem do Gdańska powiedział do mnie: „Jadę robić ważną robotę, zadziwi się pan jeszcze nie jeden raz w tym roku: Europę czeka dużo niespodzianek". — Gdy w tydzień później odczytałem jego pierwsze sprawozdanie, zrozumiałem wszystko. W warszawskich kołach dziennikarskich mówiono wiele o współpracy z angielską służbą informacyjną.

Jeśli przejrzymy roczniki polskich gazet z okresu jesień 1938 — wiosna 1939, to się z łatwością będziemy mogli przekonać, jak metodycznie i celowo przygotowywano przychylne dla Anglii nastroje w społeczeństwie polskim. W szeregu artykułów i wiadomości, zamieszczanych niezwykle dyskretnie w prasie codziennej, usiłowano przychylnie nastroić opinię polską do wszystkiego, co angielskie.

— — — — — — — — — — —

W Warszawie mówiło się po cichu wiele o tajemniczych wyjazdach rozmaitych panów do Londynu. Pewien znany przemysłowiec Stan. Zieliński, zajmujący szereg wybitnych stanowisk kierowniczych w ciężkim przemyśle i cieszący się opinią zaufanego człowieka Rydza-Śmigłego, już począwszy od listopada 1938 dwa razy w miesiącu jeździł do Londynu. W miesiącach kwietniu i maju dyrektor Z. już tylko na kilka dni wpadał do Warszawy, stale przebywając w Londynie. Był to zresztą człowiek niesamowicie obrotny, umiał łatwo poradzić sobie z rozmaitej kategorii znajomościami. Do jego najbliższych przyjaciół zaliczali się „Londyńczyk" płk. Koc, szef inspekcji „marszałka", płk. Strzelecki, bohaterski wojewoda śląski Grażyński, szef OZN i morderca generała Zagórskiego, płk. Wenda, oraz szef Oddziału Drugiego płk. Smoleński. Tego osobnika również serdeczna przyjaźń łączyła z ambasadorem Wielkiej Brytanii Kennardem. Zapytany kiedyś dyr. Krahelski, dlaczego Zieliński stał się nagle opatrznościowym mężem, którego wysyłają nieustannie do Londynu w ważnych misjach gospodarczych, Krahelski odparł dosłownie: „Bo on ma w Anglii takie kontakty, o jakich nie śniło się naszemu ambasadorowi. On tam ma wszystko w ręku. Ale ja mu nie ufam, już bym nie mógł na pewno odpowiedzieć, czy on polskie interesy zastępuje w Anglii, czy na odwrót, angielskie u nas".

Zanim wysłano biednych, nieświadomych i z niczego nie zdających sobie sprawy żołnierzy polskich do rozpoczęcia zwycięskiego marszu na Berlin inni ludzie odbyli wspaniały, zaiste zwycięski marsz na Londyn. Powiadam: zwycięski, ponieważ osiągnęli tam to, czego sobie najbardziej życzyli, mianowicie: możliwie najkorzystniej pozwolono się Anglii przekupić. Oczywiście rej wiedli w tym „angielskim wyścigu" żydzi albo też ci wszyscy, którzy w ten czy inny sposób od nich byli zależni. Mówiło się wiele o cudownej przyszłości, która rozwiera się przed Polską w związku z rozlicznymi pożyczkami, spodziewanymi z Anglii. Dopiero teraz zacznie się dla narodu polskiego wielkie życie, dopiero teraz sobie ładnie wszystko pobudujemy za angielskie złoto, dopiero teraz zaczną się dobre czasy, bo kapitały angielskie będą drzwiami i oknami płynęły do kraju. Tak opowiadali przede wszystkim ci, którzy już zdążyli obłowić się przy staraniach o te błogosławione skutki polsko-angielskiego przymierza. Mówiło się o korzyściach — opowiadało się cuda o Anglii — o potędze brytyjskiej — o sympatiach Anglików dla Polski (!!!) — o wszystkich cudownościach polsko-angielskiego sojuszu... Ale przemilczało się bardzo starannie, za jaką cenę pozwolono Polakowi zjawić się na angielskim dworze

królewskim, jaką powodzią polskiej krwi trzeba będzie opłacić ów kieliszek wina, wypity przez Becka z królem angielskim.

Zgraja ludzi znalazła w Londynie to, czego sobie najbardziej życzyła: — złoto!

Nie wymieniam tych ludzi z nazwiska, choć mimo woli rozmaite imiona cisną się na usta. Naród polski, zaprzedany i oszukany przez swoich i przez cudzych niewątpliwie doczeka się chwili dziejowej sprawiedliwości. I tego życzy nam z całego serca ta część ludzkości, która stanęła pod sztandarami prawdziwej Idei współpracy i współżycia narodów świata.

— — — — — — — — — — —

Poświęciłem tyle miejsca tym indywiduom, ponieważ charakteryzuje to dostatecznie środowisko, z którego rekrutowali się ludzie „porozumienia" polsko-angielskiego. Byli to przede wszystkim ci, dla których losy samej Polski stały na ostatku, zaś przede wszystkim chodziło im o zrobienie dobrego interesu. A że ten interes korzystniej przedstawiał się w przeliczeniu na funty szterlingi, niż na marki (których nota bene nikt w Berlinie nie zamierzał płacić, o czym się w Warszawie dobrze wiedziało) — więc się obrócono w kierunku Londynu. Stamtąd spodziewano się złotej ulewy. Tam — w Londynie — było złoto... Złoto, dla którego ci ludzie byli na wszystko gotowi.

Byłem świadkiem zdumiewającego zjawiska: w Polsce poczęto wiele mówić i pisać, że wojnę wygrać może jedynie państwo prawdziwie bogate, rozporządzające wielkimi rezerwami złota i surowców. W związku z tym oczywiście uważano, iż w wojnie, która musi wybuchnąć, zwyciężą Anglia i Francja. Słuchałem z głębokim ubolewaniem tych rozważań. Gdzież się podziały przepiękne tradycje rycerstwa polskiego, gdzież wiara w ideały, w cuda, które czyni miłość ku ojczyźnie?! Polacy — naród, hołdujący rycerskim tradycjom, uczciwej walce w otwartym polu, wierzący zawsze w to, iż wiara czyni cuda i przenosi głazy, właśnie Polacy przyszli do wniosku, iż zwycięży w przyszłej wojnie pieniądz, złoto, przekupstwo — a nie dzielność, nie bohaterstwo, nie bezgraniczne samozaparcie się całego narodu, jak tego jesteśmy świadkami, obserwując rozprawę wojenną między Rzeszą a naszymi wszechmocnymi sprzymierzeńcami. Wstydzę się pisać o tym, iż Polacy byli tym narodem, który stanął przy boku przekupniów i zdrajców, uwierzywszy, iż żołnierza walczącego o urzeczywistnienie wielkiej nie-

śmiertelnej Idei pokonać można złotem i podłością. Zaprawdę żadna kara nie będzie za wysoka dla tych, którzy hańbą okryli żołnierskie imię i żołnierską chwałę Polaków. Ta stronica polskiej historii zapisana została przez ludzi nikczemnych.

— — — — — — — — — — —

Od tych ogólnych rozważań przechodzę znów do moich spraw osobistych, do rozlicznych wydarzeń mojego życia, które powinny stać się — moim zdaniem — materiałem uzupełniającym, ilustrującym atmosferę, w jakiej kształtowało się życie publiczne Polaków na przestrzeni ostatnich lat, poprzedzających wybuch wojny z Rzeszą.

Może w tym miejscu należało by skorzystać z okazji i podkreślić wobec Czytelnika, iż może dlatego głównie piszę również o sobie, ponieważ jestem zdania, iż moje osobiste przeżycia mogą doskonale scharakteryzować wydarzenia natury ogólnej, dotyczące już życia naszego społeczeństwa. To, o czym piszę, nie jest materiałem historycznym, ale niemniej stanowi **materiał** dla historyka. Oczywiście dla historyka, który zechce odczytać w moich notatkach prawdę obiektywną. Dlatego piszę, dlatego uważam za swój obowiązek tę p r a w d ę o b i e k t y w n ą wypowiedzieć.

— — — — — — — — — — —

Muszę sięgnąć pamięcią daleko wstecz, do czasów, gdy pisałem moje pierwsze artykuły o Trzeciej Rzeszy. Działo się to przed sześciu laty, w tym szczęśliwym dla Polski okresie, gdy żył jeszcze Marszałek Piłsudski i troszczył się o losy swojego narodu. Było to bezpośrednio po nagłym i decydującym zwrocie w polskiej polityce zagranicznej. Piłsudski, swoim zwyczajem, i tym razem zaskoczył nie tylko swój naród, ale i cały świat swą decyzją: zawarł układ z Rzeszą Niemiecką. Pakt o nieagresji. W Warszawie mówiło się: — Piłsudski dogadał się z Hitlerem. — Trzeba przyznać, iż to określenie doskonale oddawało charakter tej całej sprawy, o ile ona mi jest wiadoma, bo — bez względu na to, czy ci dwaj wodzowie spotkali się osobiście, czy też porozumieli się formalnie za pośrednictwem swych zaufanych ludzi — można ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, iż dwaj starzy żołnierze wielkiej wojny „dogadali się". O tym świadczył ten olbrzymi krok naprzód, którego dokonali ci dwaj mężowie, zdążający konsekwentnie i wytrwale w kierunku stabilizacji pokoju w Europie wschodniej. Mó-

wiło się wiele w Warszawie o tym, iż Piłsudski dwukrotnie odbył długie rozmowy z Kanclerzem Rzeszy, że spotkania te, odbyte w najgłębszej tajemnicy, nosiły charakter niezwykle przyjazny i serdeczny, że Piłsudski znajduje się całkowicie pod wrażeniem osobowości Hitlera, że Marszałek przyrzekł Führerowi wyrównanie granicznych niedorzeczności i że w zamian Führer poczynił ze swej strony daleko idące przyrzeczenia... Opowiadań o spotkaniach między Hitlerem a Piłsudskim nie udało mi się potwierdzić, natomiast stwierdziłem z całą pewnością pozytywny stosunek Marszałka do Rzeszy i do osoby Führera. Wprawdzie po raz ostatni miałem możność rozmawiania z Marszałkiem w roku 1933, jednakże i potem dzięki kontaktowi z najbliższym otoczeniem Marszałka miałem zawsze sposobność ściśle informować się o jego życiu. Marszałek wysoko cenił osobę swojego szefa inspekcji, pułkownika dyplomowanego Warthy, znanego zresztą chyba każdemu Polakowi z niezliczonych fotografii i obrazów rewii krakowskiej, podczas której on, przybrany w mundur podhalańskiego pułku, asystował Marszałkowi, oraz bardzo serdecznie zaprzyjaźnionego ze mną pułkownika dyplomowanego Stefana Koeba. Tym dwu ludziom zawdzięczam, iż wiem wiele szczegółów, o których wiedziało tylko najbliższe otoczenie Marszałka. W swoim czasie, gdy ze mną o tym rozmawiano, rozumiało się samo przez się, iż byłem zobowiązany do dyskrecji. Dziś nie uważam siebie dalej za zobowiązanego do milczenia. Losy narodu naszego poszły nowymi torami. To, co starannie usiłowano przemilczeć wówczas, jako tajemnice zakulisowe Belwederu, dziś nabrało całkiem odmiennego znaczenia. Nie wiem, czy wymienieni wyżej pułkownicy żyją — byli to dzielni żołnierze, dla których śmierć na polu walki większą stanowiła wartość, nad rumuńskie czy węgierskie obozy — ale jeśli żyją, to mi wybaczą mój krok. Wybaczą, ponieważ zrozumieją, iż czynię go kierując się chęcią przysłużenia się narodowi polskiemu. Wybaczą, ponieważ wybaczyłby mi sam Marszałek, którego tak bardzo kochaliśmy wszyscy. Marszałek wybaczał zawsze tym, którzy mieli na względzie dobro polskiego narodu...

Pułkownikom Wartha i Koebowi mam do zawdzięczenia autentyczne oświadczenie Marszałka, stwierdzające ponad wszelkie wątpliwości, iż pozytywny stosunek do Rzeszy narodził się po głębokim i wszechstronnym zbadaniu możliwości współżycia obok siebie Polaków i Niemców.

Wartha, cieszący się nieograniczonym zaufaniem i przyjaźnią Marszałka, dwukrotnie cytował jego słowa, wypowiedziane bezpo-

średnio po rozmowach z ministrem spraw zagranicznych: — A ja zawsze uważałem, że Hitlera łatwiej przekonać dobrą wolą niż chytrą polityką. — Zapytany przeze mnie, co miał dokładnie Marszałek na myśli wypowiadając to zdanie, Wartha wyjaśnił: — Marszałek uważa Hitlera za człowieka dobrej woli, więc chciałby, aby wszystkie sprawy z Niemcami załatwiło się bez pomocy dyplomatów, w zwyczajny ludzki sposób. Marszałek ma swoją intuicję i on tutaj coś wyczuwa.

Bodaj w dwa miesiące później, rozmawiając z pułkownikiem Koebem, dowiedziałem się o słowach Piłsudskiego na temat przyszłości paktu o nieagresji. Piłsudski powiedział do majora Lepeckiego: — Jak się z tym oswoją tu i tam, to Beck ułoży mi projekt rozwiązania całej historii raz na zawsze. Mam swoje wyjście.

To zdanie jest niezwykle ciekawe i charakterystyczne zarówno dla samego Marszałka, jak i dla czasów, w których zostały wypowiedziane. Znaczyło to, iż Piłsudski chciał odczekać pewien czas, aż obie strony przyzwyczają się i przekonają, że można żyć obok siebie i nie czyhać wzajemnie na siebie. Podjęto na życzenie osobiste Marszałka akcję „oswajania" Polaków z myślą sąsiedzkiego, przyjaznego pożycia z Niemcami. Znów zmuszony jestem powołać się na słowa płk. dypl. Koeba: — Marszałek kazał robić jedną za drugą imprezy sportowe polsko-niemieckie. W tej sprawie wołał do siebie Bończę*) i Glabisza**) i polecił im, aby dołożyli starań przy organizacji jak największej ilości imprez sportowych z Niemcami i żeby nie zaniedbano żadnej okazji podkreślenia serdeczności dla Niemców.

Na życzenie Marszałka Piłsudskiego nastąpiło również ożywienie stosunków na polu intelektualnym. Uczeni polscy odwiedzają Rzeszę, niemieccy przybywają do Polski. Szereg wybitnych osobistości Trzeciej Rzeszy jakby zrozumiało intencję wielkiego męża stanu Polski. Chętnie są przyjmowane zaproszenia do Polski, przybywa do nas wielu najwybitniejszych przedstawicieli życia politycznego, kulturalnego i gospodarczego Niemiec. Dr. Józef Goebbels wygłasza odczyt w Warszawie! Tak, jesteśmy świadkami wielkiej sprawy: dwu żołnierzy wielkiej wojny „dogadało się" z sobą.

— — — — — — — — — — —

---

*) Gen. Bończa-Uzdowski, prezes polskiego związku piłki nożnej.
**) Płk. Glabisz, prezes polskiego komitetu olimpijskiego.

Wracam jeszcze raz do zacytowanych powyżej słów Marszałka: gdy się już tutaj i tam oswoją z faktem, iż się musi z sobą żyć w dobrej zgodzie sąsiedzkiej, wtedy on, Piłsudski, nakaże swojemu ministrowi spraw zagranicznych wygotować „projekt rozwiązania całej tej historii raz na zawsze“. Marszałek więc liczył się z tym, iż trzeba i należy te sprawy uregulować i że Polska powinna wystąpić z inicjatywą rozwiązania „tej historii“. To się zresztą pokrywa znów z tym, co powiedział Piłsudski do swojego otoczenia o Hitlerze, iż wodza Niemiec łatwiej przekonać aktem dobrej woli, niż rozegrać dyplomatycznymi wyczynami. Tak, płk. Wartha miał rację, gdy wielokrotnie mawiał, iż „Marszałek czuje“.

„Mam swoje wyjście“ powiedział lakonicznie Piłsudski do swojego otoczenia i nic więcej, ponieważ te sprawy dotyczyły płk. Becka a nie mjr. Lepeckiego, do którego te słowa wypowiedział. Ale płk. Beck to wyjście znał, plan Marszałka i jego zamierzenia były mu dobrze znane. Stwierdzam, iż płk. Beck nie kłamał mówiąc o tym, iż jemu jednemu jest wiadomy testament polityczny Marszałka w zakresie polskiej polityki zagranicznej. Kłamał, zapewniając naród polski, iż ten testament ściśle wykonuje; kłamał, nadużywając imienia Marszałka celem usprawiedliwienia swych czynów, które zawiodły ostatecznie ten naród na manowce... Kłamali ci wszyscy, którzy zapewniali, iż Marszałek Piłsudski postąpiłby w podobny sposób, jak postąpili polscy mężowie stanu w roku 1939. Polska miała tylko jednego prawdziwego męża stanu i ten, niestety, umarł zbyt wcześnie, nie zdążywszy urzeczywistnić najgorętszego pragnienia swojego życia: trwałej i na sprawiedliwości opartej stabilizacji stosunków polsko-niemieckich. Pozostawił wprawdzie wskazania odchodząc w zaświaty, zabrakło jednak wykonawców. Po nim przyszli ludzie, którzy nie rozumieli swych zadań, którzy nie umieli oddychać oddechem Historii...

Szukam w myślach owych pierwszych chwil mojego aktywnego, publicystycznego stosunku do narodowo-socjalistycznej Rzeszy. Owe pierwsze wrażenia i pierwsze notatki z podróży po Niemczech, zamieszczane w codziennej prasie, zostały mile przyjęte w kołach moich znajomych i czytelników, wypytywano mnie wiele o Niemcy hitlerowskie, musiałem wiele opowiadać. Nie ukrywam: atmosfera pracy, rozmach, formy, postawa społeczeństwa, duch narodowy — wszystko, dosłownie wszystko, co wówczas w Niemczech widziałem, wzbudzało we mnie uznanie. Powróciłem do kraju pod niebywale silnym wrażeniem, jakie wywarł na mnie narodowy socjalizm. Osobą Adolfa Hitlera byłem po prostu zafascynowany. Ponieważ już w tym czasie cieszyłem się w Warszawie, ja-

ko młody powieściopisarz, względnie dużą popularnością i bywałem w wielu domach, gdzie mogłem się swobodnie wobec licznych zebrań wypowiadać, zdobyłem sobie w stosunkowo bardzo krótkim czasie opinię zdecydowanego germanofila. W Polsce ludzie łatwo popadają w przesadę: mówi się o człowieku wszystko, albo też złośliwie lub bezcelowo przemilcza się o wszystkim. To już taka cecha narodowa Polaków, popadanie w przesadę.

— — — — — — — — — — —

Jak powiedziałem, już wówczas, po mojej pierwszej do Rzeszy podróży, poczęła się około mnie tworzyć opinia sympatyka narodowego socjalizmu. Łączyło się to jeszcze ściśle z moimi wielokrotnymi wypowiedziami na temat sprawy żydowskiej i żydowskich wpływów na życie publiczne w Polsce, a gdy począłem powoływać się na przykład narodowo-socjalistycznych Niemiec, stało się dla wszystkich „jasne", że mi co najmniej dyktują z Berlina ideologię. I wtedy znów na jaw wyszła bezprzedmiotowość i brak odwagi cywilnej u nas, bo mi nikt tego za złe wówczas nie brał, nikt mi nie zarzucił — jak to skwapliwie później na wyścigi czyniono — że się wysługuję Berlinowi, że tańczę tak, jak mi niemiecka ambasada zagra, że zaprzedałem swoją duszę Hitlerowi itp. itp. Nikt nie zaatakował mnie wówczas, ponieważ nie dano jeszcze znaku do rozpoczęcia nagonki, ponieważ było za wcześnie na jakąkolwiek akcję w stosunku do tych, którzy postanowili swój naród wyprowadzić z niewoli żydowsko-masońskich machinacji. Rząd polski utrzymywał „przyjazne" stosunki z rządem Rzeszy, pozwalało się więc wypowiadać tym wszystkim, którzy naprawdę uwierzyli, iż istnieje rozległa platforma wspólnych spraw i interesów, na której można, przy obustronnej dobrej woli, wybudować gmach sąsiedzkiej współpracy i wzajemnego poszanowania. Ja, pisarz, który widział i myślał, nie umiałem dostrzec już wówczas, w latach 1936—1938, iż moje wypowiadanie się o współżyciu i współpracy z narodem niemieckim jest dziecinnie naiwną bajeczką wobec tego wspaniałego, niebywale mądrze zakonspirowanego aparatu antyniemieckiej propagandy, który równocześnie zupełnie swobodnie działał zawsze w Polsce. Jeśli owej propagandy antyniemieckiej nie można było na przestrzeni trzech czy czterech lat dostrzec, to jest to jeszcze jednym dowodem wspaniałej organizacji. Niemniej, aparat ten ani na chwilę nie przestał działać również i wtedy, gdy ze względów taktycznych musiano uciszyć wszelkie jawne antyniemieckie poczynania. Niestety, zrozumiałem to zbyt późno, na krótko przed moim aresztowaniem, a więc już wówczas, gdy wszystkim braciom Syjonu pozwolono jawnie podnieść larum o zagroże-

ne „prawa człowieka i obywatela", o konieczny opór przeciw „teutońskiej barbarii", przeciw Hunom, Wandalom, Germanom... Wezwano naród polski do obrony chrześcijaństwa i cywilizacji, którym groziła zagłada z zachodu... Krzemieńscy, Ścieżyńscy, Rajchmanowie, Gruberowie, Goldklangi, Berensony, Słonimscy, Tuwimy, Mondy, Mayzle, Rappaporty, Liebermany, Kornblumy, Rose, Hofmany, Cypesy, Rotwandy, Szereszewscy, Szyfmany, i jeszcze wielu, wielu innych, wyszli z ukrycia, jeden przed drugim, na prześcigi, meldowali swój podziemny dorobek, objawiali, szczycili się swoją nieugiętą, niezłomną, odwieczną „polskością". Ojczyzna ich — Rappaportów, Rotwandów, Szyfmanów i Berensonów — Ojczyzna! była w niebezpieczeństwie...

— — — — — — — — — — —

Ale wówczas, gdy poczynała się w moim życiu owa „niemiecka" sprawa, która miała mnie do Brześcia zaprowadzić z Warszawy na piechotę, zakutego w kajdany, która mi miała wyrok śmierci za zdradę główną kiedyś ferować, nie wyobrażałem sobie takiej przyszłości. Byłem młodym pisarzem zdobywającym sobie z dnia na dzień coraz większą poczytność, pełnym gorącego, szczerego zapału i chęci służenia swojemu krajowi. Szedłem uśmiechnięty i uradowany na spotkanie Jutra, które niosło mojemu krajowi dobrą nowinę Pokoju... Wiedziałem, czułem, instynktownie odczuwałem, iż dla świata całego wraz z politycznymi narodzinami w Niemczech Adolfa Hitlera i jego nauki — bo ja pojmuję wskazania Hitlera nie jako przejściową ideologię, ale jako naukę, a w nim widzę: nauczyciela, niosącego ludzkości nowy pokarm na szereg stuleci, podobnie jak go przynieśli inni nauczyciele, później czcią szczególną otaczani przez ludzkość — więc ja, powtarzam, wówczas rozumiałem, iż sprawa Hitlera stanie się sprawą powszechną, sprawą ogólno-ludzką i że Polska musi i powinna odegrać w tym dziejowym zjawisku należną jej rolę. Dlatego tak radośnie i jawnie kroczyłem na spotkanie Jutra, przeczuwałem, co przyniesie ono mojemu krajowi... Czy się myliłem wówczas, Czytelnik sobie potrafi sam dopowiedzieć. Doświadczenia drugiej połowy 1939 roku są dostatecznie obfitym materiałem, aby bez trudności odpowiedzieć na to pytanie.

Taki byłem wówczas, gdy powróciłem z pierwszej do Rzeszy podróży. W jakiś czas później, rozmawiając z pewnym znajomym moim z Funduszu Kultury Narodowej, dowiedziałem się ku mojej wielkiej radości, iż zwrócono tam baczną uwagę na moją ostatnią

powieść oraz na moje publikacje w prasie i moje ewentualne wystąpienie o subwencje na wyjazd zagranicę spotkałoby się z przychylnym przyjęciem ze strony „tych tam panów w Prezydium Rady Ministrów". Mój rozmówca był ciekawy dokąd chciałbym się wybrać po uzyskaniu poparcia ze strony Funduszu Kultury Narodowej.

— Do Niemiec!

— Przynajmniej od pana słyszę rozumną odpowiedź. Bo koledzy pańscy, to zaraz do Paryża albo do New-Yorku.

Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, iż właśnie moje zwrócenie się o zgodę na wyjazd do Niemiec będzie mile widziane. „Polscy intelektualiści, wie pan, stronią od hitlerowskiego państwa"... Wyjaśniłem uprzejmie mojemu rozmówcy, iż jest w błędzie, iż nikt z prawdziwych Polaków nie stroni, ale stanowią oni w polskim świecie literackim znikomą mniejszość, bo literackie związki zawodowe są opanowane przez żydów lub też element komunizujący a do kontaktu z Funduszem Kultury Narodowej względnie jakimiś czynnikami decydującymi bezpośrednio nie podobna dojść.

Jakoś tak się złożyło, iż bezpośrednio po tej rozmowie zetknąłem się z pułkownikiem Koebem, który podówczas zajmował bardzo wysokie stanowisko w ministerstwie spraw wojskowych. On również podkreślił, iż obecnie jest bardzo pożądane, abym naświetlił w prasie polskiej nastroje panujące w Rzeszy wobec Polski, a że ja już dałem się poznać rzeszom czytelniczym z moich licznych reportaży podróżniczych, byłoby bardzo wskazane, abym się wybrał do Rzeszy, abym się przede wszystkim naprawdę tam na miejscu rozejrzał, jak jest z uczuciami Niemców do Polaków, czy to aby naprawdę można liczyć się z tym, że w krótkim czasie zniknąć może raz na zawsze jakakolwiek niechęć wobec narodu polskiego.

— Wie pan, wszyscy chcielibyśmy naprawdę wiedzieć, czy oni tam głęboko za skórą noszą nienawiść do Polaków — powiedział do mnie wówczas pułkownik Koeb. — No i niech nam pan opisze, jak oni tam się czują pod rządami Hitlera. Pan jest pisarzem, psychologiem, pan wyczuje to, czego zwykły podróżnik nie zrozumie.

W tym czasie dużo pracowałem nad tomem nowel, który w trzy miesiące później wydałem drukiem p. t. „Kobiety, które odeszły".

Książce tej towarzyszył duży sukces, krytyka literacka przyjęła moje dzieło nadzwyczaj przychylnie. Specjalnie cenną dla mnie była rzeczowa i pozytywna ocena książki mojej przez najświetniej-

szego znawcę współczesnej literatury polskiej prof. Stanisława Adamczewskiego. On mnie ostatecznie do literatury wprowadził, jemu też na polu literackim miałem bardzo wiele do zawdzięczenia. Często spotykałem się z nim w tym czasie, opowiadałem mu wiele o Trzeciej Rzeszy, o zaobserwowanych przeze mnie nowych formach życia narodu niemieckiego — świetnego polonistę interesował bardzo narodowy socjalizm. Wspominam o tym dlatego, iż później, na krótko przed osadzeniem mnie w więzieniu, zdarzył się wypadek, który dał mi specjalnie wiele do myślenia.

Podanie moje zostało przychylnie załatwione przez Fundusz Kultury Narodowej, który zresztą w krótkim czasie potem wyróżnił następną moją książkę „Matki czuwają". Otrzymałem stypendium na sześciomiesięczny wyjazd do Rzeszy i Włoch, paszport zagraniczny oraz kolejowe bilety. Zawarłem z kilku pismami, m. i. z „Polską Zbrojną" umowę na druk moich wrażeń z podróży. Nawet już sobie zaliczki pobrałem. Podróż zapowiadała się niezwykle ciekawie i przyjemnie — i trzeba przyznać, iż była to jedna z najprzyjemniejszych podróży, jakie odbyłem w swoim życiu. Przez nikogo nigdzie w Niemczech nie indagowany, zupełnie swobodnie, bez jakichkolwiek trudności poruszałem się po terenie Trzeciej Rzeszy, oglądałem i przyglądałem się, obserwowałem rozmaite przejawy życia codziennego i zapoznawałem się z panującymi w stosunku do Polaków nastrojami. Wówczas, przed trzema i pół laty, dałem temu wyraz w szeregu korespondencji, w których doniosłem, iż stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość pokojowe i niebywale życzliwe nastawienie Niemców do Polski. Wtedy właśnie, podczas owej podróży, zrozumiałem, jak wielkim, jak bezgranicznie wielkim jest autorytet Hitlera w narodzie niemieckim. Führer chciał zgody i współpracy z Polską, zapomniano więc o wszystkim — o wszystkim! — i wyciągnięto do Polaków sąsiedzką dłoń, w sposób przyjazny, sympatyczny, nacechowany serdecznością. Dla mnie nie ulegała wątpliwości szczerość intencyj, cechujących zachowanie się przeciętnego Niemca wobec Polaka, odwiedzającego Rzeszę.

W Berlinie również rozmawiałem z komandorem wyścigu kolarskiego Berlin — Warszawa, znanym warszawskim działaczem sportowym. Był całkowicie pod wrażeniem dopiero co odbytego wyścigu. Z rezultatu sportowego zawodów był bardzo zadowolony, pomimo klęski zespołu polskiego. Walka toczyła się w atmosferze prawdziwego koleżeństwa i wzajemnej życzliwości. — Ale to nie wszystko, — powiedział mój rozmówca, — ważne jest to, co

się dzieje na trasie. W zeszłym roku ludność niemiecka przyjmowała nas serdecznie, ale w tym roku była o sto procent serdeczniejsza. Niemcy wcale nie żywią do nas nienawiści i nikt mnie teraz nie przekona, że z nimi nie można żyć w zgodzie.

Moje artykuły w prasie polskiej wywołały duży rezonans. Kilku żydowskich publicystów spod znaku „Wiadomości Literackich" na czele ze Słonimskim, najohydniejszym żydem, jaki kiedykolwiek zohydzał polską kulturę, skwapliwie zajęło się moją osobą. Zajęto się przede wszystkim przedstawieniem moich ostatnich książek jako rzeczy bezwartościowych; żydowskie „Wiadomości Liter.", „Nasz Przegląd", stojąca na usługach żydostwa t. zw. „prasa czerwona", która jeszcze przed rokiem zamieszczała o mnie entuzjastyczne artykuły, nazywając mnie czołowym pisarzem młodego pokolenia. Wreszcie dobrał się do mnie „sam" Ilustrowany Kuryer Codzienny, rozprawiając się ze mną jako z pisarzem i jednocześnie podkreślając, iż mój talent zmarnował się, ponieważ związałem się z ideologią niosącą zagładę prawdziwej kulturze i cywilizacji (!!!). Szereg żydowskich pism prowincjonalnych również pośpieszyło stwierdzić, iż jako pisarz nie stanowię właściwie żadnej wartości, że jestem stanowczo zbyt przereklamowany i — wreszcie! — za czyje to pieniądze podróżuję stale między państwami krwawego faszyzmu i Polską — i, że pachnie skandalem fakt, iż jestem właściwie stypendystą Funduszu Kultury Narodowej, że zarząd tej instytucji prowadzi dziwną politykę, przyznając mi na następny rok znowu państwowe stypendium jako jedynemu pisarzowi młodego pokolenia, co jest zdecydowanie nie zasłużonym przeze mnie wyróżnieniem. W tym czasie ogłaszam cykl artykułów o wzorowej opiece nad matką i dzieckiem w Niemczech a po moim powrocie do kraju artykuły te oraz szereg innych notatek poczynionych w Rzeszy, odczytuję w szeregu „kwadransów" przed mikrofonem warszawskiego radia.

W owym czasie bawię też dwukrotnie dłuższy czas w Wiedniu. Tam zawieram znajomość z austriackimi narodowymi socjalistami, mam możność prowadzenia długich rozmów ze starymi bojownikami o zjednoczenie całego narodu niemieckiego. Stwierdzam, pod jak niebywałym urokiem Hitlera znajdują się ci ludzie, których jedynym pragnieniem, jedynym celem życia jest zjednoczenie się ze swymi niemieckimi braćmi. W „Paulus-Stube" siedzę przy stole wraz z dziesiątkiem austriackich narodowych socjalistów. Pada imię Adolfa Hitlera. Wszyscy zrywają się ze swych miejsc. „On jest nasz! — Nasz! — Nasz!" Ręce spracowane, oczy przepełnione

łzami, usta drżące... „Hitler jest nasz... nasz... nasz...!" Patrzą na mnie, ściskają moje dłonie, serdecznie, przyjaźnie: „Niech pan napisze, że on jest nasz, że należy do nas i my należymy do niego. Nie może być inaczej! Sieg-Heil Adolf Hitler!" Unoszą się ręce...

Semickie twarze przy sąsiednim stole rozpogadzają się. We drzwiach dwu policjantów, trzech cywilnych panów. Krótka wymiana zdań. Zapraszają nas do komisariatu. Moi gospodarze proszą o pozostawienie mnie w spokoju. Jestem ich gościem, jestem polskim pisarzem, nie mam nic wspólnego z ich sprawą, bawię w Wiedniu przejazdem. Nie, to nie ma żadnego znaczenia. Mój polski paszport nie pomaga mi. Po raz pierwszy w życiu wędruję do komisariatu. Tam muszę czekać, aż polskie poselstwo poręczy za mnie. Jest godzina pierwsza po północy. Jestem świadkiem bicia moich niedawnych współbiesiadników przez policjantów. Widok tych poczciwych, dobrych ludzi, masakrowanych przez najemników żydowskiego kapitału tylko dla tego, iż ośmielają się deklarować swą przynależność do narodu, którego przecież są prawdziwymi dziećmi i do wodza, który urodził się wśród nich, wzrusza mnie do głębi. Współczuję tym ludziom. Rozumiem ich. Odwracam głowę. Proszę, aby mi pozwolono czekać w korytarzu. W chwilę później przybywa sam pierwszy sekretarz polskiego poselstwa. Krótka rozmowa. Jestem wolny. Moja wiza nie została unieważniona. Moje akcje, jako pisarza, stały podówczas jeszcze bardzo wysoko. Na biurku komisarza policji leżał jakiś dziennik z moją fotografią i notatką o mnie. Samochód poselstwa odwiózł mnie do hotelu... Tak, moje akcje stały podówczas bardzo wysoko. Przynajmniej tak mi się wydawało. Bo czyż mogłem wiedzieć, iż nazajutrz pan pierwszy sekretarz poselstwa polskiego w Wiedniu, Stanisław Bogumił Włodarkiewicz (nota bene przed ośmiu jeszcze laty Samuel Lewental, stuprocentowy żyd i stuprocentowy polski dyplomata) wyśle do ministerstwa spraw zagranicznych w Warszawie obszerny raport na temat tego wydarzenia, okraszony „konfidencjonalnie sprawdzonymi wiadomościami" o moich bliskich kontaktach z niemieckim narodowym socjalizmem i z tym ruchem w Austrii?! I czyż mogłem przypuszczać, iż w dwa lata później ów raport zostanie mi okazany w drugim oddziele sztabu generalnego, w strasznym „drugim oddziele", gdzie znajdę się jako... niemiecki szpieg?!

Przyjrzawszy się nieco uważniej istocie ruchu narodowo-socjalistycznego w Austrii, nabrałem głębokiego przeświadczenia, iż sprawa ta całkowicie dojrzała do rozstrzygnięcia. W moich korespondencjach zamieszczanych w prasie codziennej, zwróciłem uwa-

gę opinii polskiej, iż już w najbliższym czasie Europa będzie musiała pogodzić się z faktem przyłączenia Austrii do Rzeszy. W tym czasie jeszcze, zupełnie zresztą bezpodstawnie, istniało błędne przekonanie o dwulicowości Włoch. Wyobrażano sobie, iż Włochy nie dopuszczą do tego, by Austria została włączona do Rzeszy. Byłem odmiennego zdania i jak rzeczywistość pokazała, miałem rację. Włochy lepiej od reszty Europy zrozumiały politykę i cele Hitlera, nie miały więc powodów obawiać się wspólnej z Trzecią Rzeszą granicy. Przy okazji omawiania problemu austriackiego podkreślałem zdecydowanie to, co mi poczytywano później za „niemiecką robotę": przeświadczenie moje, iż dążeniem Hitlera jest nie zdobycie panowania nad światem, ale reorganizacja tego świata, ale wyzwolenie go z niewoli kapitalizmu żydowskiego i sprawiedliwy podział dóbr materialnych, oparty na wzajemnym zaufaniu i poszanowaniu praw do życia. W tym czasie tę „robotę niemiecką" pozwolono mi swobodnie i bezkarnie uprawiać na łamach organu rządzącej kliki wojskowej „Polska Zbrojna". Dlaczego tak się działo, do dziś dnia sobie nie umiem wytłumaczyć. Pozostanie to tajemnicą tych ludzi, na rozkaz których później zebrano każdą moją wypowiedź w prasie jako materiał dowodowy, iż stałem na usługach Trzeciej Rzeszy.

Po powrocie do Warszawy przekonałem się, iż moje artykuły odniosły pożądany skutek. W rozmowach miałem sposobność jeszcze wyraźniej podkreślić moje przekonanie, iż ówczesna Europa nie jest już w stanie przeszkodzić wzrostowi Trzeciej Rzeszy, że z potęgą Niemiec trzeba się liczyć jako z faktem dokonanym i że polska polityka zagraniczna, idąc po linii porozumienia ze swym zachodnim sąsiadem, może przyczynić się do ugruntowania sytuacji międzynarodowej naszego kraju.

O tym, iż Anglia nie rozpocznie wojny o Austrię, nie ulegało żadnej wątpliwości. Ale nie dlatego bynajmniej, iż Anglii nie zależało na utrzymaniu Schuschnigga w Wiedniu, lecz dlatego, iż Włochy nie dały się użyć do roli „obrońcy" niepodległej Austrii a sama Anglia przecież nie rozpoczynałaby o to wojny. Zresztą w tym czasie Anglia jeszcze nie była dostatecznie gotowa do wojny. Podobne zjawisko przeżyć mieliśmy później raz jeszcze, przy sprawie sudeckiej, gdzie również chodziło o to, aby Rosja Sowiecka dała się zaangażować w wojnę o całość anormalnego tworu wersalskich polityków. W tym czasie rozpoczynano dopiero staranne przygotowanie warszawskich megalomanów do oswojenia się z myślą, iż Polska jest mocarstwem, któremu należy się prymat

w Europie wschodniej i że wcześniej czy później tę sprawę trzeba będzie ostatecznie rozstrzygnąć z Niemcami, którzy coraz bardziej wdzierają się w strefę „panowania" Polski.

Przede wszystkim dlatego lansowano usilnie w Warszawie sławetną i zarazem przedziwną teorię utrzymania „równowagi" między Polską a Niemcami (!). Z tą teorią zetknąłem się kilkakrotnie później, zresztą i w okresie nasilenia przyjaznych stosunków z Rzeszą przebijała ona z łamów prasy polskiej i była namiętnie dyskutowana w warszawskich kołach politycznych, umiejętnie podsycana przez płatnych najemników Londynu. Zresztą Londyn miał w Warszawie dużo więcej agentów działających z pobudek „wyższych", ideowych — przecież nie istniała u nas dosłownie ani jedna dziedzina życia, na którą żydzi nie wywieraliby decydującego wpływu. A już oni umieli działać w imię tej jednej jedynej, im jedynie wiadomej i dla nich wszystkich na całym świecie wspólnej „ideologii", którą pierwszy przejrzał i której walkę na śmierć i życie wypowiedział — Adolf Hitler.

— — — — — — — — — — —

Otóż owa teoria równowagi polegała przede wszystkim na tym, iż zakładano sobie z góry, że Polska jest pod każdym względem równa Rzeszy a pod rozlicznymi względami ją przewyższa. Dlatego, rzecz zrozumiała, do zwycięstw i sukcesów Niemiec odnoszono się z niechęcią i nieufnością, uważano bowiem, iż wzrost potęgi Rzeszy może zagrozić mocarstwowemu stanowisku Polski, jakby to mocarstwowe stanowisko w ogóle kiedykolwiek istniało... Politycy nasi wszystkich ugrupowań i kierunków pod tym względem, niestety, byli z sobą absolutnie zgodni: Rzesza może zagrozić mocarstwowemu stanowisku Polski, trzeba więc zachować tę urojoną... „równowagę" w Europie wschodniej. Gdy Austria powróciła do Rzeszy, w naszej prasie ukazał się cały szereg artykułów, podnoszących fakt zagrożenia równowagi politycznej w tej części Europy i wskazujących na potrzebę przyłączenia do Polski Prus Wschodnich i Gdańska, aby w ten sposób wyrównać nad Bałtykiem, na północy to, co pozyskała Rzesza na południo-wschodzie. A czyż sprawa Zaolzia nie była właściwie wynikiem megalomanii polskich polityków?! Ogarniał wstyd i żal owych pamiętnych dni wrześniowych 1938, gdy się odrywało od Czech najzupełniej dla Polski zbędne Zaolzie. Ale żądanie Zaolzia było „logiczną" konsekwencją uzyskania przez Rzeszę kraju sudeckiego, zamieszkałego przez zwartą ludność niemiecką stanowiącą w ramach ówczesnej

Czechosłowacji całkowicie odrębną, pod każdym względem niemiecką, żyjącą swym własnym życiem organizację, jedynie pod przymusem tolerującą czeskich urzędników. Sudety wywarły na mnie wrażenie tak samo stuprocentowo niemieckiego kraju, jak Gdańsk, na którego temat rząd polski nie chciał nawet do dyskusji dopuścić (!!!).

I może o jedno można dziś mieć żal do Rzeszy, jednego żałować dziś należy: iż Rzesza doprowadziła do zajęcia Zaolzia przez Polskę. Przebywałem jako sprawozdawca prasowy w ciągu sierpnia i września 1938 w Pradze, na Sudetach i w ostatnich dniach września powróciłem do Warszawy: jestem głęboko przeświadczony, iż jeśli doszło do obsadzenia Zaolzia przez wojska polskie, to stało się tak jedynie i wyłącznie dzięki Rzeszy, która złamawszy wersalską strukturę Czechosłowacji zbudowała Polakom most przez Olzę. Na tym moście uwierzył Rydz-Śmigły, iż jest zwycięskim wodzem swej armii, uwierzył po raz pierwszy od czasu pamiętnej, bezprzykładnej ucieczki z Kijowa aż pod samą Warszawę. Pułkownik Wiśniowski, pierwszy oficer sztabu, rozmawiając ze mną kiedyś u siebie w domu, powiedział: „Nikt nie dostał tak strasznego lania, jak nasz wódz naczelny kiedyś od bolszewików. Jak go zaczęli bić w Kijowie, to się dopiero w Warszawie opamiętał". Obecny przy tym płk. dyplomowany Kiliński, szef gabinetu ministra spraw wojskowych, wyraził się o marszałku Nr. 2 jeszcze bardziej pogardliwie, odmawiając mu jakichkolwiek cech żołnierza. Przyjąłem jednak wówczas powiedzenia tych wyższych oficerów z pewnymi zastrzeżeniami, wiedziałem bowiem o ich zażyłej przyjaźni z generałem Sosnkowskim, zdecydowanym rywalem Śmigłego.

I dlatego, iż Rzesza pozwoliła Polsce zająć Zaolzie, nie umiem oprzeć się uczuciu żalu. Na tym bowiem fakcie wybudowano legendę o żelaznej sprawności i militarnej gotowości polskiej armii. „Udowodniono" narodowi polskiemu naocznie, iż Polska jest mocarstwem, które potrafi groźbą wojny poprzeć każde swe żądanie i każde osiągnąć. Dwukrotnie w roku 1938 przekonano się o tym: w marcu na przykładzie Litwy i we wrześniu na przykładzie Zaolzia. Uważano, iż kierownictwo polityczne i postawa wojenna Polski zdały egzamin z wynikiem celującym. Sukcesy te całkowicie przypisano sile państwa polskiego i postawie armii polskiej.

— — — — — — — — — — —

Miałem sposobność rozmawiać w praskim hotelu „Alcron"

z brytyjskim „badaczem“ sprawy sudeckiej i „gwarantem“, lordem Runcimanem, który w sposób całkiem niedwuznaczny dał mi do zrozumienia, iż Polska powinna sama bronić swych interesów, jak przystało na mocarstwo trzydziestopięciomilionowe. Oczywiście, lord Runciman nie twierdzi, broń Boże, aby to się kiedykolwiek miało stać kosztem gościnnej Czechosłowacji, niemniej on, lord Runciman, przyznaje mi się w głębokiej tajemnicy, iż z podziwem obserwuje państwo polskie, tak wspaniale dotrzymujące kroku Rzeszy. Znacznie później dopiero zrozumiałem, iż główną troską poczciwego dżentelmena było, by Polska — broń Boże — tego kroku nie zgubiła...

Przy sprawie Sudetów również nie zadowalano się w Polsce Zaolziem, powtarzano znów uparcie, iż trzeba na gwałt zakrzątnąć się około odbudowy zachwianej równowagi politycznej, czyli przyłączyć do Polski Gdańsk i Prusy Wschodnie. I ten niepokój, ta troska o „równowagę“ narastały coraz bardziej z każdym dniem, z każdym nowym sukcesem Rzeszy na arenie międzynarodowej. Czechy stają się protektoratem, niepodległa Słowacja prosi Rzeszę o opiekę, Ruś Zakarpacka staje się częścią Węgier, wreszcie Kłajpeda powraca do Rzeszy... Tu już o zachowaniu „równowagi“ nie może być mowy. W Warszawie potracono głowy. Co robić? Co robić? Rzesza jest zdecydowanie za silna, nie wolno nam już wierzyć w szczerość intencji Hitlera!... I zamiast tego, aby uświadomiwszy sobie istotny stan rzeczy, oprzeć się właśnie o potężną Rzeszę, przyjąwszy za podstawę bardzo umiarkowane i całkiem słuszne postulaty Führera, Polska staje się gwarantem Wielkiej Brytanii. Trudno pisać o tym, co uczyniono z Polską. Czy naprawdę naród polski był tak zły, iż na taki zasłużył sobie los, jaki zgotowały mu 18 dni miesiąca września 1939?! Czy naprawdę naród polski miał taki rząd, jakiego był wart? Oto pytanie, do którego jeszcze muszę powrócić.

— — — — — — — — — — —

W lutym 1938 wyjeżdżam do Wiednia i Rzymu jako sprawozdawca Polskiego Radia i „Polski Zbrojnej“. Przed wyjazdem odbywa ze mną rozmowę naczelny redaktor „Polski Zbrojnej“, Karol Koźmiński. Powtarzam dosłownie wypowiedziane wówczas przez niego słowa:

— Rozmawiałem dziś rano o panu z wiceministrem spraw wojskowych, generałem Głuchowskim, który ze szczególnym zaintere-

sowaniem czytuje w „Polsce Zbrojnej" pańskie artykuły. Generał polecił mi zakomunikować panu, iż życzy sobie, aby pan pisał na sto procent za Hitlerem. Ale to na całej linii! — i uśmiechając się dodał: — Zresztą chyba nie sprawi panu trudności pisać o narodowym socjalizmie z sympatią. Proszę również o obecność w Rzymie podczas wizyty Becka.

W kilka dni potem opuściłem kraj, pełen najlepszych nadziei na jutro. Na krótko przed moim wyjazdem wydałem swą ostatnią książkę, tom nowel „Matki czuwają". Książka ta od razu zdobyła ogromny sukces, nawet prasa żydowsko-masońska nie pozwoliła sobie na rozprawienie się z moją pracą, ograniczając się do całkowitego jej przemilczenia. Ta książka, również wyróżniona przez Fundusz Kultury Narodowej, definitywnie zamykała pierwszy okres mojej działalności pisarskiej. Kończyłem 28 lat... Zdawało mi się, iż mój wiek, pisarski dorobek i zdobyte na całym świecie w licznych podróżach doświadczenie i znajomość życia czynią mnie powołanym do służenia krajowi w sposób bardziej konkretny. Rozumowałem prosto: służyć krajowi i współobywatelom jest obowiązkiem każdego; zbrodnią wobec kraju i współobywateli jest uchylanie się od tej służby, jeśli się ma po temu siły i możliwości. A ja miałem możliwości... ja czułem się silny!... I właśnie w tym czasie poczynałem ostatecznie pojmować, jak wielką jest sprawa, z którą mam do czynienia — pojąłem nagle, iż przyszłość tej sprawy jest kwestią życia albo śmierci polskiego narodu, który jeszcze nie zdawał sobie sprawy, iż żyje w czasach powstawania nowej, zupełnie nowej i niewydarzonej Historii...

Ja, zamykając pierwszy okres mojego życia, uznałem się za jednego z powołanych do działania. Zatrzymałem się w swej twórczości pisarskiej, aby przejść do czynności natychmiastowych, do czynności — zdaniem moim — wówczas najbardziej krajowi naszemu potrzebnych. Uważałem, iż jest to koniecznością, aktualną koniecznością.

— — — — — — — — — — —

Luty 1938. Wiedeń. Wiosenne podmuchy wiatru kołyszą nagie gałęzie drzew na Ringach. Kołyszą się tłumy, nieprzeliczone tłumy, Tysiące... dziesiątki tysięcy... setki tysięcy ludzi przeżywa swą wiosnę, swą jedyną, najpiękniejszą wiosnę... Wiedeń przeżywa swą wiosnę wolności... imię Adolfa Hitlera bez przerwy rozbrzmiewa na ulicach Wiednia... jest hasłem, okrzykiem, rozkazem, wyrokiem, pozdrowieniem, pożywieniem, nazwą dnia, samym Dniem...

Nie obserwuję, nie podglądam, nie przeprowadzam wywiadów z ministrami — błąkam się ulicami tego przepięknego miasta i przeżywam wraz z tymi ludźmi, ich wielką radość — największą radość ich życia...

„Anschluss“ wywiera na mnie głębokie, po prostu wstrząsające wrażenie. Kto wie, czy nie właśnie tam, w pamiętnych dniach marcowych, narodziła się moja wielka wiara w przyszłość dziejową Trzeciej Rzeszy. Tak, to właśnie wtedy ostatecznie uwierzyłem, iż rola Hitlera nie ograniczy się jedynie do zorganizowania narodowosocjalistycznych Niemiec. To było dla mnie jasne. I naiwne wydawać się może tłumaczenie pewnych europejskich polityków, iż Hitler przyrzekał zajmować się tylko swoimi Niemcami, dlaczego więc... itd. Właśnie dlatego, iż zorganizował w zwartą, jednolitą całość Niemców, zabrał się z kolei do organizacji takich warunków, które pozwoliłyby temu zdrowemu narodowi prowadzić życie, niegorsze od swych zdegenerowanych sąsiadów. Było jasne, iż Hitler, zorganizowawszy Niemców, zechce z kolei zorganizować dla nich warunki bytu. A to już wymaga przebudowy istniejącego w Europie porządku. I o to właśnie walczą dzisiejsze Niemcy. O prawo do życia! Tego nie umieli, czy też nie chcieli zrozumieć Chamberlain i Daladier. Naiwnie brzmi tłumaczenie, iż „Hitler nas zapewniał, że chce mieć tylko swoich Niemców, a tymczasem...“ Od dojrzałego polityka można wymagać zrozumienia, iż Kanclerz Rzeszy nie po to zbierał tych Niemców razem, aby im raźniej było z głodu umierać, ale po to, aby im zorganizować wspólną egzystencję.

Przerywam swój pobyt w Wiedniu na kilka dni, aby udać się do Rzymu, skąd przesyłam szereg artykułów do prasy polskiej, m. i. dwa obszerne artykuły dotyczące wizyty Becka ukazują się w „Polsce Zbrojnej“. Becka widziałem 7 albo 8 marca. Rozmawiał w hotelu z przedstawicielami prasy polskiej. Zrobił na mnie wrażenie człowieka ukrywającego jakieś troski. Uśmiechał się wymuszenie, na pytania odpowiadał niecierpliwie, nieomal gniewnie. Nie powiedział nic konkretnego, co mu się zresztą bardzo często zdarzało. Tego dnia wieczorem powiedział mi jeden z urzędników polskiej ambasady, iż „Beck już wie na pewno o Austrii, i nie tylko o Austrii. Skończyły się żarty. — Zareplikowałem, że przecież sprawa austriacka jest w Warszawie życzliwie traktowana, że otrzymane przeze mnie instrukcje wskazują na to, iż gotowi jesteśmy uznać przyłączenie Austrii do Niemiec za rzecz całkiem zrozumiałą — mój rozmówca przyznał mi rację, niemniej był zdania, iż wiele w

tym i innych względach zależało od rozmów z hr. Ciano i że te rozmowy ostatecznie upewniały Becka o powadze sytuacji. Jeszcze poinformowano mnie, iż Beck jest bardzo niezadowolony z ambasadora Wysockiego, który wiele ważnych momentów przeoczył, należy więc liczyć się z jego odwołaniem już w najbliższym czasie. W przededniu przyjazdu Becka miałem okazję dłużej rozmawiać z ambasadorem Wysockim i muszę przyznać, iż nie zrobił on na mnie wrażenia człowieka dobrze poinformowanego i zorientowanego. Zdaje się — jak odniosłem wrażenie — minister Beck dopiero na miejscu, w Rzymie, dowiedział się o niewzruszonej postawie Italii wobec Rzeszy, o iluzoryczności flirtów między Rzymem a Londynem, wreszcie o poglądach na rozwój przyszłych stosunków między „osią" a Warszawą. O tym, jak stoją naprawdę sprawy, podobno nie wiedział jedynie polski ambasador przy Kwirynale, Wysocki.

W dniu 9 marca radiogram z Warszawy poleca mi udać się pośpiesznie do Wiednia, skąd nadaję do Warszawy obszerne sprawozdanie dla „Polski Zbrojnej" oraz reportaże dla radia, odczytywane dwa razy dziennie. W Wiedniu jestem świadkiem przeistoczenia się dawnej Austrii w Marchię Wschodnią.

Jestem świadkiem wspaniałej rozgrywki politycznej, przeprowadzonej przez czołową postać austriackiego nacjonal-socjalizmu Seyss-Inquarta. Człowiek ten przeprowadza swe zadanie z podziwu godną precyzją i odwagą. Nagrodą całego życia jest możność złożenia meldunku ubóstwianemu Führerowi, iż niemiecka Austria przeżywa największy dzień swoich dziejów — dzień powrotu w granice niemieckiej Rzeszy. Popularna w Wiedniu postać Seyss-Inquarta jest wielokrotnie omawiana w moich sprawozdaniach, zamieszczanych na pierwszej kolumnie „Polski Zbrojnej" wraz z jego fotografiami, które następnie, będąc w Warszawie, odebrałem sobie z redakcji i ułożyłem wraz z wielu innymi z tego okresu, które kiedyś wkleić miałem do albumu. Czyż mogłem wówczas przypuszczać, iż owe fotografie, które zresztą wraz z moimi artykułami umieszczane były na pierwszej stronicy „Polski Zbrojnej", następnie, znalezione podczas rewizji w moich papierach, będą stanowiły materiał „dowodowy" przeciw mnie?! Fotografie Seyss-Inquarta, stanowiące moją własność, reprodukowane w kwietniu 1938 przez „Polskę Zbrojną", już w kwietniu 1939 stanowiły dowód mojej winy wobec Polski... Jakże daleką drogę przeszedł mój biedny kraj w ciągu niespełna roku... Gdy się myśli o tym, głowę przytłacza ciężar, ręce opadają bezwładnie, a serce ściska ból... śmiertelny ból niemocy...

W ciągu jednego miesiąca, czyli do dnia 10 kwietnia (Grossdeutschlandstag) jestem świadkiem czegoś zupełnie niebywałego: Austria stała się całkowicie, ostatecznie i pod każdym względem częścią Wielkiej Rzeszy. W tym czasie uzdrowiono handel, zreorganizowano przemysł, całkowicie oczyszczono życie kulturalne i gospodarcze od wpływów żydowskich, rozprawiono się z bezrobociem, stworzono opiekę nad matką i dzieckiem... Ogrom i celowość prac, wykonanych już w pierwszych tygodniach „Anschlussu" przerasta wszelkie wyobrażenia.

Prawie co dzień drukuje „Polska Zbrojna" moje artykuły na temat nowego życia Austrii. Bez jakichkolwiek skreśleń czy skrótów zamieszczane jest wszytko, o czymkolwiek piszę, pomimo iż każde moje sprawozdanie nacechowane jest podziwem i uznaniem dla narodowego socjalizmu, dla Hitlera, dla Trzeciej Rzeszy... Prasa niemiecka często cytuje moje artykuły, powołuje się na sprawozdawcę „Polski Zbrojnej". Jestem szczerze zadowolony: oto nareszcie prawdziwa, konkretna praca dla wielkiej sprawy zbliżenia polsko-niemieckiego!...

Już wtedy, w tym czasie zarysowują się kontury książki o Niemczech, do której pisania przystąpię w lipcu tegoż roku, nie przeczuwając wcale, iż w rok później, dokładnie w rok później, gdy będę gotów z moją pracą, zostanie ona skonfiskowana w rękopisie przez „drugi oddział", że z każdego słowa tej książki będą starali się wysnuć przeciw mnie materiał dowodowy, mający ustalić moją winę...

W Wiedniu po raz pierwszy też zawieram znajomość z przedstawicielami prasy niemieckiej, z ludźmi propagandy, których zainteresowały dwa moje artykuły o technice niemieckiej propagandy. Poznaję się z moimi niemieckimi kolegami na przyjęciu, wydanym przez korespondenta PAT-a w Wiedniu. To są moje pierwsze t. zw. „niemieckie" znajomości. Dotychczas, podróżując dużo po Niemczech, nigdy nie zdarzyło mi się poznać jakiejkolwiek oficjalnej osoby. Właściwie nie byli to również ludzie z kół oficjalnych, podobnie jak i ja — byli to po prostu dziennikarze niemieccy. Wykonywali podobnie jak i ja, obowiązek wszechstronnego i obiektywnego informowania swych czytelników o wydarzeniach w Wiedniu, o nowym trybie życia ojczyzny Adolfa Hitlera. Z jednym z poznanych wówczas panów, urzędnikiem wiedeńskiego urzędu propogandy, wywiązała się miła i nacechowana wzajemną życzliwością znajomość, która jednak nigdy nie wykroczyła poza ramy życzliwej poprawności. Korespondowaliśmy ze sobą później i pomi-

mo to, iż listy moje były kontrolowane przez „drugi oddział", że całą moją korespondencję fotografowano, można więc było łatwo przekonać się o charakterze tej znajomości, zarzucano mi, iż od niego otrzymywałem materiał do moich artykułów, że pozostawałem pod jego wpływem i dlatego tak dobrze pisałem o Rzeszy... Mimo wszystko, muszę w tym miejscu wyrazić wdzięczność dla moich katów ze sztabu głównego: żaden z nich nie zarzucił mi, że brałem za to pieniądze.

Interesowało mnie też bardzo, jak narodowi-socjaliści zorganizowali sprawę opieki społecznej. Wyraziłem życzenie przyjrzenia się z bliska pracy NSV. W tym celu przydzielono mi młodego dziennikarza z biura prasowego NSV, który oprowadzał mnie wszędzie, gdziekolwiek działała wzorowo zorganizowana niemiecka opieka społeczna. Przez szereg dni odbywałem moje wycieczki w towarzystwie owego wychowanka „Teresianum", który wyrażał się o Polsce z niezwykłą serdecznością i okazywał dla mojego kraju wielkie zainteresowanie. Po powrocie do kraju wymienialiśmy listy a razu jednego przesłał mi odbitkę maszynową swojego memoriału na temat roli prasy wobec zagadnień opieki społecznej. W listach dopytywał się często o to, kiedy ukażą się moje książki w niemieckim tłumaczeniu. — Czyż mogłem wówczas przypuszczać, że w Wiedniu urzędnicy polskiego konsulatu śledzą każdy mój krok, a listy tego dziennikarza do mnie, poprawne, taktowne i życzliwe listy tego młodego dziennikarza, są fotografowane w sztabie głównym, jako materiał „dowodowy", mający kiedyś świadczyć przeciw mnie. Oświadczono mi kategorycznie, iż ów znajomy mój jest, ni mniej, ani więcej, jak... tajnym szefem Gestapo dla Austrii! I cóż mogłem powiedzieć tym ludziom na swoje usprawiedliwienie?!...

Stwierdzam, iż w tym czasie na czyjś rozkaz wywiad polski zbierał materiał przeciw tym wszystkim, co do których istniało przypuszczenie, iż mogą zająć zdecydowanie pozytywne stanowisko wobec Rzeszy, iż mogą poważyć się na głośny protest. Późniejsze moje doświadczenia wykazały, iż to zbieranie „materiału" nie dotyczyło tylko mnie, ale też szeregu innych osób, co do których również absolutnie niepodobna było powziąć jakichkolwiek istotnych podejrzeń, iż działali na rzecz Trzeciej Rzeszy. Jedynie oczywistym było, iż ludzie ci, kochając naprawdę swój kraj, nie zechcą go wydać na zagładę, sprzeciwią się zbrodniczym poczynaniom tych, dla których naród i kraj były dopiero na szarym końcu...

Wreszcie pragnę jeszcze wspomnieć o pewnym wydarzeniu, jako mogącym charakteryzować nie tylko bezmyślność polskiego wywiadu wojennego, ale też do pewnego stopnia ową potworną psychozę, która ogarnęła niemal bez wyjątku wszystkich w tym tragicznym okresie, gdy się sposobiono do walnej rozprawy z Niemcami. W miesiącu lipcu 1938 zostałem przyjęty przez burmistrza miasta Wiednia, inż. dr. Neubachera. Towarzyszył mi korespondent PAT-a w Wiedniu oraz jeden z urzędników urzędu propagandy. Inż. Neubacher wywarł na mnie po prostu niezwykłe wrażenie, a rozmowa z nim przerodziła się z intervievu w ciekawą i wartościową wymianę zdań. Jako pisarz byłem całkowicie pod wrażeniem tego niezwykle interesującego człowieka, którego następnie zdarzyło mi się raz czy dwa spotkać w Wiedniu jedynie podczas jakichś uroczystości, ale nigdy i nigdzie prywatnie. W cztery dni po mojej wizycie u burmistrza Wiednia, zamieściła „Polska Zbrojna“ na t. zw. honorowym miejscu moją z nim rozmowę wraz z przesłaną przeze mnie jego fotografią. Ową fotografię, po powrocie do kraju, zabrałem z redakcji i znaleziono ją u mnie podczas aresztowania. Na zapytanie, kogo ona przedstawia, wyjaśniłem, iż jest to podobizna burmistrza Wiednia inż. Neubachera. W kilka dni później, po stukilkudziesięciu godzinach niemal nieustannego przesłuchiwania w sztabie, jeden z oficerów okazał mi ową fotografię, zapytał czy poznaję tego człowieka, a gdy mu ponownie wyjaśniłem, iż jest to burmistrz Wiednia, z którym odbyłem wywiad, zamieszczony wraz z tą właśnie fotografią dokładnie przed rokiem, oficer ów roześmiał się i odparł: — Zaraz pan się dowie, kim jest ten człowiek. — I wydobył z teki starannie owiniętą fotografię z jakiegoś niemieckiego pisma ilustrowanego, przedstawiającą Kanclerza Rzeszy w towarzystwie inż. Neubachera.

— Wysokie stosunki miał pan w Rzeszy — uśmiechnął się złośliwie jeden z przesłuchujących. — No, i co pan na to? Ile razy i gdzie spotykał się pan z tym panem, co?!

Moim tłumaczeniom nie uwierzono. Zresztą w tej fazie przesłuchiwania byłem już tak straszliwie załamany moralnie i fizycznie, iż było mi prawie zupełnie obojętnie, co ci ludzie sobie o mnie pomyślą. Widziałem wokół siebie straszliwą, coraz ciaśniej zwierającą się obręcz stalową poszlak i przypuszczeń, które w zupełności wystarczają tym ludziom za fakty. Inaczej przecież nie poddawano by mnie straszliwym torturom, których opisać będzie chyba niepodobieństwem. Będzie to również bezcelowe, bo nikt z czytelników nie uwierzy, iż mogło się coś podobnego dziać

w roku 1939 w Warszawie, w czasie, gdy narodowi polskiemu objaśniano, że wojna z Rzeszą jest jego świętym obowiązkiem, bo światu grozi zagłada cywilizacji, religii. Wszystko to zginie, jeśli się w porę nie zdruzgoce hord Wandalów, Germanów, Hunów... Ogarnia uczucie bólu, żalu, wstydu — śmiertelna męka odbiera mi słowa, gdy myśleć o tym muszę...

— — — — — — — — — — —

W czerwcu 1938 spędziłem kilka dni we Florencji, w mieście, dla którego czuję wielki sentyment i w którym najlepiej się czuję. Nieliczna kolonia polska z konsulem Paszkowskim na czele przyjmowała mnie bardzo życzliwie. We Florencji spotkałem się z pewnym urzędnikiem polskiej ambasady w Rzymie, który odwiedził mnie w pensjonacie przy Via Solferino. Zaprosiłem go na obiad. Sąsiedni stolik zajmował jakiś dżentelmen, któremu zawsze towarzyszył wysoki i suchy anglikański pastor, stanowczo nadużywający cierpliwości swojego towarzysza głośnym odczytywaniem ustępów z Biblii. Wytworny Anglik zachowywał się milcząco i dyskretnie. Zażywał we Florencji spokoju i wypoczynku, o czym przekonałem się obserwując od paru dni jego tryb życia.

Od mojego gościa dowiedziałem się, iż jest to bawiący tutaj incognito angielski ambasador przy Kwirynale, lord Perth. A wieczorem tego dnia ów pan opowiedział mi wszystko, co wie o roli lorda Pertha. Przede wszystkim, iż należy do partii wojennej, że jest zawziętym wrogiem państw totalnych, a utrzymanie się na placówce w Rzymie zawdzięcza swym wysokim umiejętnościom dyplomatycznym. Wreszcie posłyszałem zdanie, które zabrzmiało szczególnie: — Lord Perth uczynił pierwszy krok, który ma stanowić o przyszłości Polski.

I dopiero tam, we Florencji, dowiedziałem się szczegółów rzymskiej wizyty ministra Becka, o których najmniejszego pojęcia nie miałem, choć przecież też przebywałem w tym czasie w Rzymie. Była to podobno jedna z najciekawszych sytuacji dyplomatycznych, jakie kiedykolwiek istniały: Lord Perth grał rolę człowieka będącego w doskonałych stosunkach z rządem faszystowskim i mogącego każdej chwili złamać oś Berlin — Rzym. Jednocześnie jednak Anglik był świetnie zorientowany w istocie sprawy, było mu doskonale znane stanowisko Mussoliniego, wiedział o kapitale moralnym „osi" — wiedział więc dużo więcej, niż jego polski kolega. Wiedział, jaka sytuacja wytworzy się w Rzymie, gdy przyjedzie Beck, nie wątpił, iż polski minister zostanie od razu i bez

ogródek zorientowany i dlatego przygotował celne uderzenie na przyjazd Becka do Rzymu. Łącznikiem między nim a zdenerwowanym i zdeprymowanym Beckiem miał być radca ambasady polskiej, Zawisza. Jeśli wierzyć słowom mojego rozmówcy, w marcu 1938 w Rzymie po raz pierwszy Beck przyjął angielskie propozycje, przedstawione mu przez radcę Zawiszę i uzgodniwszy te sprawy, widząc błyskawiczny rozwój wypadków w Europie, polecił Raczyńskiemu gruntownie zbadać treść propozycji brytyjskich u samego źródła, w Foreign-Office. Ambasador polski w Londynie już czekał na taki rozkaz swojego szefa, co zresztą też miało być zasługą lorda Pertha.

Moją florencką rozmowę prowadziłem w chwili, gdy już na ustach całej Europy była sprawa sudecka. Mój rozmówca zapewniał mnie, iż istnieje porozumienie polsko-angielskie, które zacznie działać w chwili, gdy strony uznają, iż agresja Hitlera posuwa się zbyt daleko i zagraża położeniu Polski. Właściwie, odebranie Czechom kraju sudeckiego trzeba by uznać za koniec Czecho-Słowacji, bo jak się raz złamie strukturę wersalską tego państwa, to już wtedy nic się tam trzymać nie będzie razem. Starania Anglii o zaangażowanie Rosji do sprawy obrony całości Czech spełzły na niczym. Sowiety chcą, aby Anglia z Francją „rozpoczęły" a potem one „zobaczą". W każdym razie udział Sowietów niepewny, ale za to — zdaniem Londynu — blok, który się zorganizuje przeciw „osi" pod przewodnictwem Polski, wystarczy w zupełności do pobicia Niemiec. Państwa bałtyckie są pod całkowitym wpływem Becka, podobnie też jak państwa skandynawskie, pozostające w ścisłej współpracy z Brytanią. Rumunia wykona swe zobowiązania wobec Polski. Czecho-Słowacja też spełni swe zadanie. Z zachodu Anglia i Francja. Italia i Rosja pozostaną neutralne. (Mój rozmówca ani na chwilę nie wątpił, iż na sprawie sudeckiej „Niemcy połamią sobie zęby"). W każdym razie, jak się zdołałem później jeszcze z innych źródeł przekonać, wojna światowa miała się rozpętać nie o Gdańsk, jak sobie to w pół roku później postanowiono, ale już o Sudety. Podróż lorda Runcimana do Pragi miała nosić początkowo zupełnie inny charakter, nie stało się tak jednak, gdyż Londyn uznał za wskazane odczekać. Innymi słowy starano się w nieskończoność przeciągnąć kwestię „czeską", aby zyskać na czasie — właśnie do tego sprowadzało się zadanie lorda Runcimana. Hitler jednak przyparł do muru — Londyn odebrał meldunek, iż wojska niemieckie otrzymały rozkaz wymarszu — Hitler przestał czekać tygodniami na wyniki konsultacji dyplomatycznych, począł Historię obliczać w godzinach — i narodziło się Monachium.

Europa myślała, że to wielkie zwycięstwo Hitlera. Zapewne. Ale też i nie mniejsze angielskiej dyplomacji: znów uzyskano czas, drogocenny czas, potrzebny na ostateczne dozbrojenie się, by zmiażdżyć z każdym dniem coraz bardziej rosnącą w siły Rzeszę.

W Monachium przesądzono sprawę Czechosłowacji. W tym czasie Sir Kennard mówił w Warszawie do ministra Arciszewskiego: — Wszystkie trzy zainteresowane mocarstwa, Brytania, Polska i Francja, śledzą z uwagą każdy krok Hitlera. I we właściwym czasie mocarstwa te znajdą możność określenia swojego stosunku do polityki Rzeszy.

Minister Arciszewski z dumą cytował słowa brytyjskiego ambasadora. I nie potrzeba było większej narkozy dla megalomańskich łbów warszawskich mocarzy. Jesteśmy mocarstwem, proszę państwa, i to nie byle jakim. Wypowiadamy się jednocześnie z Wielką Brytanią i Francją. I złota dostaniemy ile tylko zechcemy, i granice nasze rozszerzymy... A ten tam, jakiś tam frajter, woła o pracy, o współpracy, o porozumieniach... Owszem, mogą być i porozumienia, ale z lordami, z prawdziwymi lordami, takimi, co to mają do swej dyspozycji pół miliarda niewolników, pół miliarda! I złota niezliczone ilości... powódź złota...

— — — — — — — — — — —

Powróciwszy do kraju, po raz pierwszy decyduję się nawiązać bliższy kontakt z ugrupowaniami narodowymi. Młodzież narodowa czytała moje artykuły, wysłuchuje ze zrozumieniem i uznaniem moich opowiadań o postawie narodu niemieckiego, o wypadkach wiedeńskich, o postaci Führera i nowym porządku społecznym, głoszonym przez tego niezwykłego człowieka. Zbliżam się bardzo do kierownictwa pewnej narodowej organizacji, której nazwy nie chcę tutaj wymieniać, gdyż zbyt wielką sprawia mi to przykrość, zbyt bolesne jest dla mnie wspomnienie tej sprawy. Nie wymienię też tutaj imion przyjaciół moich, towarzyszy organizacyjnych, czytelnik bowiem nazwie ich późniejsze dzieło zdradą. Ci ludzie nie zdradzili mnie, zaprawdę nie zdradzili mnie — nawet wówczas, gdy oddawali mnie w ręce siepaczy II oddziału. Zdradzili Polskę. Zdradzili Polskę, której chcieliśmy wszyscy razem służyć. Dlatego przemilczę na tych stronicach imiona tych, którzy na zawsze przysięgali mi przyjaźń i koleżeństwo, którzy szumnie zapewniali mnie na każdym kroku, iż pracować będziemy razem dla wielkiej sprawy ratowania Polski od zguby, do której wiodła ją rządząca na Zamku klika...

Jak powiedziałem, zbliżyłem się bardzo do organizacji narodowej, walczącej o narodową Polskę, o uwolnienie Polski spod wpływów międzynarodowego żydostwa i kapitalizmu. Program tej organizacji był niemal pod każdym względem całkowicie wzorowany na narodowym socjalizmie. Swobodna wymiana zdań między mną a kierownictwem ideologicznym organizacji pozwoliła mi dojść do przekonania, iż jesteśmy również całkowicie zgodni co do dróg, którymi winna w przyszłości kroczyć polska polityka zagraniczna. Cieszyło mnie i radowało każde poczynanie tej żywej, aktywnej i prężnej organizacji, w której szeregach było wielu dzielnych, szlachetnych przedstawicieli polskiej młodzieży. Na czele tej organizacji stał człowiek, który wydawał mi się uczciwy i prosty, konsekwentnie kroczący do raz wytkniętego celu. Z tą organizacją — dobrze wiedziałem o tym — poważnie liczono się w sferach rządzących. Szeregiem zdecydowanych wystąpień a nawet aktów terrorystycznych budziła ona poważanie i lęk. W łonie organizacji istniała również, na żelaznej dyscyplinie oparta, grupa bojowa, która już niejednokrotnie w sposób bardzo przekonywający dała znać o sobie. Znałem tchórzostwo rządzącej kliki, niejednokrotnie miałem możność przekonać się, jak bardzo ci ludzie drżą o swoją skórę i dygnitarskie posady. Łatwo więc będzie im przemówić do rozumu, jeśli zechcą wydać Polskę na zgubę.

W tym czasie rozpoczynam na dużą skalę pracę nad zamierzoną książką o Trzeciej Rzeszy. I nie tylko o Rzeszy. Fascynuje mnie postać jej wodza, dla którego kariery i poczynań nie umiałem znaleźć odpowiednika w dziejach świata. Dobrze, postanowiłem sobie, dotrę do niego poprzez jego dzieło, w jego pracy odkryję jego świat, zajrzę do zbiorowej duszy narodu — do jego zajrzę duszy — to on powiedział przecież, iż jest nimi, a oni wszyscy są nim... Zobaczę jego świat i odkryję jego — będzie to reportaż, który zaspokoi moją pisarską pasję.

Postanawiam jeszcze raz przejechać przez Rzeszę. Jeszcze raz zobaczyć, posłyszeć, wyczuć i przeczuć. A już potem pisać, pisać, pisać...

Oto i mój pierwszy kontakt z niemiecką ambasadą. Proszę o wizę, o wskazówki i informacje, o ułatwienia podczas podróży. Śpieszy mi się, doceniam powagę sytuacji, chcę jak najprędzej tę podróż odbyć — w wybuch wojny światowej z racji Sudetów nie wierzę, znam angielskie metody. Gdy trzeba będzie sprowokować wojnę, przyjdzie do tego z łatwością, a Hitler sam za żadną cenę żadnej wojny nie znacznie, zanadto kocha swój naród. — Więc trze-

ba się śpieszyć, jest jeszcze czas, muszę spełnić to, co do mnie należy: opisać i ukazać moim współobywatelom zachodniego sąsiada takim, jakim go zdołałem poznać. Być może, ten mój krok nie wywrze żadnego wpływu na dalszy rozwój stosunków polsko-niemieckich, ale nad tym nie wolno mi się zastanawiać. Byłem stypendystą Funduszu Kultury Narodowej. Z uczuciem dumy stwierdzić mogę, iż te pieniądze nie posłużyły mi jedynie gwoli ułatwienia egzystencji. Spłaciłem Polsce zaciągnięty dług. Całkowicie spłaciłem. I to moje prawo, aby o sobie powiedzieć: spełniłem swój obowiązek wobec kraju. Nic sobie nie mam do wyrzucenia.

Jak wspomniałem, ów wyjazd do Rzeszy jest okazją do pierwszego kontaktu z ambasadą niemiecką, kontaktu, który później będzie starał się „drugi oddział" przedstawić jako ścisłą współpracę i całkowite zaprzedanie się. W tym miejscu, po raz drugi, podkreślić muszę moment, który zmusza mnie do wyrażenia wdzięczności wobec moich katów: ani jeden z nich, znęcając się nade mną i masakrując moje ciało, nie zarzucił mi, iż miałbym być opłacany przez ambasadę niemiecką.

Po raz pierwszy w życiu przekraczam progi ambasady niemieckiej, aby załatwić sprawę bezpłatnej wizy oraz ulg kolejowych, a więc aby uzyskać akurat tyle, ile przysługuje każdemu publicyście, udającemu się na teren Rzeszy. Zresztą przyniosłem z sobą, jak to jest w zwyczaju, list od redakcji, dla której pracowałem, stwierdzający, iż udaję się do Rzeszy w związku z wykonywanym przeze mnie zawodem pisarza i publicysty.

Zawieram znajomość z attaché prasowym ambasady, z którym wywiązuje się dłuższa, ożywiona wymiana zdań. Ten człowiek okazał się przede wszystkim wielkim znawcą ludów słowiańskich, przebywał przez szereg lat w Moskwie, jest już od trzech lat w Warszawie, o Polakach mówi ze szczerą sympatią, wyczuwam w jego słowach nutę prawdziwej szczerości, zupełny brak wszelkich dyplomatycznych grzeczności — jest to typ niemieckiego współczesnego dyplomaty: uznaje bezpośrednią i szczerą wymianę poglądów, swe założenia opiera na nienagannej poprawności i etycznym postępowaniu. Moja dalsza z nim znajomość w zupełności potwierdziła, iż nie omyliłem się ani na jotę w moim sądzie o nim.

Rozmowa obraca się około zamierzonej przeze mnie książki o Trzeciej Rzeszy. Mój rozmówca udziela mi szeregu cennych wskazówek i informacji — umawiamy się, że po powrocie do kraju

odwiedzę go i podzielę się z nim wrażeniami. Żegna mnie żartem:
— Pan jest częściej w mojej ojczyźnie, niż ja.

— Pozdrowię Niemcy w pańskim imieniu, gdy będę przekraczał granicę — ściskam jego dłoń. Sposób bycia i poglądy tego człowieka wywarły na mnie nadzwyczaj dodatnie wrażenie, tak iż postanowiłem, po powrocie do kraju, znaleźć jeszcze sposobność widzenia się i rozmawiania z nim. Zresztą przyrzekł mi pomoc, w razie gdybym potrzebował jakichś materiałów w związku z moją książką o Rzeszy.

Sierpień i wrzesień spędzam w Rzeszy oraz w Pradze, przeżywam wielkie chwile „Parteitagu" w Norymberdze, wstrząsającą mowę Führera, wreszcie w ostatnich dniach września przybywam do Warszawy, aby być do dyspozycji swojego ojczystego kraju w chwili, gdy sztucznymi środkami rozpalono do białości sprawę Zaolzia.

Byłem przeciwnikiem hecy zaolziańskiej. Gdy w roku 1937 oświadczyłem, iż Zaolzie z punktu widzenia ekonomicznego może stać się jedynie zbędnym balastem dla Polski, że jest więc rzeczą zbędną obarczać ją nowymi nabytkami w rodzaju potężnego bloku przemysłowego, jakim jest Zaolzie. Miałem również możność gruntownie zapoznać się z mentalnością Polaków zza Olzy i bynajmniej nie byłem zbudowany ich postawą duchową. Akcja wynaradawiająca, prowadzona przez Czechów nie napotykała z ich strony prawie na żadne sprzeciwy. Chodziło głównie o sprawę szkół dla dzieci polskich. Budynków szkolnych — stwierdziłem to podówczas z całą obiektywnością — było za wiele, brakowało w nich dzieci, gdyż rodzice, ludność górnicza, zapisywała swe dzieci do szkół czeskich. Działo się tak dlatego, iż Czesi ofiarowali wyższe płace tym Polakom, którzy zapisywali swe dzieci do szkół czeskich. Byłem zdania, iż podobnie postępując, ludzie ci nie zasługiwali na to, by Polska kruszyła o nich kopie. Wydatkowano wielkie sumy pieniędzy na propagandę polską wśród ludności zaolziańskiej — uważałem, iż daleko bardziej celowe byłoby budować za te pieniądze w kraju szkoły, drogi, szpitale. Ale w tym czasie zbyt głęboko już tkwiła w umysłach polskich „mocarzy" myśl, iż Polska jest mocarstwem powołanym do odgrywania decydującej roli we wschodniej Europie, iż trzeba pilnować, aby Niemcy zbyt szybko nie urosły w potęgę, więc skoro mają otrzymać Sudety, trzeba to koniecznie zrównoważyć: Zaolziem, Gdańskiem, Wschodnimi Prusami, krajami bałtyckimi, czy ja wiem zresztą czym jeszcze...

Polska zmusiła Czechosłowację do oddania jej Zaolzia, z którym zresztą nie wiedziano później co począć i które w ciągu roku zdążono odpowiednio zrujnować. Ale fakt pozostał faktem: Polska, ustawiwszy swą armię na granicy sąsiada, zmusiła go do zrzeczenia się części swych posiadłości.

Polska wzięła udział w łamaniu postanowień wersalskiego traktatu, którego następnie za wszelką cenę bronić chciała, gdy Rzesza najzupełniej słusznie zażądała powrotu w jej granice Gdańska, miasta, któremu chyba żaden uczciwy Polak nie zaprzeczyłby stuprocentowej niemieckości.

Uważam, iż zdobycie Zaolzia było jednym z fatalnych etapów w dziejach Polski. Teraz już nikt nie wątpił, iż przed armią polską, przed „zbrojnym ramieniem narodu", cofnie się każdy w Europie. Nikt nie doceniał istoty sytuacji, nikt sobie nie uświadamiał, że to Rzesza złamała wersalską strukturę Czech, że Węgry biorą na równi z Polską udział w tej „operacji", którą od początku do końca przeprowadziły Niemcy. Po Zaolziu postarano się ostatecznie przekonać społeczeństwo polskie, iż Polska jest mocarstwem. Wytworzyła się paradoksalna sytuacja: sukces zaolziański poczytywano za wyłączną zasługę armii polskiej, pomimo, iż armia ta nie oddała ani jednego wystrzału, pomimo, iż niczym nie zdążyła przeciwną stronę przekonać o swym przygotowaniu militarnym. „Zwycięski" wódz naczelny, marszałek Śmigły-Rydz, uroczyście wjechał do „zdobytego" Zaolzia a następnie odbył wjazd do Warszawy, podobny „triumfom", odbywanym w starożytnym Rzymie przez prokonsulów. W podobny sposób Kajus Julius Cezar odprawił swój „triumf" po zdobyciu Galii. Ale Rzymianin wiódł za sobą legiony, okryte wojenną kurzawą i chwałą setek zwycięskich bitew, a przed nim kroczył zakuty w kajdany Versengetorix. Kto znał Śmigłego, musiał głęboko boleć, patrząc na ów październikowy wjazd do Warszawy „Wodza Naczelnego"...

— — — — — — — — — — —

Ten, ostatni przed wojną mój pobyt w Niemczech ostatecznie przekonał mnie o dwu zasadniczych momentach, które w następstwie dominować miały nad wszystkimi moimi poczynaniami w kraju: Rzesza stanowiła zwartą, pełnowartościową, żelazną organizację pod względem militarnym i gospodarczym, uduchowioną wielką ideologią narodowo-socjalistyczną a naród niemiecki nie żywił jeszcze w tym czasie żadnych, dosłownie żadnych wrogich uczuć względem Polaków.

Powróciwszy do kraju, równocześnie z pracą nad książką o Rzeszy, zapragnąłem dać wyraz mojemu przeświadczeniu o braku wrogich nastrojów w Niemczech wobec Polaków. Ale już od października roku 1938 w Polsce działy się rzeczy nowe, dla mnie najzupełniej dziwne i niezrozumiałe. Jakaś tajemnicza, niewidzialna dłoń legła na prasie polskiej. Stosunkowo szybko zaniechano wszelkich publikacji, które mogłyby w obiektywny i bezstronny sposób naświetlić sprawy polsko-niemieckie, wzgl. stosunki panujące w Rzeszy. Moje artykuły zwracano mi bez specjalnych wyjaśnień. Tłumaczono krótko i węzłowato: „nie pójdzie". M. i. również „Polska Zbrojna" ograniczyła się do druku moich kilku felietonów literackich, natomiast artykuły o Niemczech oraz fragmenty przygotowywanej przeze mnie książki zostały odrzucone przez tajemniczego cenzora. Naczelny redaktor pisma, Karol Koźmiński, rozkładając ręce bezradnie powiedział: — Chwilowo nic o Rzeszy drukować nie mogę. Nawet gdyby mi pan przywiózł wywiad z Hitlerem, to bym go też nie mógł zamieścić. Zresztą — uśmiechając się dodał — teraz nawet nie moglibyśmy zrobić z nim wywiadu.

— Dlaczego? — zdziwiłem się szczerze.

— Z tej prostej przyczyny, że Hitler mógłby poczynić narodowi polskiemu deklaracje, które nie byłyby na rękę naszemu rządowi. Pan wie najlepiej jak on umie nastrajać masy jednym słówkiem. Nie wyobrażam sobie dziś takiego pisma u nas, które mogłoby zamieścić wywiad z Hitlerem, udzielony dla Polski. Rozumie pan? Hitler mógłby powiedzieć coś, czego nie można by tutaj powtórzyć.

W połowie listopada ostatecznie podziękowano mi w „Polsce Zbrojnej" za współpracę. Byłem już w tym czasie dostatecznie zorientowany, w jakim kierunku pójdzie polityka zagraniczna Polski. Miałem tego wyraźne dowody: przygotowywano już nastroje dla przyszłej akcji propagandowej. Społeczeństwo zupełnie nie było jeszcze zorientowane, nic się jeszcze nie podejrzewało. Pracowano za kulisami. Działał rząd. Działali ci, którzy wytknęli Polsce już wówczas przyszły kierunek jej dziejowego pochodu.

Zaprzestaję całkowicie pracy publicystycznej z przyczyn ode mnie niezależnych — żadne pismo warszawskie nie drukowałoby artykułu, opatrzonego moim nazwiskiem. Istniał jednak wyjątek: pismo owej narodowej organizacji, które jakby na przekór wszystkim i wszystkiemu, zamieszcza moje artykuły o Trzeciej Rzeszy na czołowych miejscach. Jak już wyżej wspomniałem, z kierownictwem ideologicznym tej organizacji pozostawałem w przyjaznych stosunkach.

Muszę stwierdzić, iż w ciągu wiosny i lata 1939 ze strony niemieckiej odzywało się wiele wyraźnych ostrzeżeń, które niestety pozostawały bez żadnego skutku. Głosy niemieckie z tego okresu świadczą może najbardziej wymownie, jak bardzo starano się zapobiec konfliktowi. Niechaj nikomu się nie zdaje, iż przesadzam, stwierdzając, iż nikt w Rzeszy nie myślał ani przez chwilę o zniszczeniu Polski.

Oto przede mną artykuł jednego z najwybitniejszych niemieckich publicystów, redaktora „Danziger Vorposten" Wilhelma Zarske, który w następujący sposób pisał w dniu 1. IV. 1939:

„Ze strony ministerstwa spraw zagranicznych oświadczono, że „Polska z uznaniem powita krok uczyniony ze strony Anglii". Nie da się jednakże zataić, że mimo ryzyka, którym grozi Polsce polityka wywołana egoizmem angielskim, duma Polaków jest niepospolicie połechtana, że postawiono nagle Rzeczpospolitą Polską w punkcie środkowym całej dyskusji. Przy tym oczywista nie należało by zapominać w Polsce o tym, że i Czechosłowacja czuła się raz pogłaskaną z chwilą wciągnięcia jej przez oświadczenia gwarancyjne ze strony mocarstw zachodnich na drogę, która w końcu doprowadziła do katastrofy. Dość jasno podkreślone w „Times" zastrzeżenia co do możliwości scharakteryzowania położenia, jakie powstało po ogłoszeniu gwarancji, oraz co do możliwości określenia przyszłych stosunków polsko-niemieckich, wskazują wyraźnie na to, iż niewielu ludzi w ogóle wie, jakie właściwie dano ze strony angielskiej zapewnienia Rzeczypospolitej Polskiej i czy obietnice te wystarczały, aby skłonić Polskę do zmiany polityki, która już w praktyce przyniosła olbrzymie korzyści (Polsce, dzięki utrzymywaniu poprawnych stosunków sąsiedzkich z Rzeszą przyp. tłum.) Jest pytaniem, czy Polska, która przez pakt z Niemcami z roku 1934 zrzuciła poddaństwo wobec Francji i od tego czasu począwszy, prowadziła z całkowitą aprobatą Rzeszy samodzielną politykę, gotowa będzie przyjąć na siebie rolę figury szachowej w angielskim systemie rozgrywek politycznych. Podczas gdy i w tym wypadku dla Anglii chodzić może jedynie o próbę utrzymania prestiżu, to Polsce chodzi o coś więcej, aniżeli o rozgrywkę prestiżową w osiągnięciu gwarancji, że mocarstwa zachodnie zlikwidują ostatecznie niesympatyczną dla Polski politykę lokarneńską. Udowodniona solidna współpraca z potężnym sąsiadem — Niemcami, stanowić może dla Polski, mimo przyjemnie dla ucha brzmiących syrenich śpiewów z Londynu, w każdym razie lepszą gwarancję życiową, aniżeli udział w systemie okrążania Rzeszy, potężnego sąsiada, który nigdy nie zaprzeczał prawa do życia

państwu polskiemu. Prawdopodobnie zachowały się jeszcze w pamięci polskich czynników rządzących przemówienia Adolfa Hitlera, w których najwyraźniej sprecyzował on stanowisko swoje wobec Polski. Dopóki ważny jest układ niemiecko-polski, którego dodatnie strony nie ograniczają się jedynie do Rzeszy i Polski, ale również uchroniły Europę od ciężkich wstrząsów, jedynie wymysłem jest groźba „zagłady Polski". Nikt ze strony niemieckiej nie podawał w wątpliwość ważności układu i nigdy polityka niemiecka nie naruszyła treści zawartej umowy. Rozwiązanie bowiem spornych kwestii między Berlinem i Warszawą jest podstawą pozytywnego niemiecko-polskiego układu. Zamiar Chamberlaina zorganizowania światowego frontu przeciwko Niemcom nie został zrealizowany, z powodu powszechnego braku zainteresowania. Jeśli ostatecznie nic innego nie przyszło na myśl, aniżeli to gwarancyjne oświadczenie wobec Polski, to musi Rzesza także i w tym śmiesznym geście dopatrywać się nowego przykładu rozmyślnego wzniecania niepokoju. Jest to dla nas zrozumiałe, że oświadczenie Chamberlaina było przeznaczone dla tych szowinistycznych elementów w Polsce, które przyczyniły się do pogorszenia stosunków niemiecko-polskich i stało się nową przeszkodą jasnego i szczerego omówienia zagadnień niemiecko-polskich. W tej sytuacji realnopolityczne rozpatrzenie zagadnień, z których wyłaniał się pakt roku 1934, jest w chwili obecnej potrzebą, która korzystnie różniłaby się od hałaśliwych alarmów, jakimi posługuje się polityka angielska".

Jak z powyżej przytoczonych słów Wilhelma Zarske'go widać, nikt w Rzeszy aż do dnia wybuchu wojny nie myślał o zagładzie państwa polskiego, natomiast z artykułu publicysty niemieckiego przebija troska o możliwie najpomyślniejsze dla obu krajów ułożenie stosunków wzajemnych, przy czym Zarske zupełnie słusznie domaga się wyeliminowania z tej sprawy arbitra angielskiego. Uważa on, podobnie jak wielu ludzi w Polsce, iż wszelkie sporne zagadnienia mogą być załatwione wprost między Berlinem a Warszawą. I słusznie. Nie liczył się tylko z jednym p. Zarske — z megalomanią kierowników polskiej nawy państwowej...

— — — — — — — — — — —

Tymczasem w Warszawie nasilenie antyniemieckiej propagandy z każdym dniem do coraz potworniejszych urasta rozmiarów. Nagonka ta osiąga swój punkt kulminacyjny po mowie ministra spraw zagranicznych Becka, który ostatecznie spalił za sobą mosty.

Teraz już rozpętała się burza na dobre. Żydowskie pisma żargonowe i tzw. polskie prześcigały się w deklaracjach „zwartości i gotowości polskiego narodu do udzielenia odprawy germańskiemu zaborcy". Na rozkaz z Londynu i za pozwoleniem i zgodą polskiego rządu rozpoczęły przestępcze indywidua na szeroką skalę zakrojoną akcję propagandową, mającą na celu uświadomienie polskiemu narodowi, jak zbrodnicze zamiary żywią wobec Polski zachodni sąsiedzi.

Wyzwoliła się w Polsce żydowsko-masońska nienawiść do narodowego socjalizmu...

Już nic nie krępowało londyńskich agentów. Grożono Niemcom, wyśmiewano ich armię, opowiadano niebywałe historie o bluffie niemieckiego lotnictwa, lżono i znieważano osobę kanclerza Hitlera — w czym szczególnie celował krakowski „Ilustrowany Kuryer Codzienny".

W tym czasie Niemcy zajęły wobec mowy Becka spokojne i rzeczowe, aczkolwiek zdecydowane stanowisko. Oto co m. in. pisze wspomniany już wyżej Wilhelm Zarske w artykule „Unsere Antwort an Beck", zamieszczonym w dniu 6 maja na łamach „Danziger Vorposten":

„Niechaj p. Beck wyda los narodu polskiego na pastwę nieuczciwej gry angielskiej, niechaj przez czas jakiś żyje iluzjami, że może, mając za sobą Anglię, pozwolić sobie na utratę na zawsze przyjaźni Niemiec. Nasz polski sąsiad będzie musiał wówczas na pewno liczyć się z tym, że jeżeli Polska, połknąwszy wątpliwy podarunek angielski, zatruje sobie na zawsze żołądek tym niestrawnym puddingiem, Rzesza nie stanie już do jej dyspozycji jako ratujący lekarz".

W tym samym artykule czytamy następujące wyjaśnienie w sprawie stosunku Niemiec do zagadnienia dostępu Polski do morza:

„Führer kilkakrotnie z całą stanowczością przyznawał państwu polskiemu prawo dostępu do morza. Niemieckie miasto Gdańsk mogłoby w interesie Polski wykonywać te same funkcje gospodarcze, co dzisiejsze wolne miasto poza granicami Rzeszy. Rzesza bowiem nie ma powodu uszczuplać polskich praw dostępu do morza. Jednakże, według zdania naszego, aktywność tak młodego państwa, jak nowotworząca się Polska, która otrzymała w prezencie tradycyjny Gdańsk jako okno na morze, nie powinna była uwydatniać się w jednostronnym tworzeniu konkurencji przeciw

Gdańskowi, ale rozwijać się w granicach własnych ziem, i to szczególnie na obszarach wschodnich, gdzie dotychczas bardzo mało zrobiono. Skoro Polska — według słów Becka — przywiązuje tak znaczną wagę do Wisły, to nam wydaje się to frazesem, gdyż śmiało możemy tutaj oświadczyć, że rzeka ta, zwłaszcza tam gdzie przepływa przez dawne ziemie niemieckie, znajduje się w opłakanym wprost stanie. Polska na uregulowanie Wisły dotąd mało łożyła, natomiast wydawała miliony na budowę w Gdyni urządzeń, już istniejących w Gdańsku. Jeżeli p. Beck mówi o polskim honorze, to stan, w jakim się znajduje bieg rzeki Wisły i jej brzegi jest właśnie plamą na honorze polskim, a dla nas i dla świata typowym przykładem „polskiej gospodarki".

„Honor polski oznacza honor 30-milionowego narodu, o ile uwzględniamy Ukraińców, Białorusinów, Żydów i inne mniejszości narodowe. Honor niemiecki oznacza honor 80-milionowego narodu. W tej skali porównania możemy spokojnie połączyć się z Beckiem w zamiarze robienia z Gdańska i korytarza kwestii honoru".

Pomimo więc zdecydowanie negatywnego stanowiska, zajętego przez kierownika polskiej polityki zagranicznej, Niemcy w dalszym ciągu podkreślali pełną gotowość do bezpośredniego porozumienia się z Warszawą. Ale, jak się rzekło, w Warszawie rozbrzmiewały wojenne fanfary i bojowe okrzyki, toteż żaden głos rozsądku nie mógł być słyszany. Tych, którzy w kraju mieli odwagę mówić o konieczności załatwienia sporu z Rzeszą na drodze bezpośrednich pertraktacji, zaczęto wywozić do Berezy Kartuskiej.

— — — — — — — — — — —

W tym czasie otrzymałem wiadomość, iż policja polityczna żywo interesuje się moją osobą. Nie zaniepokoiło mnie to jednak w najmniejszym stopniu, ponieważ nie miałem na sumieniu żadnej winy a wierzyłem, że niewinnego człowieka nie oskarżono by o jakieś przestępstwo. Rzecz jasna, iż byłem przygotowany na ewentualne izolowanie mnie za t. zw. „sianie defetyzmu". Matka moja odbyła ze mną kilkakrotnie rozmowy, prosząc, abym się w tych niepewnych czasach tak otwarcie nie wypowiadał, abym przestał na każdym kroku podkreślać swoje germanofilstwo. Otrzymałem w tym czasie kilka anonimowych listów i telefonów z ostrzeżeniami lub też pogróżkami, stała się też zupełnie widoczna zmiana nastawienia w stosunku do mnie warszawskich kół towarzy-

skich. Unikano mnie. Zrozumiałem, iż mogę lada dzień dostać się w miejsce odosobnienia t. j. do Berezy Kartuskiej. W jedno tylko nigdy nie uwierzyłbym, iż mogą mnie posądzić o uprawianie szpiegostwa... Starałem się też matkę moją łagodnie przygotować na to, iż pewnego dnia będzie musiała może rozstać się ze mną.

Jeden z kierowników organizacji narodowo-radykalnej, człowiek bezsprzecznie uczciwy i dla mnie przychylny, wyznał mi w połowie maja, iż zadenuncjowano mnie wobec „drugiego oddziału" jako tego, który rzekomo namawia kierownika organizacji do uprawiania propagandy za porozumieniem z Niemcami i za zmianą ustroju w Polsce. Błagał on mnie, abym się ratował, abym się natychmiast udał do Niemiec, ponieważ tam będę bezpieczny. Wyjaśniłem mu spokojnie, iż nie mam czego szukać w Niemczech, ponieważ będzie to tutaj wyglądało na ucieczkę i potwierdzi tylko oszczerstwa, jakobym był winny, Niemcom natomiast tego rodzaju wizyta wyda się niezwykle dziwna, bo nigdy z nimi w żadnym kontakcie nie stałem i dlatego nie mogę żądać od nich teraz opieki. Nie, uciekać nie zamierzam. Nie ma po temu żadnego powodu. Zresztą nie obawiam się „drugiego oddziału", ponieważ nie poczuwam się do żadnej winy. Poza tym przed sześciu tygodniami policja odebrała mi mój zagraniczny paszport pod pozorem sprawdzenia jakichś formalności. Zapewne oni też liczyli się z możliwością, iż będę chciał wyjechać za granicę.

Mój rozmówca zaproponował mi, iż on z kilku oddanymi sobie ludźmi przeprowadzi mnie przez granicę polsko-niemiecką, chociażby miał to życiem przypłacić. Stanowczo odmówiłem, wyjaśniając, iż moim obowiązkiem obywatelskim jest pozostać tutaj, że nie mam czego szukać teraz w Niemczech, że skoro jestem polskim obywatelem, to powinienem też w Polsce szukać rehabilitacji i obrony przed niesłusznymi podejrzeniami. „Panie — powiedziałem wówczas — jak pan to sobie wyobraża? Zjawiam się nagle. w Berlinie i powiadam: Oto jestem, proszę panów, uciekłem z kraju, ponieważ tam podobno posądzono mnie o to, że utrzymuję z Rzeszą kontakt, teraz opiekujcie się mną i pozwólcie mi tutaj żyć. Nie, proszę pana, ja nie będę uciekał do Niemiec, ponieważ oni sami wyśmieliby moją ucieczkę."

W Warszawie otaczała mnie coraz bardziej wroga atmosfera, prawie nigdzie nie przyjmowano mnie, nawet dobrzy znajomi unikali mnie, jak zapowietrzonego. Utrzymywanie ze mną stosunków mogło ściągnąć podejrzenia, że się jest sympatykiem Rzeszy, a to już w tych czasach groziło bardzo poważnymi konsekwencjami.

Już nic nie drukuję, ponieważ nikt nie chce nic drukować mojego, chociażby to były utwory czysto literackie. Również nie występuję nigdzie publicznie. Nie mogę nawet jeździć bezpiecznie samochodem ulicami miasta, ponieważ wóz mój ma niemieckie numery, a to grozi w Warszawie ukamienowaniem. Razu pewnego wyrostki żydowskie rozbili szyby w moim wozie i przy tym pobito mnie pałkami i kamieniami, po czym sporządzono o zajściu protokół w komisariacie policji, przy ulicy Krochmalnej. Dziennikarze, moi koledzy z „Polski Zbrojnej" i z innych pism, dla których dawniej pracowałem, nie poznają mnie, nie kłaniają mi się.

Po raz ostatni jestem obecny na odczycie prof. Studnickiego, na temat polskiej polityki zagranicznej. Zabieram wtedy dwukrotnie głos, podkreślając stanowczo, iż ta Polska, która uprawia obecnie w Europie politykę łamańców politycznych, nie może liczyć na względy w Berlinie. Oświadczyłem wówczas, iż sprawa ułożenia wzajemnych przyjaznych stosunków z Berlinem jest dla Polski kwestią życia, ponieważ pociągnie to za sobą odrodzenie wewnętrzne narodu na zdrowych podstawach narodowo-socjalistycznych.

Trzeba przyznać, iż Studnicki bardzo odważnie oświadczył się za ugodową polityką wobec Rzeszy i położył szczególny nacisk na fakt, iż jego zdaniem Polska w ogóle nie może prowadzić wojny z Rzeszą, że rozpoczynając taką wojnę Polska stoi na z góry straconej pozycji. Niestety, decydujące w Polsce czynniki były innego zdania.

O moim wystąpieniu podczas odczytu Studnickiego wiele jeszcze mówiło się w Warszawie. Szczególnie moi koledzy pisarze, którzy jeszcze utrzymywali ze mną luźny kontakt — ostatecznie go zerwali. Jeden z nich wyjaśnił mi, iż po tym, co powiedziałem, nie można mnie inaczej traktować, niż się traktuje tych, którzy działają na szkodę własnego kraju. Z Niemcami na drodze pokojowych rokowań do porozumienia nie dojdziemy — dlatego trzeba szykować wszystkie siły do wojny, a nie rozprawiać o narodowym socjalizmie.

Miałem ponownie otrzymać stypendium Funduszu Kultury Narodowej, jednakże zmieniono już podpisaną decyzję i nadano to wyróżnienie komu innemu. W tej sprawie rozmawiałem z zastępcą dyrektora Funduszu Kultury Narodowej, który mi oświadczył co następuje: „Trudno mój panie, czasy są teraz takie, że trzeba przeciw Niemcom krzyczeć, a pan akuratnie teraz wystąpił z tymi artykułami w „Falandze" i do tego mówi pan za wiele i za

dobrze o Niemczech. Nie ma pan wyczucia sytuacji. Dlatego odmówiliśmy, choć o pana bardzo walczył profesor Adamczewski, obstawał przy tym, że się to panu należy, bez względu na pańskie przekonania polityczne.“

W początkach czerwca 1939, na krótko przed moim aresztowaniem, przybył do mojego mieszkania wspomniany wyżej członek kierownictwa organizacji narodowo-radykalnej i jeszcze raz oświadczył mi, że koledzy jego oddali mnie w ręce polskiego wywiadu wojennego, że nad tą sprawą czuwa osobiście sam wiceminister spraw wojskowych generał Głuchowski, że jestem oskarżony o przygotowywanie zbrojnego zamachu stanu, że uprawiam hitlerowską propagandę, że jestem agentem niemieckiej ambasady itd., itd. Zdradził mi, iż mają mnie w najbliższym czasie aresztować, że przeciw mnie w listopadzie albo grudniu odbędzie się wielki proces, który będzie miał ogromne znaczenie propagandowe, bo będzie to proces, na którego tle wykaże się, iż Niemcy boją się zacząć wojnę z Polską i dlatego chcą rozsadzić spoistość narodu, jedność społeczeństwa i że ja miałem właśnie tym celom służyć. „Oni się z panem nie śpieszą, ponieważ Głuchowski powiedział, iż wojna wybuchnie dopiero w marcu 1940 roku, więc jest jeszcze czas. Ale w każdym razie może pan się spodziewać, iż pana w każdej chwili zaaresztują i dlatego błagam pana, niech pan mnie usłucha i ucieka do Niemiec.“

— Dlaczego okazuje mi pan tyle życzliwości? — zapytałem go wówczas.

— Ponieważ walczy pan o słuszną sprawę, ponieważ podzielam pańskie poglądy... I wierzę w zwycięstwo Rzeszy!

Opowiedział mi, w jakich okolicznościach nastąpiło zadenuncjowanie mnie, nawet powtórzono moje słowa, skierowane do kierownika organizacji podczas jednej z rozmów: „Niech pan się teraz deklaruje. Jeśli nawet Śmigły posunie się tak daleko, iż wypowie Niemcom wojnę, to pan będzie tym, który podpisze pokój i w ten sposób uratuje Polakom ich ojczyznę!“

I tym razem, pomimo zaofiarowanej mi przez niego pomocy, stanowczo odrzuciłem wszelką myśl o ucieczce z Polski. W ten sposób dałbym tylko moim wrogom w rękę atut przeciw mnie, byłoby to dowodem, iż poczuwam się do winy, a ja jestem absolutnie niewinny — cokolwiek uczyniłem albo powiedziałem, stało się w imię służby dla kraju i narodu. Nie mam sobie nic do wyrzucenia.

Staram się zachowywać spokojnie i czekam na dalszy rozwój wypadków.

Po kilku dniach odkrywam wśród swoich znajomych — agentów, którzy uważnie obserwują każdy mój krok. Nie zwracam na to jednak wcale uwagi, nawet jestem z tego zadowolony. W ten sposób władze przekonają się, iż jestem niewinny, iż jestem spokojnym i lojalnym obywatelem, który bynajmniej nie zamierza wywołać rewolucji. Niech sobie obserwują...

Przekonuję się, iż jestem śledzony, że nie mogę już ani kroku uczynić, aby za mną nie szło w ślad dwu agentów policji. Nawet nie bardzo się z tym kryją. W pobliżu mojego domu stoi stale samochód, który jedzie w ślad za moim samochodem...

Nieustannie pracuję teraz, chcąc jak najprędzej wykończyć moją książkę „Hitler i jego świat". Praca moja szybko postępuje naprzód, tak iż wkrótce zamierzam przystąpić do zrobienia ostatecznej korekty. Niestety, los nie pozwolił mi tej korekty dokonać, a rękopisy książki — z wyjątkiem nielicznych fragmentów — dostały się wkrótce w ręce siepaczy „drugiego oddziału".

Oto rozpoczynam ostatni rozdział moich wspomnień, który zaprowadzi mnie do piwnic „drugiego oddziału", do więzień i lochów Warszawy i Brześcia, aby wreszcie wszystko ukoronować cudownym ocaleniem przez wojska niemieckie, niemal że w ostatniej chwili przed śmiercią.

— — — — — — — — — — —

Miałem niespokojną, koszmarną noc. Nie mogłem spać, parokrotnie zaglądałem do pokoju matki — spała, ciężko oddychając. Biedna Matka...

Zasnąłem dopiero nad ranem.

Obudziły mnie czyjeś głosy. Zanim otworzyłem oczy, doznałem wrażenia, jak gdyby wielu ludzi znajdowało się w moim pokoju.

— Powstać!

Dwie rewolwerowe lufy wycelowane we mnie... Wiele obcych, skupionych twarzy...

— Oddać broń! Nie ruszać się!

— Co to wszystko znaczy? — słyszę drżący głos mojej matki.

— Pani syn dobrze wie, co to znaczy — brzmi twarda, zła odpowiedź.

Rewizja robi na mnie wstrząsające wrażenie. Badają ściany, meble, ubrania, oddzierają podeszwy od butów, wylewają zawartość butelek...

Znalezienie dwu chorągiewek niemieckiego automobilklubu, którego członkiem jestem od kilku lat, wywołuje paroksyzm radości. Chorągwie ze swastyką!!! „Co, chciałbyś się pan doczekać takiego dnia, aby je można było na balkonie wywiesić?!"

Nic nie rozumiem. Przede wszystkim nie wiem, o co tym ludziom chodzi i czego ode mnie chcą.

Maszynopisy książki „Hitler i jego świat" chowa jeden z nich do teczki. Przy tym słyszę ironiczną uwagę: „To już my postaramy się panu tę książkę wydać."

Teraz z kolei wybucha radość, gdy z szuflady mojego biurka wydobywają kupioną kiedyś w Niemczech kolekcję fotografij Führera. „Spory zapas tego posiada pan. Czy to pan rozdaje w Polsce biednym?"

Na moim biurku stoją, podobnie jak dziś, 21. VIII. 1940 — w chwili gdy piszę te słowa — dwie fotografie: Hitler i Piłsudski. Geniusz, który stworzył religię narodowo-socjalistyczną i jeden z najpierwszych w Europie mężów stanu, który zrozumiał, iż rządzony przez niego naród winien budować swą przyszłość przede wszystkim na trwałej współpracy i pełnym porozumieniu z ruchem ideowym, powołanym do tego, aby zmienić oblicze świata.

Obie fotografie wędrują wspólnie do walizy z „dowodami".

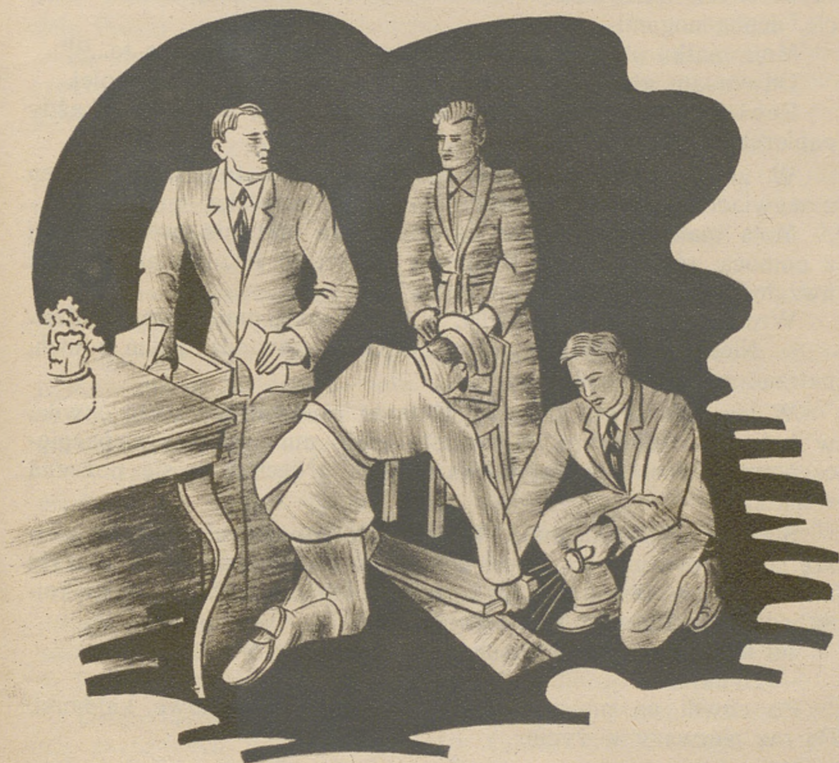
— To bardzo wymowne i symboliczne — pozwalam sobie na uwagę. — Hitler i Piłsudski stanowią dla panów widocznie nierozerwalną całość.

— Dyskusję z panem na ten temat odkładam do wieczora — odpowiada jeden z agentów i kładzie z powrotem na stole fotografię Piłsudskiego.

Rewizja trwa cztery godziny. Piętnastu ludzi jest zajętych przetrząsaniem mojego mieszkania.

W pokoju mojej matki — krzyk. W chwili, gdy tam wszedłem, asystujący komisarz policji pchnął ją tak mocno, iż zatoczyła się i upadła.

Zabrano paczkę listów, które pisałem do matki z Berlina — za kilka dni stanie się to „poważnym materiałem obciążającym". Odczytają mi potem słowa jednego z listów: „Hitler jest drugim Lutrem albo znacznie więcej niż Lutrem. Jego ideologia jest



Rewizja trwa cztery godziny. Piętnastu ludzi jest zajętych przetrząsaniem mojego mieszkania.

obecnie religią Niemiec i może w przyszłości stać się nowoczesną religią świata, podobnie jak buddyzm, chrześcijaństwo czy mahometanizm. Hitler stanie się nowoczesnym Chrystusem, już nim jest dla Niemców". List ten następnego dnia włączono do moich akt jako materiał dowodowy, świadczący o mojej narodowo-socjalistycznej mentalności.

I jeszcze jedno wydarzenie z fotografią Führera: przywiozłem matce mojej w kwietniu 1938 w ładnej oprawie fotografię Adolfa Hitlera. Stała ona na stoliku w pokoju mojej matki. Teraz, wśród

szyderczych okrzyków i przekleństw drą na strzępy owo zdjęcie, depcą nogami...

Moja matka płacze... „Synu, co z nami robią...? Za co to...?"

Odwracam głowę. Nie mogę patrzeć w oczy matce mojej.

Rewizja trwa nieskończenie długo. Zabierają każdy list, każdy papierek, każdą notatkę...

W międzyczasie telefonuje do mnie kilku znajomych. Jeden z wywiadowców odbiera telefony, notuje nazwiska, numery...

Moja matka dwukrotnie omdlewa, ale nikt nie pośpiesza jej z pomocą, również moja prośba o wezwanie lekarza nie została uwzględniona.

Wreszcie przychodzi chwila, w której mają mnie wyprowadzić.

— Niech pan pożegna się z matką — powiada jeden z nich, patrząc gdzieś w bok.

W jego głosie coś drgnęło. Była to zapewne pierwsza chwila, w której zrozumiałem, iż zawisło nade mną wielkie niebezpieczeństwo. Głos tego człowieka drgnął. „Niech pan się pożegna z matką..."

Staję przed matką moją. W krótkich, poważnych słowach proszę ją, by mi wierzyła, iż nie uczyniłem nic niegodnego, iż niczym nie zawiniłem wobec narodu i prawa... Proszę ją, by była spokojna, cokolwiekby się miało ze mną stać.

Jej matczyne oczy z rozpaczą wpatrują się w moją twarz:

— Synu!...

Po chwili na moich rękach zamykają się stalowe kajdanki. Po raz pierwszy w życiu...

Na dole oczekują nas dwa samochody. Siadam między dwu panów, przed sobą mam również dwu, przy szoferze jeszcze jeden... Za nami drugi samochód z agentami. Reszta pozostała w mieszkaniu, aby kontynuować rewizję.

Miasto jest tego dnia dekorowane flagami.

— Co panie, wolałby pan widzieć tutaj flagi z hakenkreutzem? — uśmiecha się do mnie brunet, jak się później okazało kapitan, od dłuższego czasu prowadzący przeciw mnie dochodzenie. — No ale nie doczeka się pan takiej chwili.

Przyjeżdżamy na ulicę Senatorską, do pałacyku obok galerii Luksemburga.

Na dole w hallu otaczają mnie sami wojskowi. Z zaciekawieniem mi się przyglądają, nie odzywając się ani jednym słowem.

Wreszcie brunet wraz z jakimś atletycznej budowy sierżantem prowadzi mnie na drugie piętro.

— Panie pułkowniku, przyprowadzam panu niedoszłego zbawiciela Polski — woła ze śmiechem. — Jak on się panu podoba?

Za stołem siedzi jakaś czarna bestia. Oczy narkomana i zboczeńca, twarz i postać goryla. Miałażby ta ohydna, strach wzbudzająca bestia w samej rzeczy być polskim pułkownikiem?

— Jest pan oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec! Jest pan agentem Gestapo! My o tym dobrze wiemy i na nic się nie przyda wypieranie się. Zostanie pan teraz przesłuchany. Mówić tutaj całą prawdę, bo inaczej znajdę środki, aby zmusić pana do mówienia.

Po chwili, zajrzawszy mi parokrotnie milcząco do oczów, pułkownik opuszcza pokój.

Rozpoczyna się przesłuchanie, prowadzone przez dwu oficerów, w obecności protokólanta, jakiegoś starszawego majora.

Przynoszą mi moje ulubione francuskie papierosy „Gitanes", stawiają przede mną butelkę „Pommardu".

— Jak pan widzi, są nam znane pańskie przyzwyczajenia — uśmiecha się kapitan-brunet, który mnie z domu zabierał. — Nawet pańska ulubiona marka od paru tygodni czeka tutaj na pana. Teraz zabierzemy się do przesłuchania.

Po paru godzinach poczynam orientować się, iż wokół mnie utkano bardzo misterną sieć, mającą stanowić dowód, iż nawiązałem kontakt z Trzecią Rzeszą, celem obalenia istniejącego w Polsce ustroju, oraz zmiany polskiej polityki zagranicznej.

Cały szereg szczegółów, szczególików, drobnych, pozornie nic nie znaczących wydarzeń mojego życia, urasta nagle w toku przesłuchania do potwornych rozmiarów katastrofalnej lawiny, która grozi mi ostateczną zagładą.

Przede wszystkim tło, na którym ustawiają mnie, jako „hitlerowca":

żyd Dawid Sołowiej, właściciel domu, w którym mieszkałem, świadczy, iż doń zawołałem: „czekaj ty żydzie, przyjdzie Hitler i zrobi z wami porządek";

dzielnicowy policjant Pietunow raportuje, iż na moim aucie zawsze jest chorągiewka z hitlerowską swastyką, a gdy on mi jednego razu zwrócił uwagę, że tego nie wolno w Warszawie robić, niegrzecznie odpowiedziałem mu, aby się nie wtrącał do nieswoich spraw;

przodownik 13 komisariatu policji napisał protokół o pobicie przeze mnie dwu żydów na stadionie sportowym za to, iż siedzieli i śmiali się podczas odgrywania niemieckiego hymnu naro-

dowego, (przynajmniej był na tyle uprzejmy, iż zapisał moje oświadczenie, w którym stwierdzam, że biłem tych łotrów, broniąc dobrego imienia Polaków, jestem bowiem przekonany, że nigdy nie zdarzyłby się podobny wypadek w Berlinie, podczas odgrywania polskiego hymnu narodowego);

pewna warszawska milionerka stwierdza, iż zachęcałem ją do ofiarności na rzecz narodowego socjalizmu w Polsce;

pewna inna dama stwierdza, iż wyśmiewałem polską drużynę narodową piłki nożnej, aby „dla tych biednych Niemców polskiego pochodzenia przynajmniej urządzono kurs języka polskiego“ i przy tym miałem nazwać śląskiego wojewodę Grażyńskiego największym wrogiem polskości;

pewien dziennikarz polski stwierdza, iż w Wiedniu pozdrawiałem kolumny HJ (młodzież hitlerowska) przez podniesienie ręki;

w lokalu warszawskiego klubu tenisowego odmówiłem należenia do jakiejś imprezy, oświadczając, iż nie mogę tego uczynić ze względu na moje narodowo-socjalistyczne przekonania, bowiem do imprezy tej należą osoby niearyjskiego pochodzenia;

zapytany, czy podtrzymuję to wszystko o Rzeszy, co napisałem swojego czasu w prasie i powiedziałem w radio (!!!) oświadczyłem, że jest to wszystko prawdą, więc nie widzę powodu abym to miał dziś odwoływać.

— To znaczy, że Niemcy są dla pana nadal krajem porządku i cywilizacji? Swojego czasu pisał pan, że Niemcy są ogromnie życzliwie i przyjaźnie dla Polaków usposobieni. Czy jest pan tego samego zdania i obecnie?

— Przede wszystkim pisałem i mówiłem o Niemczech za wiedzą i zgodą polskiego rządu, panie kapitanie. Rząd polski zmienił swoje zapatrywania, oto wszystko! Nie budowałem wcale polsko-niemieckiej przyjaźni, lecz mówiłem o pozytywnej konstruktywnej współpracy z Niemcami, ponieważ w niej widzę pomyślny rozwój i bezpieczeństwo Polski.

Lekarz, który leczył matkę moją (również agent...) donosi, że na moim biurku stoi fotografia Hitlera, że wypożyczyłem mu do czytania „Mein Kampf“ i że powiedziałem, iż jest to nowoczesna ewangelia dla całej uczciwej i pracującej ludzkości;

dokładnie wypytują mnie o moją rodzinę i widzę, iż badanie zdąża w kierunku ustalenia, iż moja rodzina jest niemieckiego pochodzenia;

wielokrotnie pytany jestem o przynależność państwową, ponieważ istnieje pewność, iż w tajemnicy (!!!) przyjąłem obywatelstwo Rzeszy.

— Można w tajemnicy zmienić religię, panie kapitanie, ale niepodobna moim zdaniem uczynić tego z obywatelstwem — odparłem.

— Pan tam też i religię zmienił — powiedział suchym tonem przesłuchujący mnie oficer. — Uwierzył pan w Hitlera, nawrócili tam pana Niemcy i za to pan teraz ciężko odpokutuje.

— Stwierdzam, iż mnie nikt nigdy i na nic w Rzeszy nie nawracał. Stałem się narodowym socjalistą dzięki „Mein Kampf" i temu, co w Rzeszy widziałem.

— To wszystko jedno, panie, najważniejsze jest to, że pan stwierdza, że jest pan narodowym socjalistą.

Jeszcze kilkanaście innych szczegółów w rodzaju powyżej przytoczonych, mają stanowić moralne tło dla tych spraw, które przeciw mnie wysunięto.

Zarzucono mi przygotowywanie rewolucji narodowo-socjalistycznej w Polsce, do czego miałem namawiać kierownictwo wspomnianej wyżej organizacji narodowej. Miałem jakoby zachęcać do wywołania rewolucji w chwili, gdy antyniemiecka heca wojenna dojdzie do zenitu. Wtedy miano urnę z sercem marszałka Piłsudskiego ponieść z Wilna do Warszawy, ogłosić narodowo-socjalistyczny program i zawrzeć na nowych warunkach pakt przyjaźni z Niemcami.

Na zapytanie, czy mówiłem, iż Hitler poczyni ustępstwa na rzecz narodowo-socjalistycznej Polski, odpowiedziałem: — Tak jest.

Na zapytanie, czy byłem upoważniony przez kogokolwiek ze strony niemieckiej do składania podobnych oświadczeń, wyjaśniłem, niż nikt nigdy ze strony niemieckiej nie rozmawiał ze mną na temat rewolucji narodowo-socjalistycznej w Polsce, że opierałem to jedynie na moim wewnętrznym przeświadczeniu, oraz na długiej i wszechstronnej znajomości stosunków i atmosfery, panujących w Rzeszy. Polska masońsko-żydowska wywołuje w hitlerowskich Niemczech pogardę. Ratunek Polski widzę w porozumieniu z Niemcami. Porozumienie takie winno nastąpić na płaszczyźnie ideologii narodowo-socjalistycznej.

Dalej wyjaśniłem, iż zbliżyłem się do kół narodowo-radykalnych, ponieważ ich program najbardziej zbliżony jest do narodowego socjalizmu, głoszonego w Niemczech przez Adolfa Hitlera.

Byłem zdania, iż narodowy socjalizm coraz bardziej przestaje być wyłączną własnością partii robotniczej Niemiec, że jest to potężny ruch ideologiczny, który wstrząśnie posadami całego świata — a więc do wzorowania swojego życia na zasadach narodowo-socjalistycznych ma prawo i obowiązek każdy naród, a im wcześniej to uczyni, tym pewniejsza będzie jego przyszłość w płaszczyźnie dziejów.

Oto główny i jedyny powód, dla którego do ostatniej chwili przyznawałem się do narodowego socjalizmu. Nosiłem w sobie jasne i bezwzględne przekonanie, iż nie mogę w żaden inny sposób lepiej służyć krajowi i narodowi polskiemu.

Dla mnie jest i wtedy było rzeczą niewątpliwą, iż Hitler wskazał nie tylko swojemu narodowi, ale całej ludzkości, jak należy żyć. Byłem zdania, iż ruch ten ma podobnie doniosłe znaczenie, jak zasady, głoszone przed 20 wiekami przez Jezusa z Nazaretu.

Zresztą poglądy swoje wypowiedziałem obszernie w napisanej w tym czasie książce „Hitler i jego świat". Rękopis tej książki, skonfiskowany podczas aresztowania mnie, był często odczytywany w trakcie przesłuchiwania mnie w „drugim oddziale". Był to również materiał „dowodowy", mający świadczyć o moich zdradzieckich przeciw Polsce knowaniach.

Zdecydowanie zarzucano mi, iż jestem agentem niemieckiej ambasady, że nawiązałem kontakt z wspomnianym wyżej attaché prasowym i udzielałem mu informacyj o nastrojach w kołach wojskowych i politycznych.

Wreszcie oświadczono mi, iż jestem podejrzany o zorganizowanie całego aparatu ludzi, który postawiłem do dyspozycji niemieckiej ambasady w Warszawie i że ludzie ci rekrutują się ze sfer młodzieży narodowej, względnie spośród wojskowych. Nie wiedziałem nawet, jak mam odeprzeć podobnie bezpodstawny i nonsensowny zarzut. Żądano ode mnie kategorycznie, abym wyjawił listę moich współpracowników.

— Kierownik obozu narodowo-radykalnego wyjawił nam wszystkie pańskie plany i nic pan na tym nie zyska, jeśli będzie się pan teraz wszystkiego wypierał. Wiemy, że ma pan koło oddanych sobie ludzi, których postawił pan do dyspozycji niemieckiej ambasady. Niech pan ujawni nam listę tych ludzi, to może jedynie uratować pana.

Rozpoczyna się długie kręcenie naokoło każdego z moich znajomych. Badają każdy mój krok, każdą rozmowę, każde spotkanie... W ciągu ostatniego roku nie odstępowano mnie ani na krok, byłem stale pod ścisłą obserwacją „drugiego oddziału".

I oto rozumiem:

w ciągu roku 1938 gromadzono starannie fakty, mające w przyszłości służyć jako materiał dowodowy mojego germanofilstwa;

zbierano starannie wszystko, cokolwiek mogłoby wskazać, iż mój stosunek do Niemiec i narodowego socjalizmu był szczerze przyjazny i pozytywny

(a więc w tym czasie gdyśmy pozornie byli w najlepszych dobrosąsiedzkich stosunkach z Niemcami, odgrywano w rzeczywistości jedynie komedię...)

ja o tej komedii nic nie wiedziałem, traktowałem całą sprawę poważnie i dlatego oto stałem się teraz zdrajcą i więźniem Drugiego Oddziału.

Mówiono do mnie: „Minister generał Głuchowski czuwa nad poprawnymi i przyjaznymi stosunkami z Rzeszą. Pan reprezentuje narodowo-socjalistyczne poglądy, więc przyjdzie panu łatwiej niż komu innemu pracować nad zbliżeniem polsko-niemieckim. Niech pan pisze jak najbardziej serdecznie dla Niemców i Hitlera."

Ci sami ludzie, którzy wypowiadali do mnie powyżej przytoczone słowa, w chwili mojego aresztowania stali w pierwszym szeregu wojennych podżegaczy, ci sami ludzie — wówczas przezornie pozostający w cieniu — dziś krzyczą o konieczności przesunięcia polskiej granicy nad Łabę i Odrę, o prawach do Gdańska, Opola, Prus..

Czyżbym był jedynie narzędziem w ich rękach wówczas, gdy patronowali oni moim narodowo-socjalistycznym oświadczeniom...?

Poczynam rozumieć cały tragizm mojej sytuacji.

Wówczas, gdy „Polska Zbrojna" przynosiła moje entuzjastyczne opisy nowego narodowo-socjalistycznego życia Niemiec, „oddział drugi" gromadził materiały, które miały w przyszłości posłużyć do celów wręcz przeciwnych, do szerzenia antyniemieckiej propagandy...

Żądają ode mnie, abym ujawnił, z kim byłem w kontakcie, kto ze mną współpracował na rzecz Rzeszy, jakiego rodzaju rewolucji i kiedy chciałem dokonać...

— Nic panu nie pomoże, my i tak wszystko wiemy. Za chwilę przekona się pan o tym.

Nie umiem odpowiedzieć na te, pozbawione sensu i podstaw pytania.

Udowadniają mi, że prowadziłem na szeroką skalę hitlerowską propagandę, że specjalnie aktywnie w tym kierunku działałem wśród członków obozu narodowo-radykalnego.

Oto w marcu 1939 wygłosiłem w lokalu owej organizacji trzy referaty na nast. tematy: historia powstania NSDAP, technika niemieckiej propagandy oraz reformy socjalne w Trzeciej Rzeszy. Podczas moich odczytów posługiwałem się notatkami, o które następnie poproszono mnie, ponieważ jakoby chciano dokonać streszczeń dla prowincjonalnych oddziałów partii. A oto teraz okazują mi czynione moją ręką notatki... Zdradzono mnie.

Przywiozłem z Rzeszy szereg niemieckich wydawnictw, traktujących o narodowym socjaliźmie, a nie zawierających absolutnie nic przeciw Polsce i Polakom. Pożyczyłem te książki członkom kierownictwa partii. A oto okazują mi teraz te książki w drugim oddziale, zapytując, czy wiem, co grozi za uprawianie hitlerowskiej propagandy... Zdradzono mnie.

W lokalu partii narodowo-radykalnej często prowadziłem ożywione rozmowy na temat Hitlera i Rzeszy. O każdej z tych rozmów natychmiast komunikowano Drugiemu Oddziałowi. Wypowiadałem się swobodnie i bez zastrzeżeń, przeświadczony, iż znajduję się w kole przyjaciół, towarzyszy, wyznawców tej samej ideologii... Zdradzono mnie.

Przez dwa dni zapisują moje zeznania w sposób stosunkowo poprawny. Tylko od czasu do czasu krzyczą na mnie lub grożą użyciem „innych sposobów“, jeśli nadal będę wypierał się zarzucanych mi czynów.

Noc była okropna. Pozwolono mi przez kilka godzin spać w jakimś strasznym pokoju bez okien. U mojego wezgłowia siedział jakiś podchmielony sierżant z gotowym do strzału rewolwerem w ręku. Uprzedzono mnie, że przy najmniejszym poruszeniu się zostanę zastrzelony. Nie spałem.

Po podpisaniu przeze mnie protokółu z drugiego dnia przesłuchania, sprowadzono mnie na dół do piwnicy i wepchnięto do jakiejś małej celki, w której panowały zupełne ciemności.

Podłogę pokrywała warstwa wody, po chwili z odrazą zorientowałem się, iż obok mnie pełzają szczury. W celi panował niewypowiedziany zaduch.

Nie wiem, ile godzin tam stałem, zanim zupełnie osłabiony usiadłem na mokrych kamieniach. Nie spałem. Trwałem w bezruchu, w zapamiętaniu. Była to jedna z najstraszniejszych nocy w moim życiu. Właściwie nie czułem się źle fizycznie. Dużo

straszniejsze cierpienie, toczyło moją znękaną duszę. Świadomość niezasłużonej krzywdy przenikała moje serce, przenikała mnie straszną, nie dającą się opisać rozpaczą.

Oto w gruzy padło wszystko, o czym marzyłem, co tak bardzo ciężko budowałem... Zostałem wrogiem Polski, zostałem oskarżony o to, iż przygotowywałem Polsce zgubę, iż przez dążenie do ugody z Rzeszą pragnąłem Polskę pozbawić niepodległości.

Nie umiem do dziś dnia określić, ile nocy i dni tam spędziłem, myślę jednak, że przebywałem w tej piwnicy przez dwie doby.

Wreszcie wyprowadzają mnie znów na górę. Oślepiony dziennym światłem, na wpół przytomny, głodny — staję przed kilku panami patrzącymi na mnie w milczeniu i wyczekiwaniu.

Przede mną czarna bestia. Pułkownik.

— Czy zacznie pan nareszcie prawdę mówić? Zgnije pan w tym lochu, jeśli pan będzie milczał. Uprzedzam, że to jest tylko słaby wstęp do tych sposobów, których użyjemy, aby zmusić do mówienia prawdy.

— Powiedziałem całą prawdę i nic nie mam do ukrywania — odparłem, siląc się na zachowanie spokoju. Niestety, oprawca ten miał rację, zapewniając mnie, iż jest to dopiero słaby wstęp do „sposobów", przy których pomocy zmuszano aresztowanych do mówienia „prawdy".

Znowu rozpoczęło się badanie, tym razem jednak polegające na tym, iż stawiano mi dziesiątki najrozmaitszych pytań, nie mających nic wspólnego ani z polityką ani z moim prywatnym życiem. O co wówczas chodziło tym ludziom, nie umiem domyśleć się do dzisiejszego dnia.

Okazano mi także setki fotografii członków niemieckiej ambasady w Warszawie, z żądaniem, abym wskazał, kto spośród nich jest mi znany, z kim utrzymywałem kontakt i na czym ten kontakt polegał...

Wszystkie listy, jakie otrzymywałem z Rzeszy, były uprzednio przez pocztę dostarczane Drugiemu Oddziałowi (!!!), tam otwierane, fotografowane i następnie znów mnie dostarczane przez pocztę. Teraz okazują mi setki takich fotografii i żądają, abym powiedział prawdę, co te listy oznaczają i jakiego rodzaju są szyfrem, bo że są tajnym szyfrem, to nie ulega dla tych panów żadnej wątpliwości.

Po kilku godzinach następuje przerwa.

Wszyscy nagle stają się dla mnie bardzo uprzejmi, uśmiechają się, częstują winem i papierosem. Badanie zmieniło się w towarzyską pogawędkę. Jeden z tych panów był w Warszawie na przedstawieniu mojej sztuki, rozmawia o niej ze mną. Odnoszę wrażenie, iż w nastawieniu tych ludzi nastąpiło przesilenie, że przecież doszli do ostatecznego wniosku, iż mają do czynienia z niewinnym człowiekiem, posądzonym o straszne rzeczy jedynie wskutek fatalnego zbiegu okoliczności. Może im się nie podobać mój pozytywny stosunek do Rzeszy, mogą mnie potępiać za narodowo-socjalistyczne przekonania, ale... szpiegostwo?! Nie, na pewno ci ludzie doszli do wniosku, iż nigdy nic wspólnego nie miałem ze szpiegostwem, że nigdy nie byłem w służbie Rzeszy.

— Jutro się wszystko wyjaśni — uśmiecha się jeden z nich, zdaje się wyższy oficer. — Tymczasem przenocuje pan jeszcze tutaj. Dobranoc panu.

Zaprowadzono mnie znów do pokoiku na parterze i pozwolono położyć się na sofce.

Uspokojony i uradowany, iż sprawa moja przybrała dobry obrót, szybko zasnąłem, pełen nadziei, iż jutrzejszy wieczór spędzę w domu, przy boku matki.

Obudzono mnie w nocy. Nade mną stał, ubrany w samą tylko koszulę i trykotowe spodenki, ów olbrzym-sierżant, który przyprowadził mnie na przesłuchanie na górę.

— Proszę wstać.

Wstałem. I w tym momencie otrzymałem straszne, nieludzkie uderzenie w twarz.

Upadłem. Jak przez mgłę przypominam sobie, iż ktoś pomógł mi wstać. W chwili gdy poczynała mi znów wracać świadomość, zadano mi ponowne uderzenie, które poczułem jeszcze straszniej. Pamiętam jak uderzono mnie jeszcze kilka razy w piersi. Poczułem, iż wymiotuję... Straciłem przytomność...

Gdy odzyskałem świadomość, leżałem na podłodze. W pokoju panowała zupełna cisza. Byłem sam. Nie miałem sił poruszyć się, dźwignąć — wszystko bolało...

Nie wiem, ile czasu tak przeleżałem.

Nie mogłem zrozumieć, co się ze mną działo. Moje zdumienie nie miało granic. Dlaczego nagle te bestie przyszły mnie bić, skoro przesłuchanie zakończyło się jak najlepiej dla mnie? Z zachowania się przesłuchujących mnie oficerów, z ich słów, miałem prawo wnioskować, iż dano wiarę moim tłumaczeniom, iż zrozumiano, jak wielką wyrządzono mi krzywdę niesłusznymi podejrzeniami — i nagle... Nic nie rozumiem.

Ułożyłem się na sofie. Nie wiem, czy to już dzień, czy jeszcze noc — pali się w pokoju mała elektryczna lampka, w całym gmachu panuje grobowa cisza.

Po paru godzinach otworzyły się drzwi i znów wszedł mój oprawca.

— Wstać.

Powstałem.

Z dumą dziś mogę powiedzieć, iż wówczas tyle siły w sobie znalazłem, że mu prosto w oczy spojrzałem. W tym momencie otrzymałem pierwszy straszny cios...

Bito mnie — — — bito — — — bito...

— — — — — — — — — — —

Znowu odzyskałem przytomność. Jestem sam. Obok mnie, na krześle: herbata, chleb, masło, szynka, papierosy...

Moja twarz jest w strasznym stanie, całe ciało boli — niewypowiedzianie boli...

Po pewnym czasie wszedł do pokoju jakiś młody, elegancki blondyn, który powiedziawszy mi grzecznie „dzień dobry" poprosił, abym... był uprzejmy i zechciał pofatygować się do pana pułkownika na górę.

Z najwyższym trudem powlokłem się za nim. Po chwili znalazłem się oko w oko z ową potworną, zarośniętą czarną bestią, która miała być rzekomo pułkownikiem.

— No, jak się panu spało u nas? — powiedział dziwnie matowym głosem, patrząc gdzieś w bok i paląc papierosa.

Milczałem. Wtedy on powtórzył jeszcze dwa razy swoje pytanie.

— Dobrze. Skoro nie chce pan mówić, to ja panu dam jeszcze do jutra czas do namysłu.

Zadzwonił. Po chwili ten sam uprzejmy blondyn zaprowadzał mnie z powrotem do „mojego" pokoiku, gdzie też wraz ze mną pozostał.

Zapaliliśmy papierosa. Wkrótce nawiązała się rozmowa.

Blondyn stara się mówić ze mną bardzo serdecznie i życzliwie. Opowiada o tym, iż pracował dla Rzeszy, że go zdemaskowano i aresztowano, że był w tym samym pokoiku jako więzień przed trzema laty, ale okazał skruchę, szczerze i serdecznie do wszystkiego się przyznał, opowiedział całą prawdę — no i dali mu nie tylko możność spokojnego życia, ale i rehabilitacji. Teraz pracuje

dla Polski, czuje się jak nowonarodzony, ożenił się, ma synka... Opowiada mi to wszystko z akcentami wzruszającej szczerości. Podkreśla szczególnie jedno: jemu groziła też kula w łeb, podobnie jak obecnie mnie, ale on się w porę zorientował, iż powiedzenie absolutnej prawdy może go uratować — i tę prawdę powiedział.

— Widziałem dziś matkę pańską — głos jego zadrżał niewypowiedzianym wzruszeniem. — Czy wie pan dlaczego o tym tak szczerze z panem mówię? Ponieważ widziałem dziś matkę pańską... W owej chwili pomyślałem sobie, że jeśli pan do niej nie powróci jak najszybciej, to ona nie będzie żyła. Panie, niech pan nie myśli, że ja z panem dla jakichś innych powodów rozmawiam. Chociaż nie ukrywam wcale, że postanowiłem złamać przepis i porozmawiać z panem jeszcze dziś rano, kiedy patrzyłem w pewnym miejscu na zemdloną matkę pańską. Wiedziałem, że mam mieć nocną służbę przy panu, więc sobie powiedziałem, że nie będę milczał.

W dalszym ciągu mój rozmówca prosi mnie, abym nie oglądał się na żadne osoby, którym ewentualnie mógłbym zaszkodzić swoimi zeznaniami. „Niech pan ratuje siebie i swoją matkę, co pana ktoś tam będzie obchodził. Niech pan sypie wszystkich, oni pana na pewno też nie żałowaliby, ci dranie Niemcy, którzy pana do tej roboty namówili."

Rozumiem, do czego zdąża mój „serdeczny" rozmówca. Muszę przez całą noc wysłuchiwać jego namów, abym ujawnił listę agentów niemieckiego wywiadu w Polsce, abym w ogóle ujawnił wszystko, co mi jest wiadome na temat działalności Niemców w Polsce. „Przecież konktat pan z nimi ma, bo sam pana wiele razy widziałem, jak pan wchodził do niemieckiej ambasady, a raz w Berlinie to w ciągu tygodnia aż trzy razy widziałem, jak się pan udawał do ministerstwa propagandy. Panie, ja za panem dwa razy do Berlina jeździłem".

— To pan powinien być najlepszym świadkiem, że jestem niewinnym człowiekiem.

— Ja wierzę w to, że jest pan niewinny, tylko że Niemcy pana namówili, a pan się dał namówić. Ale ja panu coś powiem, tylko pan musi przysiąc, że to zostanie między nami. Panie, pan im (pokazuje przy tym na górę) jest teraz bardzo potrzebny. Wiem na pewno, że oni pana postanowili zwolnić, jeśli pan okaże skruchę. Panie, ja też mam matkę, którą bardzo kocham. Przysięgam panu na moją staruszkę matkę i na mojego synka, że jak pan im powie prawdę, to oni pana zaraz zwolnią.

— Ja powiedziałem już całą prawdę, proszę pana.

Rozumiem intencje tego ohydnego człowieka, który doskonale odgrywa ze mną komedię, ale on nie rozumie mnie. Wreszcie przerywamy naszą „serdeczną“ rozmowę i mam możność przez dwie godziny spać.

Wkrótce po obudzeniu się wzywają mnie na górę.

Znów kilku oficerów zadaje mi nieskończony szereg pytań, posługując się notatkami. Z charakteru tych pytań wnioskuję, iż są one rezultatem denuncjacyj i oskarżeń ze strony kierownictwa owej narodowo-radykalnej organizacji. Rozumiem także jeszcze jedno: iż ów łotr, który chciał być wodzem młodego polskiego pokolenia jest nikczemnym kłamcą i karierowiczem, ponieważ opowiedział „drugiemu oddziałowi“ rzeczy, o których z nim nigdy nie mówiłem. A uczynił tak dlatego, aby powiedzieć: „Widzicie jakim wzorowym Polakiem jestem, wyrzekłem się panowania nad światem. Niemcy przyrzekali mi pół świata, bylebym z nimi razem poszedł, ale ja nie chciałem“. Wyobrażam sobie jak dumny musi być ten płaz, pozujący na wodza. A przecież jeszcze trzy miesiące temu, gdy mu mówiłem o narodowym socjaliźmie, kiwając głową odpowiadał: „To pieniędzy nie przynosi, proszę pana, a mnie są potrzebne pieniądze. Niemcy nam jakoś dotąd pieniędzy nie zaproponowali. Mógłby ich pan uświadomić, że samą ideologią daleko w Polsce nie zajedziesz“. Jestem głęboko przekonany, że gdybym mu wówczas pieniądze zaproponował, byłby je przyjął — i kto wie, może nawet zdziałałby coś dla Polski prawdziwie pożytecznego. Ale on wolał ucieczkę, ponieważ mówiłem o ideologii, a nie o pieniądzach, ponieważ mówiłem o tym, że Hitler doszedł do władzy nie przy pomocy pieniądza, ale właśnie zaprzeczając pieniądzowi jakiejkolwiek wartości tam, gdzie chodzi o życie narodu. Przecież gdyby Hitler walczył przeciw pieniądzowi pieniądzem, nie zdołałby pokonać żydowsko-masońskiej potęgi złota. On jedynie dlatego właśnie rozstrzygnął na swoją korzyść tę nadludzką walkę, iż posłużył się inną bronią, szlachetniejszą i potężniejszą: wiarą w słuszność głoszonej przez siebie ideologii. Polska nie miała takich ludzi.. Nie miała nawet takich, którzy umieliby się wzorować na tej miary tytanach, co Adolf Hitler. I w tym tkwi również część polskiego dramatu.

— — — — — — — — — — — —

— Jeśli pan nam powie prawdę, będzie pan jeszcze dziś wieczorem w domu i zrobi pan z sobą, co będzie chciał. Albo obejmie

pan pewne bardzo poważne stanowisko w prasie, o czym już rozmawiałem z decydującymi czynnikami i uzyskałem zgodę. Panie, pan może zrobić wielką karierę, jeśli się pan zgodzi ujawnić oficjalnie, wobec opinii publicznej, swoje kontakty z niemiecką ambasadą. A jeśli pan nie chce, to otrzyma pan możność zlikwidowania swoich spraw majątkowych i... — w tym momencie wyciągnął do mnie dwa zagraniczne paszporty, dla matki mojej i dla mnie. — Jak pan widzi, pomyślałem już o rumuńskiej i greckiej wizie, jutro dostaniemy jeszcze egipską i może pan sobie spokojnie wyjechać. A na dowód, że mówię prawdę, pozwalam panu z tego oto telefonu zaraz zatelefonować do domu i powiedzieć matce, która jest o pana bardzo niespokojna, iż będzie pan za kilka godzin w domu.

Boże, dobry Boże, czy to możliwe..? Posłyszę głos matki mojej!...

Tymczasem on nakręcił numer telefonu. Oddaje mi słuchawkę z życzliwym uśmiechem: — Pańska biedna matka przy aparacie, niechże się pan odezwie.

— Mamo... mamo...

— Synu... gdzie jesteś?...

— Bądź spokojna, mamo... władze przekonają się, że jestem niewinny, mam nadzieję, że mi niedługo pozwolą do ciebie powrócić...

— Na pewno powróci pan do niej, może jeszcze dziś. Niech pan uspokoi matkę.

Jeszcze chwila rozmowy: pytam, jak się czuje, proszę, aby natychmiast wezwała lekarza, jest przecież bardzo poważnie chora. Angina pectoris...

— No, dosyć rozmowy, nagadacie się, jak pan do domu powróci.

Rozpoczyna się znów przesłuchanie. „Już ostatni raz pana przesłuchuję. Zakończymy tę gadaninę i pójdę do szefa z wnioskiem o pozostawienie pana pod dozorem policyjnym. Będzie się pan meldował w komisariacie, dopóki przekonamy się ostatecznie, że mówił pan prawdę".

Żądają ode mnie tego samego: listy tych, którzy zadeklarowali, iż będą pracowali na rzecz narodowego socjalizmu. „Nie posądzamy pana, że jest pan płatnym agentem Rzeszy, ale jesteśmy pewni, że pan tutaj na rzecz Niemiec pracuje i że zna pan jeszcze wielu ludzi, którzy są w kontakcie z niemiecką ambasadą.

— Dziwię się, że pan może coś podobnego przypuszczać — powiadam. — Miałoby to znaczyć, że jest wielu zdrajców, którzy pracują na rzecz obcego państwa?

— Wcale nie to chciałem powiedzieć — wycofuje się przesłuchujący — im się zdaje, że oni służą narodowemu socjalizmowi i nie rozumieją wcale, że narodowy socjalizm oznacza wyłącznie Niemcy, bo prawdziwy Polak nigdy narodowym socjalistą nie będzie, nie potrafi nim być, jest to niezgodne z jego psychiką. Pan jest innego zdania?

— Ja jestem zdania, iż świat duchowy Polaka w tym sensie w jakim my teraz rozmawiamy, nie został w ogóle wyzwolony i właśnie dlatego tak wiele i tak chętnie mówiłem w Polsce o narodowym socjalizmie, ponieważ jestem absolutnie przeświadczony, iż tego rodzaju ewolucji w duszy Polaka może dokonać właśnie ideologia narodowo-socjalistyczna.

— To są pańskie literackie mrzonki — odpowiada niecierpliwie, po czym ponawia się pytanie o listę tych, którzy mi przyrzekli te mrzonki w Polsce urzeczywistnić i w drodze zbiorowej demonstracji czy nawet akcji z bronią w ręku postawić narodowi polskiemu pytanie: Czy chce zachować niepodległość, nawiązać dobrosąsiedzkie stosunki z Niemcami i oprzeć swe przyszłe życie na podstawach narodowo-socjalistycznych?

Wyjaśniam: jestem zwolennikiem ścisłej współpracy z Niemcami, wyznaję narodowo-socjalistyczną ideologię, ponieważ jestem zdania, iż zasady przez Hitlera głoszone staną się w przyszłości podstawą do nowej organizacji świata, byłem i jestem zwolennikiem koncepcji sojuszu z Niemcami. Krytykowałem politykę zagraniczną Polski oraz metody rządzenia w kraju, ponieważ moim zdaniem do udziału w rządach nie jest dopuszczany element prawdziwie polski — popierałem walkę przeciw żydo-masonerii, kieruje ona bowiem Polskę na manowce. Z Rzeszą nic wspólnego nie mam — — — żadnych propozycyj ze strony niemieckiej nigdy mi nie czyniono — — — na rzecz Rzeszy nigdy nic nie zdziałałem. Mój pozytywny stosunek do Rzeszy i narodowego socjalizmu jest rezultatem mojej troski o dobro kraju i przyszłość narodu.

Z kolei następuje długa rozmowa, w ciągu której przekonują mnie, iż powinienem zmienić moją taktykę, ponieważ oni i tak mają w ręku dowody winy przeciw mnie i zostanę niewątpliwie skazany na karę śmierci, jeśli teraz, w trakcie składania zeznań, nie zacznę mówić prawdy.

Ogarnia mnie rozpacz. Jak mam tym ludziom wytłumaczyć, że nie mam nic do ukrywania, że mówię prawdę, że jestem niewinny...?

Znowu następuje przerwa, podczas której podają mi obiad.

Wieczorem wzywają mnie znów na górę, tym razem na pierwsze piętro, gdzie zastaję dwu panów po cywilnemu i mojego oprawcę-sierżanta, który mnie dwukrotnie dotkliwie pobił.

Pokazują mi fotografie jakichś ludzi.

— Znasz ich?

— Nie. Po raz pierwszy w życiu widzę te twarze.

Wtedy jeden z cywilów bije mnie w twarz.

— Znasz ich, ty kanalio, to niemieccy szpiedzy!

Posypały się uderzenia.

Ale to bicie nie było jeszcze najstraszniejszym, co mnie owej nocy spotkać miało.

O tym innym jednak nie umiem mówić. Nie mogę. Żadna ludzka mowa nie może wypowiedzieć tego, co przecierpieć musiałem owych dni...

Dlatego przerywam ciągłość moich wspomnień. Nie mogę o tym mówić. Nawet teraz — po roku...

— — — — — — — — — — — —

Bo jeśli powiem po prostu: siepacze Drugiego Oddziału „badali" mnie, puszczając przez moje ciało elektryczny prąd, albo: podważano mi na nogach paznokcie, tak iż w rezultacie moje nogi były poranione i gniły — — to będzie to brzmiało nieprawdopodobnie, będzie to brzmiało jak oszczerstwo, rzucone na dobre imię polskiego oficera, bo stwierdzam z całą stanowczością, iż tych barbarzyńskich okrucieństw dopuszczali się oficerowie polskiego „drugiego oddziału".

— — — — — — — — — — — —

W tym miejscu właściwie trzeba by krótko stwierdzić: zadawano mi podczas „badania" ból, jakiego człowiek znieść nie może i jakiego człowiekowi zadawać nie wolno.

Jest jednak moim obowiązkiem o tym mówić. Bo skoro Polska podjęła wojnę z Niemcami w imię obrony zagrożonych praw człowieka, w imię obrony religii, kultury i cywilizacji — to wolno i powinienem o tym mówić. Wolno i powinienem o tym mówić, ponieważ ci, którzy wyrywali mi paznokcie i palili

elektrycznym prądem, ci którzy mnie masakrowali, rozkazali polskiemu narodowi walczyć z niemieckimi barbarzyńcami i wandalami w obronie cywilizacji i człowieczeństwa...!

Paznokcie moje specjalnym przyrządem podważano tak, iż za każdym razem mdlałem z bólu. Ale to nie wzruszało moich katów, którzy żądali ode mnie przyznania się do niepopełnionych win.

Ból sprawiany przy podważaniu paznokci jest doprawdy nie do opisania, graniczy z czymś zupełnie nieludzkim — — — dlaczego wytrzymałem wówczas ową torturę, pozostanie dla mnie na zawsze tajemnicą... Po każdym takim „zabiegu“ oprawcy smarowali moje palce jakimś chłodzącym płynem, po czym dostatecznie otrzeźwiwszy mnie, proponowali przerwanie swych czynności, jeśli zgodzę się złożyć wyczerpujące zeznania co do przygotowywanej w Polsce narodowo-socjalistycznej rewolucji.

Milczałem i wiłem się z bólu, ponieważ nic nie wiedziałem i nawet nie rozumiałem dobrze, czego właściwie ode mnie chcą ci straszni ludzie.

Ten fragment „przesłuchania“ w Drugim Oddziale początkowo w ogóle zamierzałem przemilczeć, ponieważ brzmi zbyt nieprawdopodobnie. Miałem na względzie również to, iż nie należy w obecnych czasach „dolewać oliwy do ognia“ — innymi słowy nie należy teraz mówić o rzeczach, które jeszcze bardziej przyczyniłyby się do ugruntowania opinii, iż Polacy byli zdolni do tak potwornych okrucieństw. Jednakże wydarzenia z pierwszych dni września 1939 przeszły wszystko, co sobie można było wyobrazić. Częściowo byłem świadkiem tych potwornych rzeczy, reszty smutnych szczegółów dowiedziałem się z dokumentów, ogłoszonych drukiem, albo też z opowiadań wiarogodnych świadków.

Powtarzam: mówię na stronicach tej książki o metodach badania w polskim „drugim oddziale“ nie dlatego, iż chcę oczernić tych, którzy mnie wolności pozbawili i w najokrutniejszy sposób skatowali, ale dlatego, iż opinia polska winna wiedzieć, kto i jak rządził krajem w chwili, gdy zapadły decyzje, mające ostatecznie wykreślić państwo polskie z listy żyjących.

Książki niniejszej nie piszę na użytek Niemców — nie mam też zamiaru tworzyć koło siebie legendy męczennika czy „zasłużonego“. Dla Rzeszy nic nigdy nie zdziałałem, nie byłem na usługach Niemiec, nie miałem z Rzeszą Niemiecką żadnych kontaktów, które by kogokolwiek mogły upoważnić do twierdzenia, iż

sprzeniewierzyłem się państwu polskiemu, iż dopuściłem się zbrodni zdrady głównej.

Mimo to zostałem aresztowany, skatowany i następnie wśród najpotworniejszych okropności na piechotę pognany do Brześcia, gdzie po prostu nie zdążono mnie zamordować. Uczyniono tak nie dlatego, iż wymagały tego względy bezpieczeństwa kraju, ale po prostu i jedynie dlatego, iż najemnicy londyńskich plutokratów uznali, że przeprowadzenie przeciw mnie procesu o zdradę i szpiegostwo może im się doskonale przydać do celów propagandowych. Przede wszystkim wojnę zamierzano rozpętać dopiero w marcu bieżącego roku, więc było dość czasu, aby zorganizować w Warszawie odpowiednio emocjonujące widowisko antyniemieckie. Miano biednemu narodowi polskiemu podać do spożycia pięknie spreparowany proces szpiegowski, miano dostarczyć mu jeszcze jednego „dowodu", jak okrutne są zamiary Rzeszy wobec państwa polskiego...

Jeśli do tego ohydnego oszustwa nie doszło, to dlatego jedynie, iż żydowsko-angielscy plutokraci polecili Polsce znacznie wcześniej rozpocząć wojenną hecę z Niemcami.

— — — — — — — — — — — —

Ostrożnie stąpając schodzę na dół, do samochodu. Nogi moje, pomimo iż je znów smarowano jakimś mrożącym płynem, niesamowicie bolą.

Jedziemy niedaleko. Na Daniłowiczowską. Stoimy długo przed gmachem więzienia. Odnoszę wrażenie, iż mojej eskorcie zależy na tym, aby mnie widziano. Wreszcie, po upływie pół godziny, wprowadzają mnie do więzienia. Aż na piątym piętrze, zakutego, zamykają mnie w pojedyńczej celi.

Po raz pierwszy jestem w więzieniu...

Nikt do mnie nie wchodzi w ciągu całego dnia. Nikogo nie widzę.

Zapada zmrok. Jestem wciąż sam. Nawet mi nie jest smutno. Jest mi zupełnie obojętne. Chciałbym umrzeć.

Co robi teraz moja matka...? Czy żyje jeszcze...?

Zmęczony zdrzemnąłem się. Posłyszałem, iż otwierają moje drzwi. Do celi weszło kilku panów. Wezwano mnie, bym szedł za nimi. Jak przez sen przeszła myśl, że może za kilka minut nie będę już nareszcie żył... Dobrze, nie żałuję wcale życia, niech się to już raz nareszcie wszystko skończy.

Wiozą mnie samochodem przez uśpione miasto.

Przyjeżdżamy do więzienia. Jeszcze nie wiem, gdzie jestem. Dopiero jutro się dowiem, że jes~~t to tzw. „Pawiak“~~, więzienie przy ulicy Dzielnej w Warszawie. Osadzony zostałem na oddziale pierwszym, „szpiegowskim“, w celi 33.

Gdy mnie do tej malutkiej celi wprowadzają, towarzyszący mi panowie śmieją się:

— Tutaj panu będzie wygodnie i można będzie w spokoju porozmyślać nad wszystkim, co się robiło. Tutaj trzeba być grzecznym panie i spokojnym.

Zapytuję ich, dlaczego mnie przewieźli z tamtego więzienia do tego.

— Aby pańskim przyjaciołom utrudnić ich robotę — z wesołym śmiechem wyjaśnia jeden z nich. — Panie, nie jesteśmy głupsi od Gestapo. Już my wiemy, co robimy, choć pan ma więcej zaufania do nich, niż do nas.

Zostaję sam w celi i siedzę tak nieruchomo aż do pierwszego dzwonka, tj. do godziny piątej następnego dnia.

I oto rozpoczynam swój pierwszy więzienny dzień — dzień „niemieckiego szpiega“ w polskim więzieniu...

— — — — — — — — — — — —

Moje dni są straszne. Jednostajność i ohyda tych dni jest nie do opisania.

Bada mnie w tym czasie trzykrotnie jakiś młody sędzia śledczy, nazwiskiem Wcieśliński. Jest to typ łotra spod ciemnej gwiazdy, któremu sprawia przyjemność znęcanie się nad bezbronnym i bezradnym więźniem. Nie bije on, ale czyni coś o wiele gorszego: maltretuje moralnie.

Mówi spokojnie, ale z nienawiścią. Po raz pierwszy widziałem go w „drugim oddziale“, gdy mi wręczał oficjalnie nakaz aresztowania. Wówczas — przyznaję się do tego — płakałem... „Co pan tu wyrabia za komedie — zawołał wówczas Wcieśliński —, jak gdyby panu naprawdę coś złego robili. Ja pana też nie rżnę, tylko doręczam nakaz aresztowania. Pokwitować proszę“.

Teraz w więzieniu proszę go o podanie mi wiadomości, czy matka moja żyje. „Co mnie to obchodzi? Czy ja jestem jej niańką?“

Tłumaczę mu, że matka moja jest bardzo ciężko chorym człowiekiem, że być może...

— Nie zawracaj mi pan tym głowy. Jak nawet tam wyciągnęła nogi, to mnie to też nie obchodzi.

Człowiek ten maltretuje mnie psychicznie. Nienawidzi mnie. Każde jego pytanie kryje w sobie coś lisiego, coś podstępnego.

Raz przewożą mnie na badanie na Daniłowiczowską, do urzędu śledczego. Wiozą mnie przez miasto pod eskortą trzech policjantów, zakutego i związanego łańcuchami.

W urzędzie śledczym bada mnie przez cały dzień dwóch sędziów śledczych, o ohydnym, semickim wyrazie twarzy. To są niewątpliwie żydzi. I ci ludzie badają mnie właśnie, tego który mówił, iż Polskę może i musi narodowy socjalizm od żydów uwolnić... Dla nich moja wina jest niewątpliwa. Oni — zanim przystąpili do badania mnie — byli na pewno głęboko przekonani o mojej winie. Nie, z tym ja już walczyć nie mogę. Rozumiem coraz bardziej, że przegrałem. Przeciw mnie jest system. Dziś, w rok po uwolnieniu mnie z więzienia, powiedzieć mogę: system, który zaprowadził Polskę na brzeg przepaści. Ale wtedy był to system, który wszechwładnie panował.

Nie mnie wówczas maltretowano, ale we mnie nienawidzono świat, który poznałem i pokochałem — we mnie maltretowano świat, do którego dążyłem, w którym chciałem żyć, i o którym opowiadałem otwarcie moim współobywatelom. Czyniłem tak, ponieważ kierowała mną troska o jutro polskiego narodu, o jego trwałą i spokojną przyszłość...

Doświadczenia naszych czasów wskazują wyraźnie na to, iż miałem rację. Mieli rację ci wszyscy, którzy chcieli ułożenia z potężnym sąsiadem zachodnim dobrych stosunków, którzy pragnęli pozytywnej współpracy i porozumienia z Rzeszą Wielkoniemiecką.

O losach Polski decydował jednak nie naród polski, ale klika nieodpowiedzialnych ludzi, którzy ujrzawszy walące się w gruzy państwo, opuścili je — jak szczury, uciekające jako pierwsze z tonącego okrętu.

— — — — — — — — — — — —

Jedzenie jest ohydne, jestem straszliwie brudny, nie wolno mi opuszczać w ogóle celi, więc wszelkie potrzeby fizjologiczne muszę załatwiać tu, na miejscu, po czym nieczystości wynosi raz dziennie jakiś więzień z kryminalnego oddziału.

Niemal co drugi dzień jest rewizja. Wówczas rozbierają mnie do naga, przetrząsają siennik, z którego wprost na brudną ka-

mienną podłogę wysypują cuchnącą słomę. Z wielkim trudem zbieram ją następnie do siennika.

Pewnego razu podczas rewizji strażnicy pobili mnie dotkliwie, ponieważ znaleziono w mojej celi za kratą na górze wetkniętą szpilkę, o której istnieniu w celi ja sam nie wiedziałem. Widocznie była własnością mojego poprzednika.

Nie wolno mi się z nikim porozumiewać. Jestem w tzw. „ścisłej izolacji".

Straż więzienna jest surowa, zła, nikt z nich nie odzywa się do mnie ani jednym słowem, z wyjątkiem strażnika Ratkiewicza, który — gdy jest na służbie — przynosi mi papierosy i nawet dwukrotnie dał mi chleba i pomidorów. Jest dla mnie bardzo dobry, ale mi nic pomóc nie może. Czasem, gdy się przekona, że go nikt nie słyszy, powiada do mnie: — Niech pan się jeszcze trochę pomęczy, ja wiem, że pan niczego złego nie chciał. Niech się pan modli do Boga i wierzy, że Bóg jest sprawiedliwy i że przyjdzie koniec pańskim mękom. — Jego słowa, jedyne ludzkie słowa, jakie tu słyszę, są dla mnie prawdziwym ukojeniem.

Powoli coraz bardziej zapadam na zdrowiu. Stan mojego serca pogarsza się z każdym dniem. Nie mogę już utrzymać się na nogach. Raz na tydzień przychodzi na nasz oddział jakiś młody lekarz, który mi bardzo współczuje. Niestety, on sam nic mi nie może pomóc. Jest główny lekarz więzienny, do którego mnie zgłosił.

Poprowadzono mnie pewnego dnia na górę, na badanie lekarskie.

W gabinecie lekarskim czekała na mnie bestia w ludzkiej postaci.

— Za co siedzisz?

Milczałem. Ale stojący obok mnie strażnik powiedział:— Szpiegostwo, panie doktorze.

Twarz lekarza wykrzywiła się nienawiścią: — Wszyscy niemieccy szpiedzy chorują na serce. No, pokaż no to twoje serce.

Nawet nie przyłożył ucha — nawet nie zainteresował się... „Masz dobre serce. Odprowadzić go na dół".

Gdy mówię o tym strażnikowi Ratkiewiczowi, odpowiada: — Panie, to jest drań, jakich jeszcze nie bywało. To jest człowiek bez serca. Ale skarżyć się na niego nie radzę, bo pan tutaj jest do dyspozycji prokuratora do spraw szpiegowskich, Prachtel-Morawiańskiego, a ten jest strasznie surowy, ma tu w więzieniu opinię najgroźniejszego prokuratora. Jak pan się jemu na doktora poskarży, to on pana za to każe do ciemnicy zamknąć.

Ratkiewiczowi zawdzięczam też wiadomości ze świata, które mi podaje. Oczywiście o gazecie nie może być mowy, ale on mi wiele opowiada. Więc wiem o tym, iż coraz bardziej zbliża się wojna z Niemcami, że cała Polska jak długa i szeroka, szykuje się do tej rozprawy.

— Czy Niemcy są bardzo silni?

Opowiadam mu prawdę o Niemczech.

— Wie pan, że mi nawet czegoś takiego słuchać nie wolno. To już jest niemiecka propaganda, co pan opowiada o Niemcach.

— Nie, przyjacielu, nie jest to wcale propaganda, opowiadam ci tylko prawdę.

— Jeśli to jest wszystko prawda, co pan mówi, to przegramy wojnę.

— Toteż nie powinniśmy jej rozpoczynać. O to mi głównie chodziło i dlatego dostałem się do więzienia.

Ponieważ moje serce z każdym dniem coraz bardziej niedomaga, napisałem prośbę do prokuratora o zbadanie mnie.

Po tygodniu do celi mojej wszedł ten sam lekarz-bestia w towarzystwie komisarza i zawoławszy: — Masz, ty kanalio, chore serce, ty szpiegu hitlerowski — spoliczkował mnie dwukrotnie.

Od tego dnia jeszcze bardziej zaostrzono wobec mnie postępowanie.

Znowu przy rewizji pobito mnie bez powodu i jakiejkolwiek winy z mojej strony. Ale ze mną obchodzą się stosunkowo dobrze. Innych biją znacznie więcej i częściej. Właściwie — w porównaniu do innych — jestem jeszcze w warunkach wcale dobrych...

— — — — — — — — — — — —

Z każdą godziną coraz bardziej zbliża się rozstrzygająca chwila...

Podobno wojna z Niemcami jest nieunikniona.

Bezsilny, bezradny, ostatecznie załamany — biegam po mojej maleńkiej celce... Tam, za murami, zginie państwo — zginie naród, który mógłby żyć i rozwijać się w dobrobycie i spokoju... Czy naprawdę w tej dziejowej godzinie nie znajdzie się tam nikt, kto powstrzyma Polskę od tego samobójczego kroku...?

Gdzieś w pobliżu są ustawione radioodbiorniki. Słyszę nieustannie rozbrzmiewające wojenne melodie, krzyki, przemówienia... Nienawiścią i prowokacją tchnące słowa... Czemu to? Czemu...?

— — — — — — — — — — — —

Wojna między Polską a Niemcami!

Dziś przeżyłem w mojej celi po raz pierwszy nalot niemieckich samolotów.

Radio rozbrzmiewa komunikatami wojennymi. Wszędzie w pierwszym dniu wojny wojska polskie odniosły druzgocące zwycięstwa. W wielu wypadkach całe kompanie niemieckie oddawały się do niewoli, oświadczając, iż nie chcą wojny i że całe Niemcy są zdecydowane przeciwstawić się szaleńczej decyzji Hitlera prowadzenia wojny z Polską.

W walkach powietrznych zestrzelono pierwszego dnia 38 samolotów nieprzyjacielskich, podczas gdy tylko 11 własnych stracono... Do niewoli wpadło około 100 czołgów. Słucham tych wiadomości z uczuciem najwyższego wstydu. Stanowczo naród polski nie zasłużył sobie na to, by go tak strasznie oszukiwano.

Naloty lotnicze trwają nieustannie.

Co dwie godziny alarm lotniczy, któremu towarzyszą detonacje bomb i wystrzały artylerii przeciwlotniczej.

W nocy też nie ma spokoju. Przez cały czas, bez przerwy właściwie, niemieckie samoloty krążą nad Warszawą.

W więzieniu zaostrzono teraz rygor. Odnoszą się do mnie z najwyższą nienawiścią.

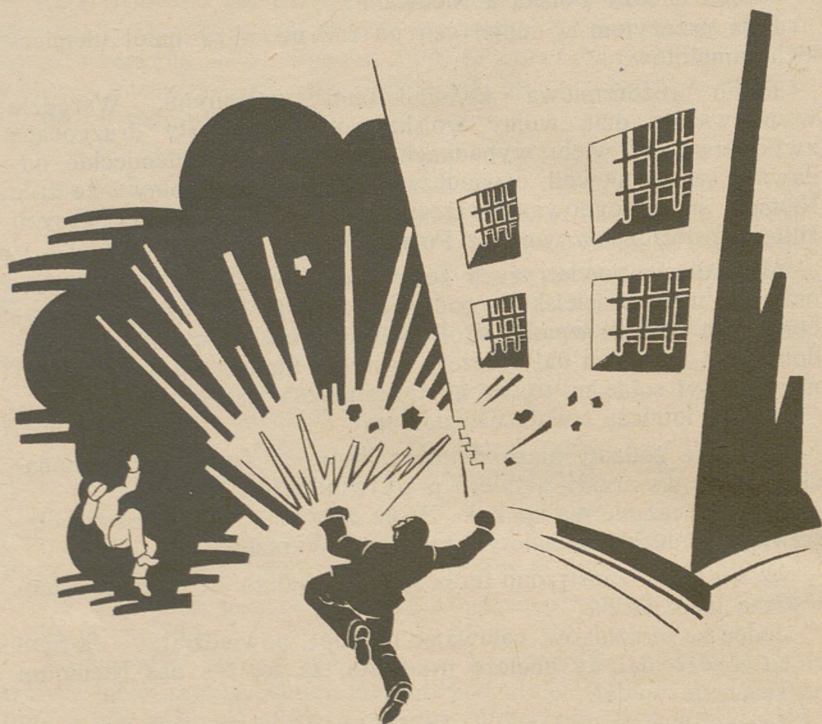
Jeden ze strażników, nalewając mi zupę, powiedział: — Ja bym ci co innego dał, ty cholero przeklęta, za to, żeś nas Niemcom na stracenie wydał.

Jakimi słowami wytłumaczyć temu człowiekowi, kto i jak go wydał „na stracenie"...? Milczę więc. W milczeniu znoszę jego pełne nienawiści słowa. I tylko o jednym wiem: ja na tę nienawiść nie zasłużyłem. Cóż, kiedy zły los tak chciał, iż prawdziwi winowajcy w tej chwili odgrywają rolę szlachetnych obrońców Ojczyzny, podczas gdy ja... Milczę.

Zapada zmrok. Poszum skrzydeł niemieckich samolotów oddalił się. Ucichły wybuchy bomb i pocisków. Na korytarzu znów ruch, brzęk kluczy, stłumione okrzyki. Jedna z bomb upadła w pobliżu gmachu więziennego, są zabici i ranni. Ale oto otwierają się okna po przeciwległej stronie ulicy, w żydowskich mieszkaniach, pojawiają się głowy, ludzie na balkony wychodzą.

— „Hallo! Hallo! Alarm lotniczy na miasto stołeczne Warszawę odwołany. Uwaga!!! Uwaga!!! Radiosłuchacze całej Polski, nadamy za chwilę wiadomość, która radością i dumą napełni serca wszystkich Polaków. Uwaga!!! Uwaga!!!"

Pauza.



Jedna z bomb upadła w pobliżu gmachu więziennego, są zabici i ranni...

Okrzyki na korytarzu. To przodownik woła korytarzowych, by przyszli do radioodbiornika, zainstalowanego w pobliżu mojej celi, w pokoju fryzjerów zdaje się.

Znów radio: — „Uwaga!!! Uwaga!!! Radiosłuchacze całej Polski, za chwilę podamy wiadomość, która będzie miała przełomowe znaczenie w dziejach Polski.

(Przypominam sobie nagle inny wieczór. Majowy wieczór roku 1935, gdy speaker zapowiedział takimiż słowy wiadomość o śmierci Marszałka Piłsudskiego).

I nagle: — „God save the king". Brytyjski hymn narodowy roz-

brzmiewa w radio. I zaraz po tym Marsylianka. I wreszcie polski hymn narodowy. I znów od początku, w tej samej kolejności...

Rozumiem...

I podniecony, wibrujący radością głos speakera: „Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom... Sojusznicy walczą przy naszym boku. Dziś w południe armia francuska przerwała w wielu miejscach linię Siegfrieda i posuwa się naprzód. Bombardowanie Berlina trwa. Hamburg przed trzema godzinami został zbombardowany!!!"

Oparłem się o ścianę mojej celi i milczałem — milczałem — milczałem.

Wiedziałem o tym, wiedziałem dobrze o tym, iż wypowiedzenie wojny przez Anglię i Francję w żadnym razie nie może poprawić losu Polski Ileż to razy zdarzało mi się powtarzać, iż Rzesza może prowadzić równocześnie na Wschodzie i Zachodzie dwie wojny, których przebieg i wynik są najzupełniej od siebie niezależne. Cóż Polaków, może obchodzić linia Siegfrieda? I czy Francuzi naprawdę zdołali ją przełamać? Czy w ogóle, jeśli to nawet jest rzeczą możliwą, zechcą coś podobnego dla Polski uczynić?... Dla Polaków, których zawsze uważali za swych wschodnich pachołków — którym łaskawie pozwalali siebie admirować i naśladować...

Długo tak stoję, oparty o ścianę celi...

Zgrzyt w zamku. Oddziałowy przyszedł, by mi zabrać ubranie.

— „No, panie, grzeją teraz Niemca z tyłu, długo on tu latać nad nami nie będzie, bo własnych śmieci pilnować musi. Już zobaczy pan jutro, że więcej nie przyleci, bo go tam ze wszystkich stron grzeją Francuzy i Angliki."

Uśmiecham się, kiwam potakująco głową... ściągam z siebie ubranie ..

— „Wygramy wojnę, to i panu lepiej będzie, bo wtedy i dla szpiegów amnestia będzie, nie martw się pan. Dobranoc.

Zgrzyt kluczy, zawiasów, zasuwek.

Gaśnie światło.

Umęczony, rozbity, złamany, padam na moją pryczę.

I płaczę — płaczę — płaczę.

A na podwórzu przeciągle, żałobliwie zawodzi syrena. I głos speakera: — „Alarm lotniczy na miasto stołeczne Warszawę!"

I już mnie nic nie obchodzą pobliskie wybuchy — płaczę — wielka rozpacz i ból wezbrały w sercu moim...

— — — — — — — — — — —

Następny dzień znów rozpoczął się detonacjami wybuchających pocisków.

Na korytarzu milczenie, ktoś stuka w ścianę z lewej strony. To inżynier Friedrich S. z Cieszyna, podobno popadł w obłęd, bito go zbyt dotkliwie. Odzywa się pukanie z prawej — tam znów student teologii, młody Niemiec, zawsze modlący się i odmawiający porozumiewania się inaczej niż w języku ojczystym. Raz, w „dyżurce", widziałem przy numerze celi 32 jego nazwisko Freiheit. Znaczy po niemiecku: Wolność.

Stukają.

Rozumiem. Cieszą się, radują. Podobno inżynier S. wczoraj otwarcie zawołał do jednego ze strażników: — Za parę dni przyjdzie tutaj Hitler. Czekajcie!!!

Odgłosom detonacyj towarzyszy pukanie w ścianę i zawodzenie podwórzowej syreny, nawołującej do schowania się w schronach.

Nawołują mnie. Dzielą się ze mną swą wielką radością.

Przemawiają do mnie, bo wiedzą obaj o moim istnieniu. Nie wiedzą tylko kim jestem, bo i skąd mogą wiedzieć. Wiadomo: „niemiecki szpieg". Ścisła izolacja. Wspólny los...

A ja nieruchomo stoję pośrodku mojej celi i milczę... Bo jakimi słowy mam tym dwu ludziom powiedzieć o tym, że z każdą detonacją serce moje rozdziera ból śmiertelny, męka rozpaczna — że za tymi murami ginie Polska, której wrogiem i zdrajcą zostałem uznany, że zawarły się za mną drzwi tego więzienia w chwili, gdy rozpoczęło się obłędne polowanie na „wrogów Polski", choć ja tej biednej Polsce w owej chwili wiernie służyłem, choć ja tej Polsce ani na chwilę wierności nie złamałem.

Milczę. Jestem bezradny. I samotny.

Modlę się. Proszę Boga, aby w tej godzinie śmierci, czuwał nad moją biedną, starą, chorą Matką, od której oderwano jedynego syna.

(W kilka miesięcy później miałem dowiedzieć się, iż owego dnia w mieszkaniu moim było wielu obcych ludzi — że bito moją starą matkę, że lżono ją i maltretowano — matkę „niemieckiego szpiega"...)

Kawę dano mi z parogodzinnym opóźnieniem.

Nalot ustał. Znów radio. Wojenna melodia. Wojenne komunikaty. Gdzieś na dalekim froncie nasze wojska zwycięsko przeciwstawiają się niemieckim barbarzyńcom. Odnosimy zwycięstwa, bierzemy do niewoli. Nasze samoloty wczoraj przez dwie godziny bombardowały Berlin. Naczelny Wódz odbywa inspekcję swych

zwycięskich dywizyj. Wszędzie panuje wzorowy porządek, dyscyplina, wola zwycięstwa. Wzywa się cywilną ludność do zachowania spokoju i postawy. Naloty niemieckich samolotów wszędzie zostały zwycięsko odparte, z dużymi stratami dla wroga...

Za ścianą dozorcy biją inżyniera. Słyszę jego ciche jęki. Już mu niewiele brakuje, podobno z trudem trzyma się na nogach, miewa w ciągu dnia po kilka razy ataki, czasami zakładają mu kaftan bezpieczeństwa, zawsze go biją... Oddziałowy uderzył S. po twarzy po prostu z przyzwyczajenia, ale S. odpowiedział, że jak Hitler przyjdzie do Warszawy, to pomści wszystkie uderzenia, w ogóle zapłaci za wszystko.

Obiad dziś straszny. Jak zwykle kasza, ale takiej wstrętnej kaszy jeszcze mi nigdy nie dawano. W dodatku znalazłem w niej kawałki jakiegoś papieru. Wymiotowałem. Czuję się źle. Serce boli, zawroty głowy, bezwład...

Znowu alarm. Pośpiesznie zamykam okno. Za niedomknięcie okna grozi ciemnica. Po chwili słyszę pierwsze odgłosy wybuchających bomb. Ten nalot jest szczególnie intensywny, trwa bardzo długo. Gdzieś w sąsiedztwie ani na chwilę nie ustaje maszynowy karabin — rzadkie strzały artylerii przeciwlotniczej. Niemcy są bardzo nisko, nad naszymi głowami. Potężnie grają motory ich samolotów. Karabin maszynowy ucichł. Tylko szum motorów słychać w przestworzach...

Dyżur popołudniowy objął starszy strażnik Ratkiewicz. Zajrzał do mojej celi, życzliwie uśmiechnął się, potem powiedział mi, że przyszły nowe zwolnienia. Zwalniają już wszystkich, nawet tych, którym grożą bardzo wysokie wyroki. Siedzi w kancelarii dwóch prokuratorów i wypisuje zwolnienia. Ale przywieźli samochodami zeszłej nocy wielu nowych, samych Niemców. Zarzucają im, że dają znaki lotnikom niemieckim.

— Co oni tam za znaki potrzebują dawać, kiedy te Niemcy jak chcą i kiedy chcą, latają nad naszymi głowami — uśmiecha się smutnie ten jedyny, życzliwy mi w tych przeklętych murach człowiek. — Długo już tego nie wytrzymamy, ludzie po mieście chodzą jak zwariowani.

Około szóstej na korytarzu począł się ruch. Biegano z celi do celi, nawoływano się, słychać było brzęk obracanych w zamkach kluczy.

Nawoływano nazwiska, słyszałem pośpieszne kroki, przekleństwa, okrzyki...

Wreszcie kilka par nóg zatrzymało się przed moimi drzwiami. Brzęk kluczy — otwierają drzwi. — Zabierać rzeczy i natychmiast wychodzić!!!! Nie pytać się i nie zwlekać. Wychodzić na korytarz. Później się dowiesz dokąd, cholerny synu! Już, jazda! Wychodzić i stawać pod kratą, w szeregu!!!

Jest nas razem siedemnastu. Stoimy w dwuszeregu, otoczeni przez strażników więziennych, uzbrojonych w karabiny, milczących, ponurych.

— „Hallo! Hallo! Alarm lotniczy na miasto stołeczne Warszawę." Syreny zawodzą, biją jakieś dzwony, na podwórzu więziennym trąbi ktoś na alarm...

Nic nas to nie obchodzi.

Prowadzą nas przez podwórze, do jakiegoś innego, również okratowanego gmachu.

Wielka sala, wypełniona jakimiś ludźmi. Naokoło strażnicy, z karabinami, trzymanymi w pogotowiu do strzału. Wpędzono nas do tej sali, wetknięto w rękę bochenek chleba i kawałeczek słoniny. Stoimy. Jeden obok drugiego, ściśnięci, stłoczeni, milczący, gdyż za prowadzenie rozmów grozi śmierć. Jakiś wysoki, barczysty strażnik o tępym, zwierzęcym wyrazie twarzy, przemówił do nas:
— Skończyły się rajskie czasy dla was, sukinsyny, coście Polskę Hitlerowi sprzedali! Teraz jest wojna, jeden krok albo podejrzany ruch i zaraz kula w łeb! Zrozumiano?!

Po tym przemówieniu zdzielił kolbą karabinu kilku najbliżej stojących.

Rozejrzałem się po otoczeniu. Wykrzywione przerażeniem twarze, przygnębione, pochylone szare postacie, przeważnie ubrane po wiejsku. Prawie sami chłopi, zrzadka miejski ubiór. Dobroduszne, pogodne chłopskie twarze, noszą teraz cechy zmęczenia i strachu.

Stoimy milcząc. Wciąż nowych skądś przyprowadzają. Każdy dostaje bochenek chleba. Któryś z nas poprosił o wodę, strażnik odmówił, powiedział, że nam niezadługo na tamtym świecie święconej wody dadzą do picia. Jesteśmy coraz bardziej stłoczeni, brakuje nam powietrza, nie mamy czym oddychać.

Ustawiają nas wciąż w jakieś szeregi, niezliczoną ilość razy liczą, zapisują na kartkach nasze nazwiska, wymyślają nam i, od czasu do czasu, któregoś zdzielą kolbą karabinu. Trwa to długo, nieskończenie długo. Jestem zmęczony...

— — — — — — — — — — —

Nie jestem w stanie zachować w moich wspomnieniach jakiegoś planu czy ciągłości. Nie umiem przymusić siebie teraz, choć upłynął już rok od chwili wkroczenia do mojego mieszkania oficerów „drugiego oddziału“, rozważenia spokojnie, fakt po fakcie, wydarzenia tamtych czasów. Jest to okres mojego życia, o którym nic konkretnego powiedzieć nie umiem, który jest czymś pośrednim pomiędzy snem a śmiercią. Wiele zdarzeń przemilczam, ponieważ ogarnia mnie przerażenie gdy o nich myślę, o wielu nie umiem po prostu spokojnie mówić — inne znów nie wydadzą się czytelnikowi wiarogodne. Muszę milczeć o wielu wydarzeniach tamtych dni, bowiem nie chcę, by mnie uznano za kłamcę, by mi zarzucono, iż opowiadam wytwory fantazji a nie rzeczywiste dzieje mojego smutnego życia. Ludzkie okrucieństwo ma swoje granice. Ale gdy zapamiętanie dołącza się do okrucieństwa, człowiek staje się bestią. Ci, którzy stanowili podczas wrześniowych dni o moim życiu, bez wątpienia nie byli ludźmi, albowiem kierowało nimi zapamiętanie oraz okrucieństwo. Nie byłem w mocy ludzi...

...Jak przez sen przypominam fragmenty owego wieczoru. Przybywało coraz więcej ludzi. Słyszeliśmy syreny alarmowe, jakieś detonacje — na sali rozlegały się krzyki tych, których bito. Coraz to kogoś innego uderzali rozwścieczeni źli ludzie w zielonych mundurach więziennych strażników. „Sprzedaliście nas, dranie. Źle wam smakował polski chleb, co? Hitlera wam się zachciało...“

Tęgi przodownik przeczytał listę. Kilkanaście nazwisk. Moje nazwisko również. Przepchałem się do drzwi. Po schodach sprowadzono nas na dół, do jakiejś salki, gdzie czekało kilku cywilnych panów oraz komisarz więzienny. Jeden z cywilnych, niewysoki, czarny, ruchliwy, coś głośno krzyczał, wciąż wskazując palcem na nas. Inni poważnie kiwali głowami. „Polacy są sprawiedliwi. Zasłużyliście na rozstrzelanie bez żadnego wyroku, ale my nie jesteśmy katami jak ci, którym służyliście. Będzie sąd. Wojenny sąd. Od dziś jesteście wojennymi więźniami, dosyć żartów, chcieliście wojny, to ją macie.“ Niewysoki jegomość zatrzymał się przede mną, patrzy groźnie, krzyczy... „Źle ci było w Polsce, ty zdrajco... Odpowiadaj, źle ci było, żeś nam Hitlera na kark sprowadził? Ty — zdrajco!“

Jeden z cywilnych panów bije inżyniera S., który milcząc patrzy mu w oczy. We wzroku S. maluje się rozpaczliwa bezradność i zmęczenie... Mały człowiek śmieje mi się tymczasem w twarz, zagląda w oczy: „No i co, przegrałeś... Postawiłeś na Hitlera i przegrałeś. Nasze wojska są w Gdańsku i w Królewcu, maszerują na

Berlin. A ty...? Ty też pomaszerujesz, ty... szpiegu..." Milczę, jedno tylko sobie przypominam, że wówczas milczałem. I o niczym nie myślałem. Zupełnie o niczym. Ani wtedy, gdy otrzymałem od kogoś policzek, ani wtedy, gdy na górę wracając upadłem na schodach... Nawet cios kolbą karabinu pomiędzy łopatki nie zabolał mnie wcale.

Była późna godzina, gdy nas poczęto z tej wielkiej sali wyprowadzać. Wywoływano po kilku, sprowadzano gdzieś na dół, na podwórze. Do małej zamkniętej czteroosobowej karetki więziennej wepchnięto nas trzynastu. Pamiętam: siedziałem na głowie jakiegoś starego wieśniaka, który wciąż powtarzał „to nic panie, to nic". Dosłownie siedziałem na głowie tego człowieka, sam złamany we dwoje, ponieważ niski dach samochodu nie pozwalał mi nawet trochę wyprostować się. Przewozili nas przez zaciemnione miasto w niewiadomym kierunku. Nie odzywaliśmy się ani słowem jeden do drugiego — za drzwiczkami czuwali dwaj strażnicy. Uprzedzono nas, że za porozumiewanie się grozi kula w łeb.

Zgrzyt otwieranej i zamykanej bramy. Wysiadamy. Liczą nas, biją, popychają. Przywieźli nas do więzienia mokotowskiego. W małym zakratowanym pokoiczku przy wartowni stoi nas przeszło stu ludzi. Zaduch, męka, rozpacz... Ktoś zemdlał, a nie ma wody. Prosić nie wolno, odzywać się nie wolno — wojna — kula w łeb... W międzyczasie alarm lotniczy, krótki nalot niemieckich samolotów.

3 września 1939.

(O tej porze odbywała się gdzieś uczta weselna. Polski minister spraw wojskowych generał Tadeusz Kasprzycki poślubił warszawską aktoreczkę, Zofię Kajzerównę.

Trzeciego dnia klęski — rozpaczy — upadku — śmierci polskiego narodu...

O tej porze polskie dywizje krwią i życiem płaciły za wszystkie dni „chwały i zwycięstw" tych, którzy na przestrzeni dwudziestu lat przemawiali w imieniu polskiego narodu, którzy uważali siebie jedynie za uprawnionych do stanowienia o jego losach).

Czekamy znów kilka godzin.

W pewnej chwili znów wyprowadzają nas. Przechodzimy na korytarz głównego gmachu. Wielu już tam stoi parami, powiązanych łańcuchami. Pary ustawione w rzędy, w krótkich odstępach jedna za drugą — i znów widzę przeciągnięte na całą długość łańcuchy. Wygląda to strasznie.

Wreszcie widzę kobiety. Jest ich może czterdzieści. Staruszki i niemal dzieci — razem skute łańcuchami, w podobny sposób jak mężczyźni.

Posuwamy się wolno ku przodowi, parami, w oczekiwaniu aż nas również zakują. Idę razem z jakimś młodym człowiekiem, który smutnie uśmiecha się do mnie. Rozumiem go. Będziemy wspólnie dzielili dalszą niedolę. Kiwam głową na znak zgody. Jednocześnie wyciągam ręce i.. O, Boże, Boże, Boże... Jakiż to okropny ból. Nie mogę powstrzymać jęku — boli... Strasznie zacisnął się łańcuch na moim ciele. Czuję uderzenie pięścią po plecach: — „Nie rób tutaj komedii, ty swołocz przeklęta. Niech ci teraz Hitler pomoże."

Boli...

Teraz ustawiają kilkanaście par w rzędzie, przeciągają łańcuch wzdłuż... Gdy się mocno szarpnie z przodu, walimy się wszyscy na ziemię...

Gdzie jesteś Boże...?

— — — — — — — — — — —

Czytelniku, przyjacielu, któremu oto opowiadam dzieje moich wrześniowych dni, mojego marszu z Warszawy do Brześcia — uczyniłem straszne odkrycie: Nie mogę o tym mówić. Nie umiem, nie potrafię... Ja, pisarz, mający za sobą pokaźny dorobek pisarski, nie umiem zanotować prawdy, doznania, autentycznego przeżycia. Rozumiesz mnie? Jest mi coraz trudniej mówić, słowa wymykają się spod mojej kontroli, myśli opanowuje zamęt, tracę dystans między dniem dzisiejszym a piekłem i koszmarem tamtych dni. Chwilami zupełnie nie wierzę, iż tamten człowiek, zakuty w kajdany, pobity i sponiewierany — i ja, dzisiejszy „ja", to jedna i ta sama istota, że to tylko wydarzenia przeminęły, że wskazówka na zegarze dziejów przesunęła się, ale ja pozostałem ten sam. Nie wierzę, albowiem owych dni przekroczyłem granicę życia, albowiem przeszedłem przez — śmierć...

Ktoś krzyczał do nas, że za chwilę wyruszymy, że za niestosowanie się do rozkazów konwoju grozi natychmiast kula w łeb, że konwój ma rozkaz przy najmniejszym podejrzanym ruchu strzelać do nas bez ostrzeżenia, że w drodze nikt z nami nie będzie żartów robił. Kobiety płakały, mdlały, padały na kolana... Kogoś bito, ktoś dostał ataku serca.

Byliśmy już ustawieni do wymarszu, gdy powstało jakieś zamieszanie, ruch wśród więziennej służby. Od drzwi, szeptem dotarła

do nas wiadomość, iż do więzienia przyjechał sam premier Składkowski.

W nasze serca wstąpiła nadzieja. Zapomniałem o piekielnym bólu, sprawianym mi przez stalowy łańcuch, wrzynający się głęboko w moje ciało.

Składkowski...

Płyną minuty...

Jest nas kilkuset, zbitych, stłoczonych, powiązanych żelaznymi łańcuchami, dyszących... Nasze serca biją nadzieją. Jest przecież w Polsce jakaś władza, kontrola, sprawiedliwość... Nie pozwolą nas tak... Jeszcze się może wszystko na lepsze zmienić. Może — amnestia...? W imię miłości ku Ojczyźnie...

Więźniowie chwytają się każdej nadziei. Ja to znam, ja to dobrze znam... Ileż to razy w ciągu mojej więziennej samotności, sam siebie oszukiwałem, w błahych wydarzeniach dopatrując się rzeczy, mogących zwiastować zmianę mojego losu na lepsze. Sam premier przyjechał do więzienia, więc znaczy, że coś ważnego...

Po chwili posłyszeliśmy władczy głos przy drzwiach wejściowych: — Nie okazywać żadnej litości, żadnych względów. Każdy szpieg sam przesądza o swoim losie. Za najmniejsze przewinienie albo próbę buntu strzelać tym łajdakom w łeb. Jest stan wojenny.

Przemawiał premier Rzeczypospolitej Polskiej, generał, doktór Felicjan Sławoj-Składkowski. W trzecim dniu wojny, podjętej w imię obrony kultury, w imię ratunku cywilizacji przed hordami Wandalów, prowadzonych przez Adolfa Hitlera...

Tam na przedzie na kolana padają stare, niedołężne kobiety, powiązane łańcuchami, pobite, skopane, sponiewierane, zrozpaczone... Wśród nich są chore, ułomne, są ciężarne... Nie widział tego premier. Nie widział tego również Składkowski-lekarz.

— — — — — — — — — — —

Świta, gdy ruszamy z przedniego podwórza więzienia w Mokotowie. Zapowiada się piękny poranek, będzie bardzo upalny dzień. Konno i pieszo otaczają nas uzbrojeni konwojenci, z karabinami gotowymi do strzału. Coraz to któryś z nas dostaje kolbą po plecach. Wielu dźwiga ciężkie worki z prowiantem dla konwoju. Będziemy te worki nieśli na zmianę.

Poruszać się jest niebywale trudno. Moje gnojące się nogi bolą, nieludzko bolą. Kłuje tysiące szpilek w palce, w stopy... Znów przed oczami wyrastają postacie moich oprawców. Boże, czemu nie mogę powrócić do mojej celi! Wydaje mi się teraz rajem, za-



Świta, gdy ruszamy z przedniego podwórza więzienia w Mokotowie.

ciszną przystanią, zgodziłbym się w niej resztę mojego życia spędzić, byleby nie musieć iść dalej. A przecież to dopiero początek, przecież nie wiadomo wcale dokąd idziemy, ile kilometrów wypadnie mi przejść tymi obolałymi poranionymi nogami...

Przechodzimy przez plac Unii Lubelskiej. W porannej mgle rysują się kontury pomnika Lotnika. Wchodzimy w Aleję Szucha...

Mój towarzysz szepce: „Prowadzą nas na Pragę, na wschodni dworzec, tam załadują do wagonów i wyślą gdzieś w bezpieczne miejsce". I ja mu uwierzyłem, choć wszystko przemawiało za tym, że nas żadnym pociągiem nie powiozą.

Wchodzimy w Aleję Szucha. Monumentalny gmach najwyższej izby kontroli państwa, gdzie od wielu lat wszechwładnie rządzi stuprocentowy żyd Jakub Krzemieński, każący siebie dumnie nazywać „sumieniem polskiego narodu". Przed trzema laty po raz pierwszy wskazałem na niego palcem, jako na jednego z tych, którzy osłabiają mój naród i moje państwo fikcją kontroli. Wówczas chodziło mi o to, iż dawniej izba kontroli państwa drukowała sprawozdania ze swej działalności i były one dla każdego dostępne, zaś za rządów Krzemieńskiego doszło do tego, że tylko dwa — dosłownie: dwa... — wykonywano sprawozdania. Tylko dla marszałków Sejmu i Senatu. Nawet posłowie nie mieli do tych sprawozdań dostępu... I to się nazywało kontrola państwa. Być może, to iż powoływałem się na przykład Niemiec, że dłużej patrzeć nie mogłem na poczynania Krzemieńskiego i jego żydowskich współwyznawców, zaprowadziło mnie aż do tego, iż uznano mnie wrogiem narodu i państwa, więcej: agentem obcego mocarstwa...

A oto obok wielki gmach ministerstwa oświaty. Stoi milczący, tajemniczy. Ten sam gmach, który mógłby wiele o mnie opowiedzieć. Tutaj po raz pierwszy przed siedmiu laty zostałem zaproszony przez powieściopisarza Michała Rusinka na rozmowę. Gratulował mi debiutu pisarskiego, zachęcał do dalszej pracy, powiedział że „sam" wszechwładny naczelnik wydziału kultury i sztuki raczył mną zainteresować się. „Pan ma talent, niewątpliwy talent". Ja — podówczas dwudziestodwuletni początkujący pisarz — byłem dumny. Oto, nareszcie — kariera! Widziałem wówczas zupełnie inaczej swą przyszłość: byłem w marzeniach duchowym przewódcą młodego pokolenia, rzecznikiem polskiej aktualności... Nie, nie mogę myśleć o tem, nie mogę patrzeć na mury tego gmachu... Odwracam głowę... boli... boli... Łańcuchy przecinają moje ciało — i nogi, moje nieszczęsne zbolałe nogi. —

... Most Poniatowskiego. Mgła nad Wisłą. Duszno. Dzień zapowiada się strasznie.

W szeregach jeszcze kołace nadzieja: może przecież poprowadzą na dworzec wschodni. Ale już i ta ostatnia nadzieja rozwiewa się, gdy nam każą skręcić na prawo. Przez pola, przez błota, padając, bici i kopani, wleczemy się ku jakiejś szosie... Ot i szosa. Kierunek: Mińsk Mazowiecki. A więc może do Lublina, a może do Brześcia. Nie wiadomo.

Jest już zupełnie widno. Na zakręcie widzę cały transport. Robi wstrząsające wrażenie. Jest nas wielu — Może sześciuset albo i więcej. Kobiety idą w środku, aby nie pozostawały w tyle. Idziemy dość szybko, otoczeni ze wszystkich stron przez strażników, trzymających broń w pogotowiu. Inni strażnicy jadą z tyłu, na furmankach.

W pewnej chwili na przedzie zamieszanie. Biją. Widzę kolby karabinów, spadające na głowy i plecy moich towarzyszy. Jednego z nich, bijąc, odczepiają. Staje z boku, nad skrajem drogi. Pomimo zarostu, jest młody, niewiele ponad trzydziestkę. Mówi jasnym, niewzruszonym głosem:

— Łańcuchy mi nie pozwalają dalej iść! Za krzywdę, którą mi teraz Polska wyrządza, zapłaci ona bardzo drogo... Jestem niewinny...

Uderzenie jednego ze strażników zwala go na ziemię, do rowu. Nie dokończył rozpoczętego zdania, ale teraz krzyczy, leżąc na ziemi:

— Jestem Polakiem! Bijcie mnie, bijcie... bijecie prawdziwą Polskę!

Przodownik poleca jednemu ze strażników pozostać z nieposłusznym więźniem: — Zastrzelić go!

Nie znam nazwiska tego chłopca. Nigdy nie dowiedziałem się. Szkoda. On był pierwszym spośród tych, którzy nigdy nie mieli dojść do celu tej piekielnej podróży.

— — — — — — — — — — —

Od chwili, gdy nasz transport idzie główną szosą, mija nas niekończący się pochód samochodów, wozów i wózków, po brzegi wyładowanych ludzkim dobytkiem. Uciekają. Mijają nas niezliczone samochody, prowadzone przez oficerów. W samochodach prawie wyłącznie wojskowi. Żaden samochód nie jedzie w przeciwnym kierunku, na spotkanie wroga. Ucieczka...

Słońce praży coraz bardziej niemiłosiernie. Maszerujemy nieustannie, poganiani uderzeniami karabinowych kolb, pod gradem gróźb i przekleństw...

Pragnienie spala mi wnętrzności, czerwoną pożogą rozlewa się po moim ciele, przyprawia mnie o zupełną niemoc...

Wody... wody... wody...

— Kogo prowadzicie? — padają pytania tych, którzy stoją nad drogą albo wymijają nas.

— Szpiegów — pada krótka, straszna odpowiedź eskorty.

I twarze stają się złe, zacięte, oczy ciskają gniewne, nienawistne spojrzenia... Szpiedzy! Niemieccy szpiedzy!

Dobiegają do nas. Biją, plują, kopią...

Powiązani łańcuchami, w milczeniu przyjmujemy uderzenia.

Skrzydła śmierci przysłaniają blask słońca, ale pożoga, ale żar słoneczny, coraz bardziej, coraz straszniej, coraz nieznośniej wlewa się do umęczonych, okaleczonych ciał naszych — mięśnie o bezwład przyprawia, mózgi zamracza, świadomość oszałamia...

Boże, Boże, ucisz słońce... Jeśli jesteś, Boże, zlituj się nad nami...

Nogi, moje nogi...

(Teraz, gdy piszę te słowa, wspomnienie tamtych chwil przyprawia mnie o mękę — o obłęd — o śmiech i zwątpienie, o modlitwę, o bluźnierstwo... Tyż to czuwałeś wówczas nade mną, Boże, wiodący naród przez dzieje...?)

Nogi... moje nogi....

Boli — boli — boli. —

Są okresy, w których nie myśli się o niczym — i nie wiem, czy żyłem w tych okresach, czy w ogóle żyłem... Ponad wszystkim dominuje jedno tylko, jedyne, niezaspokojone, rozpaczliwe i błagalne: — wody — wody — wody... mamo, kochana, czemu nie jesteś teraz przy mnie — mamo, chcę pić...

Eskorta pije wodę. Dużo. Ile chcą. Wyciągamy do nich ręce, błagamy...

— Spokój tam. Później będzie postój to się napijecie. Maszerować.

Idziemy... idziemy... idziemy...

Niekończące się kilometry szosy, niekończące się kilometry rozpalonych, nierównych kamieni...

Uderzenia kolb, przekleństwa, błagania...

— wody — wody — wody —

— — — — — — — — — — —

Krótki odpoczynek w lesie. Po dwu, razem skutych, możemy załatwić fizjologiczną potrzebę. Przy tej okazji straszliwie pobito ja-

kiegoś starego Niemca, który nosi przepuklinowy pas, więc nie był w stanie jedyną wolną lewą ręką go rozpiąć i następnie znów zapiąć. Kolbą karabinu wybito mu zęby i złamano nos. Wygląda strasznie. Nikt mu nie pomaga. To jakiś wieśniak z nad granicy, źle mówi po polsku, tylko wciąż powtarza: „Panowie kochani, za co mnie bijecie..."

Freiheit idzie z tyłu za mną. Coś do tamtego wieśniaka powiedział po niemiecku. Zrozumiałem, że coś mówi o modlitwie. Tamten spojrzał na niego nieprzytomnymi oczami i powtórzył znów swoje: „Panowie kochani, za co mnie bijecie".

Przekuwają mnie. Teraz jestem skuty i związany łańcuchami w ten sposób, że tuż za sobą mam Freiheita, inż. S. oraz jakiegoś tęgiego mężczyznę o dobrych, łagodnych oczach. To podobno wiedeńczyk, nazywa się Frost. Przede mną idzie Lenc z Warszawy, tęgi, dobroduszny, wciąż do mnie uśmiechający się.

— Brochwicz, pan tutaj...?! — powiedział do mnie przeszłej nocy w mokotowskim więzieniu. — Znam wszystkie książki pańskie. My z żoną bardzo pana lubimy... (Uścisnął pokryjomu moją zakutą rękę).

Lenc często ogląda się ku mnie, uśmiecha, kiwa głową — jakby mi chciał powiedzieć: chodź bracie, chodź, jakoś razem dojdziemy. W pewnej chwili zdołał mi powiedzieć: — Trzymaj się, taki nasz los, ale to już niedługo...

Coraz trudniej mi iść.

(Gdzieś za nami, na końcu transportu strzelono. Zaległa cisza... Wszyscy wiemy, co to znaczy: komuś siły i wola odmówiły posłuszeństwa, ktoś znowu nie miał sił iść dalej... Słońce — słońce — słońce — pożoga stoi nad naszymi głowami, spala nasze wnętrzności, mózg w odmęt obłędu pogrąża... Słońce!)

Wciąż kołace w moim sercu strach bezmierny, że już dalej iść nie potrafię, że upadnę, że wtedy...

Ach, czemuż znów we mnie począł się ten potworny, nieprzeparty lęk o życie...? O jakie życie — o czyje...? Ileż to nocy bezsennych, ile dni nienawistnych mam za sobą, podczas których jednego tylko pragnąłem: — umrzeć. A oto jestem na drodze, stalowymi łańcuchami do śmierci przykuty — i wszytko modli się we mnie bezsłowną modlitwą do Boga: — żyć! żyć! chcę żyć!

Boże, uratuj mnie! Dodaj mi sił, daj mi moc wytrwania, pozwól mi dojść do niewiadomego celu...! Żyć chcę!

Zaprawdę wielka jest w człowieku wola życia. Większa niż sam człowiek. Dlatego żyję jeszcze, dlatego nie padłem tam, na tej

drodze, dlatego nie zakrzyknąłem tam wtedy wielkim głosem, że żyć nie chcę, że pogardzam ich okrucieństwem, ich bestialstwem...

Możecie to rozumieć jak chcecie, możecie mną nawet pogardzać, że jeszcze żyję, mimo iż w mojej obecności mordowano bezbronnych i niewinnych, mimo, iż w mojej obecności poniewierano ludźmi, gwałcono kobiety... Ja sam sobą również pogardzam, gdy o tym myślę, gdy sobie sprawę zdaję z wypadków tamtych dni. Może to i prawda, że mówiąc teraz o głodzie życia, o pragnieniu zachowania znienawidzonego życia, chcę w ten sposób siebie usprawiedliwić, iż doszedłem do Brześcia żywy, że nie zdobyłem się wobec tych bestyj na żaden akt protestu, który co prawda byłby zupełnie bezskuteczny, ale który pozwoliłby innym o mnie powiedzieć: on umarł jak mężczyzna, stając w obronie niewinnych i słabych. Ale ja nie umarłem, ponieważ w drodze milczałem, ponieważ mnie pominięto... Nie zdobyłem się na żaden akt protestu, nie uderzyłem zakutą ręką żadnego z tych, którzy mogli mi za ten gest wpakować kulę w łeb. Nie uczyniłem tego, ponieważ chciałem żyć...

Lęk o życie zmusza mnie do nieustannego czuwania. Gdyby nie ta przemożna chęć życia, straciłbym przytomność, pozwoliłbym siebie dobić... Bo nas dobijano, skoro padaliśmy z wyczerpania, strzelano do nas. To fakt. To prawda. Noszę tę prawdę w sobie i nikt mi jej nie zabierze, albowiem wówczas, tam na drodze, ja jeden za cały naród wstydziłem się. I unikałem spojrzeń nieszczęsnych, głodnych, mdlejących starców, wraz ze mną gnanych w nieznane... Dlatego powiadam, iż stało się źle, że ja przyszedłem żywy do Brześcia.

...Idę, lecz jestem bliski omdlenia. Ogarnia zwątpienie, rozpacz. Upaść, zapomnieć... Niech się dzieje co chce.

Starszy strażnik Sentkowski budzi mnie w pewnej chwili ze stanu półświadomości, w której pogrążałem się coraz bardziej, maszerując — usypiany szmerem kroków pogrążałem się właśnie w odmęcie zupełnego zapomnienia, popadałem w bezwład... Uderzenie kolbą karabinu w kark wywołuje we mnie silny wstrząs — automatycznie przyśpieszam kroku, idę znów w nogę, ból dotarł do mojej świadomości, przywołał do rzeczywistości, ponownie do życia zbliżył...

— Jeżeli się będziesz wlókł, dostaniesz kulę w łeb, ty kanalio przeklęta.

Po raz pierwszy przeżywamy na drodze nalot niemieckich samolotów. Są nisko nad nami, ale nie zrzucają bomb, nie strzelają...

Zbito nas w gromadę, za najmniejsze poruszenie się grozi kula w łeb. Kogoś na przedzie zastrzelili.

Obok nas uciekają samochody, wypełnione przez oficerów, piękne panie, eleganckich panów... Zwalniają tempa, aby zapytać kim jesteśmy. Dowiedziawszy się, że „szpiedzy", plują nam w twarze, wymyślają, przeklinają, biją... Przeważnie ten sam okrzyk pod adresem konwoju: „Po co prowadzicie tych szubrawców, po co z nimi ceregiele robić, wystrzelać jak psów i koniec!"

Około piątej rozkazano nam zejść z drogi. Zatrzymaliśmy się. Nakazano jeść chleb.

Wtedy zbliżył się do mnie, o ile pozwalały mu na to łańcuchy, młody Freiheit. Po raz pierwszy przemówił do mnie po polsku, aczkolwiek dotąd żadne bicie ani tortury nie zmusiły go do tego.

— Musi pan wytrzymać, mój drogi — głos jego brzmiał łagodnie, serdecznie i ciepło — niech pan pomyśli o swojej matce, którą pan tak bardzo kocha. Ostatnią książką po polsku, jaką czytałem, były pańskie „Matki czuwają".

Nie pamiętam co mu wówczas odpowiedziałem. Uświadomiłem sobie, że on widzi, iż trzymam się resztkami sił. Zapewne dlatego mnie pociesza. Ciekawy jestem, jak też teraz wyglądam — nie widziałem siebie w lustrze już od kilku miesięcy.

Podczas przekuwania Freiheit ustawił się tak, aby być jeszcze bliżej mnie. Jego jasne, pogodne spojrzenie kierowało się wciąż ku mnie. Prawie nieustannie kaszlał. Wstrząsał nim straszny, gruźliczy kaszel, jego bladą twarz pokrywały krople potu. Nagle uświadomiłem sobie, że Freiheit jest ciężko chory, że to gruźlica... Lekarz z „Pawiaka" pozwolił go jednak w takim stanie zabrać do transportu.

Freiheit uśmiechał się do mnie.

— Niech pan mi przyrzeknie, że się pan będzie opiekował moją siostrzyczką... — wyszeptał do mnie podczas marszu.

— Gdzie ona jest?

— Tutaj, w transporcie... idzie tam z kobietami...

I jeszcze mówi do mnie Freiheit cichym łagodnym głosem o Chrystusie, który jest i który czuwa nad każdym z nas. Mówi do mnie słowami, których nie jestem w stanie powtórzyć. Prosi mnie i pociesza. Tyle ma w sobie dziwnej, głębokiej wiary... Jest Bóg, czuwa nad nami, wie o wszystkim, wie o naszej męce, skazał nas na to piekło za życia, ponieważ jest to potrzebne — umieramy, to prawda, ale w ten sposób użyźniamy tę ziemię, na której kiedyś

będą mieszkali inni ludzie, wolni od naszego straszliwego dziedzictwa: wzajemnej nienawiści.

Freiheit wybiera chwile, gdy nas konwój nie słyszy, wtedy szepce mi słowa o Chrystusie.

I mam takie uczucie, jak gdybym był przy konfesjonale i spowiadał się. I słowa Freiheita brzmią mi jak słowa rozgrzeszenia.

Freiheit modli się...

— — — — — — — — — — —

Zbliżamy się do Mińska Mazowieckiego. Zapada zmrok.

Obok nas, na szosie, ucieka — — — Polska. Cała Polska chyba wsiadła do samochodów i goni, pędzi przed siebie... Dokąd? Dlaczego? Czy za naszymi plecami są niemieckie wojska? Przecież wczoraj podobno obsadzono Königsberg, przecież angielski desant zdobył Gdańsk, przecież polska kawaleria ściga niemieckie oddziały zmotoryzowane gdzieś pod Wrocławiem... Nie rozumiem.

Trzymają nas dłuższy czas w lesie. Otoczyli nas jeszcze pijani żołnierze „brygady obrony narodowej". Wyzwiska, wymysły, plucie... biją nas...

Zapadł zmrok. Wpędzili nas do olbrzymich stajni, brudnych, cuchnących, pełnych łajna, śmieci, wody... Zwalono nas tam jednego na drugiego, powiązanych w dalszym ciągu łańcuchami, skutych, zmaltretowanych... Wszystko to dzieje się w ciemnościach. Zamknięto nas, zaryglowano wejście, ustawiono przed wejściem maszynowy karabin, za każdą próbę uwolnienia się wystrzelają nas co do jednego.

Zaduch, smród, brak powietrza... Dusimy się w tej piekielnej klatce.

Nie jestem w stanie pisać o tych ciemnych, śmiertelnych godzinach, tam spędzonych, poprzedzających masakrę, która miała się zdarzyć na początku drugiego dnia marszu w nieznane...

Ani też o samem bestialstwie tamtego poranku mówić nie jestem w stanie, nie mogę, nie potrafię, nie chcę... Bo zwariowałbym — teraz tutaj, w moim mieszkaniu, przy biurku, przy którym napisałem „Kobiety które odeszły" i „Matki czuwają" — przy biurku, do którego Bóg mi pozwolił powrócić — — — zwariuję!!!

Dlatego nie będę mówił o wszystkim. Nie mogę. Nie jestem w stanie.

— — — — — — — — — — —

...Z początku Sentkowski i jeszcze jakiś inny strażnik związali Freiheita łańcuchami w ten sposób, że mu prawą rękę przez lewe ramię aż do kostki lewej nogi przyciągnęli.

Wśród nocy — bo noc była owej straszliwej chwili — rozlegał się jego spokojny śpiew. Śpiewał psalmy po niemiecku.

W pewnej chwili przestał śpiewać. Leżał na ziemi, rzucony jak worek pomiędzy kolejowe tory. Urwał swój śpiew na jedną chwilę, aby może powietrza w piersi zaczerpnąć i wtedy krzyknął, wielkim niesamowitym głosem krzyknął w obliczu śmierci, grożącej mu z rąk otaczających nas setek pijanych żołnierzy „brygady obrony narodowej" — krzyknął:

— Heil Hitler!!!

Żołnierskie buty, żelazne łańcuchy, kolby karabinów — wszystko spadło na nieszczęsne, skręcone i zmasakrowane ciało Freiheita, który wciąż śpiewał jakąś germańską modlitwę.

Wreszcie jeszcze raz i drugi słyszę jego „Heil Hitler!" — i rozlegają się jeden po drugim rewolwerowe strzały. Przodownik (zdaje się nazwiskiem Regulski), Sentkowski i jeszcze paru innych jednocześnie strzelają do leżącego, związanego stalowymi łańcuchami Ernsta Freiheita. Urwała się germańska modlitwa... Ktoś ciągnie mnie za rękę, czyjeś zwierzęce ślepia wpatrują się we mnie:

— Chodź, ty łotrze... teraz ty!...

I głos drugiego: — Nie, dawaj lepiej tamtego.

I ciągną kogoś innego. Nie mnie... Czemu — czemu — czemu nie mnie?...

(W powietrzu krzyżują się przekleństwa. Oto czuję nagle, że kładą się groźbą śmiertelną przed tronem Człowieka z Nazaretu, który wie o nas, który wie o tej nocy przeklętej, o dworcu w Mińsku Mazowieckim... Czemuż Ty milczysz — Ty...)

Padł nowy strzał. Tym razem tylko jeden strzelał, jakiś oficer. Mordercy poszli po inne ofiary. Jakaś dziwna, tajemna cisza trwa nad naszymi głowami. A mimo to słyszę wyraźnie płacz jakiejś kobiety... Cienki, piskliwy, śmieszny — tak jest, śmieszny... rozumiecie, śmieszny — głosik dziewczęcy.

Frost szepnął mi wówczas do ucha: — Tam jest jego siostrzyczka.

I Frost znów począł odmawiać modlitwy za umarłych.

I znów Frost: — Brochwicz, módl się za niego. I za nich... i za siebie...

Ale ja nie mogę modlić się...

Nie mogę — — — nie mogę — — —

Nad moją głową milczy niebo.

Milczy — — — milczy — — — milczy — — — i wzbiera we mnie krzyk, wielki przeogromny krzyk, od którego rozpękną się na dwoje Noc i moje biedne umęczone serce...

Ale ja milczę. Nie mogę modlić się i nie mogę krzyczeć.

Bo strach żyje we mnie, to on wymawia imię Boga niezliczoną ilość razy ustami białymi...

Nie mogę modlić się. Freiheit, bracie kochany, nie mogę modlić się za ciebie... Niechaj się modli za ciebie twoja daleka staruszka-matka, niechaj pochyli białą głowę i prosi za ciebie Boga. Albo nie— nie za ciebie — za mnie, za mnie... To ja potrzebuję jej modlitwy.

Matko Freiheita, Matko-Niemko, módl się za mnie.

Przyjdę któregoś dnia do ciebie, przyjdę i stanę przed tobą, i powiem ci o synu twoim.

Matko, twój syn w ostatniej chwili swojego życia modlił się do Boga i przywoływał do siebie swojego Wodza.

Twój syn był silny, urągał ludzkiej przemocy, urągał okrucieństwu, mówił wielkie słowa, albowiem miał duszę wielką, albowiem kochał. Dlatego śmierć nie dosięgła go wraz z kulą, wystrzeloną przez morderców.

Twój syn owej nocy wyznał nam i sinym gwiazdom wszystkie tęsknoty swojego młodego serca, wszystkie zawarł w słowach, którymi urągał mordercom — w słowach swojego nabożeństwa dla Boga i Führera.

Oto zbieram w sobie wszystko i pełną dłonią przynoszę do ciebie, Matko: proste słowa, milczenie serca, zmarnowaną krew i wszystkie moje niewypowiedziane skargi...

Owej nocy, gdy twój syn umierał, mówiłem: — Boże pochwalon bądź tą śmiercią, albowiem Ty ją żywym policzysz, albowiem w Tobie niechaj będzie miara każdego okrucieństwa.

— — — — — — — — — — —

Do Lenca mówią: — Chodź tutaj, dostaniesz kulę w łeb.

Gdy Lenc dziś w południe był ze mną skuty, dostał od jakiejś wieśniaczki pół kubka wody. Czy rozumiecie? — Wody.

Nie wypił jej. Podał mnie.

— Pij — powiedział — jesteś chory, ja wolałbym jednak papierosa. Pij, pij, ja nie chcę...



Lenc już dawno upadł, a do niego jeszcze strzelają...

Ale ja wiedziałem, że on chce, że jest cały wewnątrz spalony, że ta kropla wody jest dla niego... Pij bracie, pij — prosił mnie. I ja wypiłem.

A oto teraz: Lenc...

(Bito go — — bito — — bito — — bito — — nie umiem, nie potrafię, nie zdołam opowiedzieć, jak strasznie go bito...)

Jakiś oficer każe mu odwrócić się plecami i strzela w kark...

Strzela źle...

Lenc krzyczy... odwraca się...

...Wtedy jeszcze strzał — — i jeszcze — — i jeszcze — — Lenc już dawno upadł a do niego jeszcze strzelają...

Matko Freiheita, Matko-Niemko, daleka matko moja, módl się za mnie — — — módl się, módl, ja teraz jestem na drodze... Na twoje dłonie schylam umęczoną głowę.

— — — — — — — — — — —

O świcie widzę znów, po raz ostatni, zwłoki Lenca.

Ruszamy dalej — — w nieznane...

Rzucam ostatnie spojrzenie.

Ech Lenc, jaka szkoda, że nie mam chryzantemy, aby ją cisnąć na twoje martwe, przeraźliwie w bok sterczące stopy.

Wybacz mi Lenc, że nie mam chryzantemy.

Brak mi chryzantemy... byłeś dla mnie taki dobry, Lenc... Dlaczego mówię o kwiatach, jak gdyby ci kwiaty mogły co pomóc, albo jak gdyby ci kwiaty były potrzebne. Przecież ktoś już cisnął na twoje piersi kwiat... białą chryzantemę...

Nie, to bieleje kartka, którą przypięli mordercy do twojej martwej piersi: „niemiecki szpieg".

Mamo, matusiu moja, gdzie jesteś... poczyna się we mnie ciche szaleństwo...

Lenc, przecież ty chciałeś papierosa, a dali ci białą chryzantemę z napisem „niemiecki szpieg".

Mamo... mamusiu, przynieś dla Lenca białe chryzantemy. Oddał synowi twojemu ostatni łyk wody.

Tak śmiesznie sterczą w bok jego martwe stopy...

— — — — — — — — — — —

Nie umiem mówić o śmierci. Oto już rok upływa od tamtych dni wrześniowych, a ja jeszcze nie potrafię spokojnie mówić o śmierci. I co może szczególnie dotkliwe, to okropna świadomość, że dziś jestem bardziej niespokojny niż wówczas, tam na drodze... Może dlatego, iż wówczas trwałem w obłędzie a teraz dopiero uświadomiłem sobie istnienie tego obłędu. Wielu z nas tylko dlatego przebyło trasę Warszawę — Brześć, iż popadło w stan półświadomości. Gdybyśmy wówczas uświadomili sobie całą grozę tego piekła, musielibyśmy niewątpliwie zwariować.

Śmierć siedemdziesięcioletniego staruszka Himmla, wieśniaka z Pułtuska, wywarła na mnie szczególnie silne, po prostu wstrząsające wrażenie.

Himmel szedł z nami, skuty wraz ze swym synem. I tak też umarł, zakuty, aż do ostatniej chwili swojego życia uwiązany stalowym łańcuchem do syna i kilkunastu innych wieśniaków niemieckiego pochodzenia, których nie wiadomo po co i dlaczego pognano z nami jako „szpiegów".

Himmel został pobity podczas nocnej masakry w Mińsku Mazowieckim. Jednakże nie zabito go wówczas, ale w straszny sposób

pobito kolbami karabinów. Miał pęknięte kości lewej ręki, obojczyk, strzaskane kości czaszki, twarz jego przedstawiała potworny widok, odniósł wiele poważnych obrażeń wewnętrznych. Mimo to żył a raczej męczył się jeszcze przeszło dobę. Umarł wskutek odbicia płuc uderzeniami karabinowych kolb. Właściwie udusił się.

Ostatnich kilka godzin, w ciągu których dusił się Himmel, zrobiły na mnie wstrząsające wrażenie. Nigdy tego nie zapomnę.

Stukilkudziesięciu skutych, powiązanych łańcuchami, pobitych i głodnych, spragnionych, chorych, skatowanych — zamknięto nas w brudnym towarowym wagonie. Wśród nas, zwisając na łańcuchach, umierający Himmel...

Jego duszenie się było czymś, czego przez całe życie nie zapomnę.

Milczenie zalegało wagon-trumnę, w którym nas zamknięto. Prosiłem Boga o śmierć dla nieszczęsnego starca. Patrzyłem na bestie, otaczające nasz wagon z karabinami i rewolwerami w ręku. Czemuż to żaden z nich nie zlituje się nad nieszczęśliwym, czemu nie strzeli do niego, aby położyć kres temu bezprzykładnemu męczeństwu?... Czy naprawdę nie ma wśród nich nikogo, kto z litości, jedynie w imię miłości bliźniego — tak jest, w imię miłości bliźniego — zechciałby strzelić w serce tego nieszczęśliwca?...

Nie jestem w stanie opisać tej śmierci, choć twierdzę, iż zrobiła na mnie najpotworniejsze wrażenie. Człowiek dusił się przez szereg godzin i nikt go nie ratował, nikt nie dobił... Przykuty do starca syn, czterdziestoletni mężczyzna, bezradnie wodził biednymi dobrymi jasnymi oczami po otaczających go towarzyszach — i milczał...

Gdy wreszcie śmierć wyzwoliła od cierpień nieszczęśliwego Himmla, wszyscyśmy odetchnęli z uczuciem ulgi...

— Wyciągnij go — odezwał się ktoś z konwoju.

— Zaraz — i to czyjeś „zaraz" zlało się w moich uszach z rewolwerowym wystrzałem w tył czaszki. To odezwał się Frost, podtrzymujący martwe ciało Himmla. Ale wystrzał nie nastąpił, choć wszyscy byliśmy przekonani, że Frost dostanie kulę w łeb za podobne odezwanie się.

Tymczasem Frost, o ile mu na to pozwalały łańcuchy, ukląknął i miarowym, spokojnym głosem począł odmawiać modlitwę za umarłych...

Nad trupem Himmla widzę bladą, opuchniętą, straszliwie zmasakrowaną twarz ukraińskiego pułkownika Cz..., którego podobno

już od trzech lat więzili w Mokotowie. Wczoraj Cz... podzielił się ze mną resztkami swojego chleba...

Himmel dopiero po śmierci uwolniony został z łańcuchów. Ciało jego rzucono jak worek na kolejowy nasyp. Na piersiach przypięto kartkę: „niemiecki szpieg".

Po chwili ruszyliśmy w dalszą drogę — — dalej, w nieznane, po śmierć... albo po wolność...

Upał dobija nas — jest gorszy od przekleństw, od bicia, od śmierci... upał i towarzyszące mu pragnienie. Dla nas nic na świecie nie istnieje poza pragnieniem ugaszenia pragnienia. Chcemy wody — — — chcemy pić... W ciągu następnych dwu dni pijemy tylko raz, jeden jedyny raz...

— — — woda — — — woda — — — woda — — —

(Czemu żyję teraz, czemu piszę te słowa, skoro wówczas tylokrotnie umierałem z pragnienia?... Więc można jednak tyle przecierpieć, co ja przecierpiałem — i żyć).

... Myślę teraz o tych kilku kilometrach, które dzieliły mnie od murów więzienia w Brześciu.

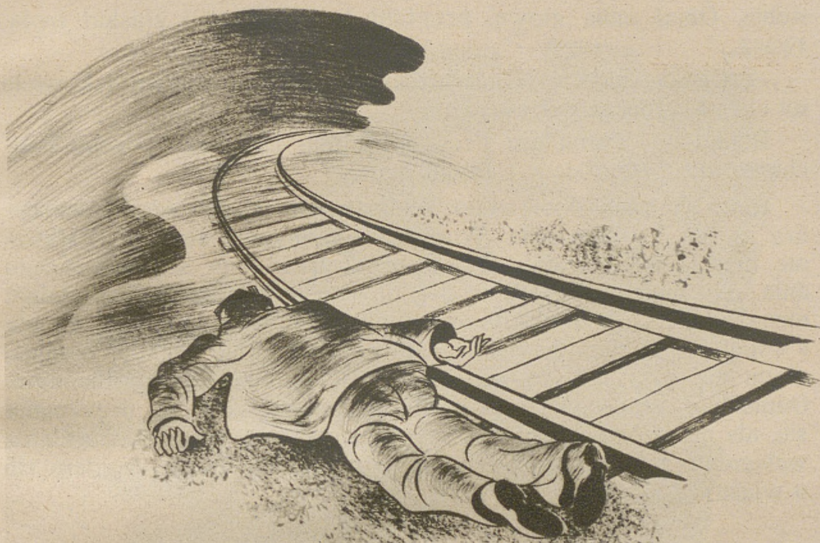
Łańcuchy na rękach poprzecinały zupełnie ciało, które obrzękło. Potworzyły się rany, pełne ropy. Jestem niesamowicie brudny, przecież w Warszawie też tylko od czasu do czasu, gdy Ratkiewicz był na dyżurze, dostawałem więcej wody, aby się jak należy umyć.

Szliśmy jakimiś polami. Zapadał zmrok. Otoczeni byliśmy ze wszystkich stron wzmocnioną eskortą, ponieważ na nasze spotkanie wyszedł jeszcze pluton straży więziennej z Brześcia.

W pewnej chwili przystąpił do mnie jeden ze strażników i zbadawszy łańcuch na mojej prawej ręce, który był bardzo mocno zaciągnięty, zawołał: „Rozluźniłeś!"—po czym zasypał mnie gradem najohydniejszych przekleństw. Początkowo bił mnie pięścią prawej ręki po twarzy, następnie zadał cios kolbą karabinu w zęby. Nic więcej nie pamiętam...

Odzyskałem przytomność podczas marszu — podtrzymywany i popychany przez towarzyszy, zwisając na łańcuchach, brnąłem dalej. Twarz spuchnięta, usta pełne krwi, dwa zęby wybite, straszliwy ból w piersiach... A jednak znalazły się we mnie siły, znalazłem w sobie wolę, by iść dalej — — by żyć — — żyć — — żyć.

Po raz drugi pobito mnie w nieludzki sposób w celi na drugim piętrze w brzeskim więzieniu. W małej celi, przeznaczonej dla ośmiu więźniów, zamknięto nas razem czterdziestu siedmiu.



Ciało jego rzucono jak worek na kolejowy nasyp...

Bito mnie następnej nocy, po przyprowadzeniu do Brześcia. W nocy weszło do naszej celi kilkunastu strażników, którzy rozpoczęli masakrę, bijąc nas stalowymi łańcuchami. Od czasu do czasu przyświecali sobie latarkami, aby następnie znów nas bić w zupełnych ciemnościach.

Po którymś uderzeniu bijący mnie strażnik zajrzał mi w twarz przy pomocy elektrycznej latarki, po czym zawołał do najbliżej stojących: „On jest tutaj, mam go". Dwóch ludzi trzymało mnie, inni bili łańcuchami. Wkrótce straciłem przytomność...

Ocknąłem się z uczuciem straszliwego bólu w całym ciele. Panowały ciemności. Na dworze zawodziła przeciągle syrena, alarmując miasto. Nalot niemieckich samolotów.

Ktoś mnie ostrożnie ujął za rozbite ręce i pociągnął do siebie. Dano mi napić się wody, starano się mnie wygodnie ułożyć.

Ból nie pozwalał mi leżeć. Całe ciało miałem zmasakrowane, rozbite, pocięte... — Cicho, cicho — powtarzał Frost, tuląc mnie do

siebie. Objął moją głowę, przytulił ją do serca i głaskał moją twarz...

— Cicho, cicho... — powtarzał bezradnie i czułem jak wiele mi chciał serdeczności okazać.

Płakałem... Pamiętasz Frost, płakałem jak małe dziecko i cichutko skarżyłem się: — Pobili mnie...

Rano obejrzano moje ciało. Widziałem w oczach współtowarzyszy zgrozę i przerażenie. Wprawdzie bito owej nocy wszystkich, ale mnie bito specjalnie dotkliwie. Przekonałem się, następnego dnia, gdy mnie wezwano na dół, do kancelarii, że mnie specjalnie nienawidzono. Tam wysoki przodownik powalił mnie na ziemię i wspólnie z jakimś cywilem pobili i skopali mnie nogami, żądając, abym się przyznał, że jestem niemieckim szpiegiem wojennym. Odniosłem wrażenie, że im wcale nie zależy na moim przyznaniu się, ale po prostu na pobiciu mnie. Po godzinie bicia i wymyślania wciągnięto mnie z powrotem na górę, ponieważ nie mogłem iść o własnych siłach.

— — — — — — — — — — —

Nogi moje gniją. Palce nóg, w miejscach, gdzie mi podważano paznokcie, pokryte są ropą. Nogi strasznie obrzękły, są jakiegoś zielonego koloru.... Nie mam nawet możności dokładnie ich umyć, ponieważ czterdziestu siedmiu ludzi otrzymuje jedno wiadro wody dziennie. Panuje straszliwy upał, pragnienie nieustannie dokucza nam. Jesteśmy brudni, nie myjemy się wcale... Jeden spośród nas, Wilhelm R. z Wilna, wskutek bicia stracił zdolność kontrolowania czynności fizjologicznych. Leży już od trzech dni brudny, nieumyty, cuchnący... Władze więzienne nie interesują się tą sprawą. Niech zdycha... Nie ma czym go umyć, grożą nam choroby — nasz brud jest nie do opisania...

Leżę nieruchomo na ziemi, nie wstaję nawet rano, gdy nam dają po kawałku chleba albo w ciągu dnia jakieś pomyje, nazywane zupą. Stan moich nóg pogarsza się z godziny na godzinę.

Frost, po obejrzeniu moich nóg, zwrócił się do towarzyszy, aby wyrzekli się wody do picia, ponieważ jest rzeczą konieczną obmyć tą wodą moje gnijące, straszliwie poranione palce.

Jestem do głębi wzruszony... Starcy, słabi, chorzy, zmaltretowani starcy wyrzekają się wody do picia, aby umożliwić obmycie moich nóg, aby mi ulżyć... Jestem do głębi wzruszony.



... Ocknąłem się z uczuciem straszliwego bólu w całym ciele...

Upał jest wielki — jest nas w celi czterdziestu siedmiu. Zaduch, brud, dokucza pragnienie... Ci ludzie nie piją jednak wody, wyrzekają się jej. Dwukrotnie myją mi nogi.

Leżę nieruchomy, bezradny, ostatecznie złamany. Tego dnia, dzięki Bogu, nikt nie przyszedł nas bić.

Codziennie, w miarę zbliżania się wieczoru, opanowuje nas przemożna fala niepokoju: przyjdą tej nocy nasi kaci znów nas bić, czy też tym razem może zostawią nas w spokoju...? Przyjdą, czy nie?

Codziennie przeżywamy wielokrotne ataki niemieckich samolotów na miasto. Trwamy w bezruchu, wielu z nas modli się... Bomby wybuchają gdzieś w pobliżu, ale żadna z nich nie trafia w gmach więzienny. Niemieccy lotnicy są bardzo nisko nad nami, latają prawie tuż nad gmachem więziennym... Nie zrzucają jednak bomb, tylko strzelają z karabinów maszynowych albo rozrzucają ulotki, które następnie, po uwolnieniu mnie z więzienia, miałem możność czytać: donoszono w nich o ucieczce prezydenta państwa i rządu polskiego, o zdradzie zachodnich sojuszników, wskazywano na bezcelowość dalszej walki i wzywano do niestawiania bezskutecznego oporu zbliżającym się oddziałom niemieckim.

Naloty są tak intensywne i częste, iż wydaje się nam chwilami, że to już koniec wszystkiego, że za chwilę nasz gmach rozpadnie się w gruzy... W jednej z cel na naszym piętrze przerażeni ludzie poczynają ławkami wyłamywać drzwi. Słyszymy strzały karabinowe. To straż strzela do zamkniętych w celach więźniów...

... Brud, w którym żyjemy, jest nie do opisania. Nieszczęsny Wilhelm R. leży nieruchomo, jest umierający... Nieczystości spod niego sprząta jakiś młodziutki, polski porucznik, którego dołączono do nas w Mińsku. Porucznik oskarżony jest o szpiegostwo, ponieważ w dniu przybycia do pułku powiedział do jednego ze swych podwładnych: „Znam Niemców, to żelazny żołnierz". Rezultatem tego nieostrożnego powiedzenia był donos, następnie aresztowanie i transport wraz z niemieckimi „szpiegami", do Brześcia. Porucznik powiedział do mnie: „Panie, jestem tak samo dobrym Polakiem jak wszyscy inni. Zamiast tego, abym teraz walczył na froncie, jak przystało na żołnierza, siedzę w kryminale jako wróg ojczyzny. A przecież nic innego nie zrobiłem, jak tylko wyraziłem uznanie dla wroga. I cóż w tym złego?... Tylko tchórze boją się mówić z uznaniem o przeciwniku".

Ten porucznik jest niezwykle dobrym człowiekiem. Opiekuje się chorym R. jak syn ojcem. Żaden z nas nie chce dotknąć chorego, który się nieustannie zanieczyszcza. On jeden rozbiera go, czyści

go i pielęgnuje. Czyni to z pełnym spokojem i serdecznością. Gdy mu razu jednego wyrażam po cichu mój podziw, powiada: „Proszę nie myśleć o mnie, że jestem sympatykiem Niemców. Biłbym się z Niemcami na polu bitwy do ostatniej kropli krwi, ale nie uznaję znęcania się nad bezbronnymi ludźmi, którzy tylko tyle zawinili, że się urodzili Niemcami. To już podłość i człowiek chwilami wstydzi się, że jest Polakiem".

Niestety, nie znam nazwiska tego oficera, tego prawdziwego oficera.

Biją nas teraz nawet w dzień. W innych celach jest kilku straszliwie pobitych, zmasakrowanych ludzi... Bicie jest w tym piekle właściwie rzeczą najohydniejszą — u mnie nastąpiło do pewnego stopnia coś, co nazwałbym utratą człowieczeństwa: gdy moi towarzysze mówią o biciu, kurczę się i chowam głowę w ramiona — jak pies... Jak zbity pies. Ohydne!

— — — — — — — — — — —

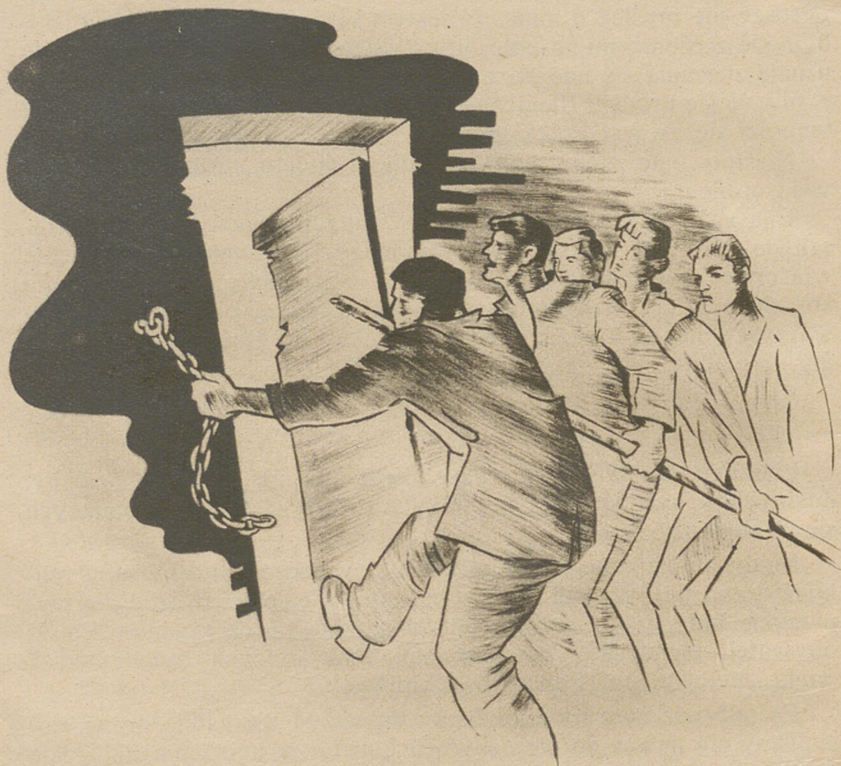
Łudziłem się, iż jestem wolny. Straż opuściła gmach więzienny. Zostawiono nas na łasce i niełasce rozwścieczonych, cofających się w bezładzie wojsk.

Nigdy nie zapomnę tego poranku, gdy poczęliśmy ławkami rozbijać drzwi naszych cel. Całe olbrzymie więzienie w Brześciu wypełnione było przez sprowadzonych z najdalszych krańców Polski obywateli niemieckiej narodowości, obok których było również wielu „nielojalnych" Polaków i Ukraińców.

Po upływie godziny zdołaliśmy wyważyć wszystkie drzwi, dostaliśmy się nawet do straszliwych korytarzy podziemnych, gdzie trzymano w najokropniejszych warunkach Bogu ducha winnych ludzi — działy się niezapomniane sceny. Padaliśmy sobie w objęcia, płakaliśmy z radości, całowaliśmy się... Ta przedziwna wolność przyszła tak niespodziewanie, iż nie mogliśmy w nią długi czas uwierzyć. Jeszcze wczoraj wieczór do nas strzelano, bito nas i maltretowano — a oto nagle: wolność! W nocy zarząd więzienia oraz straż uciekli, zabierając z sobą wszystkie nasze rzeczy, depozyty pieniężne, kosztowności itp.

Czekamy przez parę godzin na rozwój wypadków. Czerwony gmach więzienny położony jest nad rzeczką Muchawcem, w odległości paruset metrów od głównej ulicy miasta, przez które teraz przeciąga w straszliwym nieładzie pobita armia polska.

Obraz tego odwrotu jest nie do zapomnienia. Tysiące upadających ze zmęczenia, uciekających ludzi, cywilnych i wojskowych,



Po upływie godziny zdołaliśmy wyważyć wszystkie drzwi...

bydła, wozów, wózków, rowerów i aut... Nie istnieją plutony, kompanie, bataliony, pułki... Nie ma polskiej armii... Ciągnie drogą półobłąkany, pijany, rozszalały tłum. Wszyscy razem: żołnierze, oficerowie, kobiety, księża, cywilni mężczyźni, dopiero co wypuszczeni z więzień przestępcy... Wszyscy razem. Kierunek: Kowel!

Jest to najbardziej bezprzykładny widok, jaki zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać: armia w rozsypce.

W moich oczach dwu jakichś żołnierzy strzela w łeb jakiemuś

człowiekowi, zabierają mu jego rzeczy, ściągają zeń buty. Nie ma armii polskiej — jest zdemoralizowana i zrewoltowana horda...

Tymczasem ludność miejscowa rozbija składy monopolów spirytusowego i tytoniowego. W mieście rabują. Od czasu do czasu strzały, wybuchy... Dwa naloty niemieckich samolotów, zrzucających jedynie ulotki. Polacy nie strzelają do nich. Na odgłos szumu motorów opanowuje ten nieszczęsny, bezgłowy tłum paniczny strach. Rozpierzchają się na wszystkie strony. Dopiero gdy Niemcy odlecą, podnoszą zrzucone z nieba ulotki, zbierają się, czytają i... wloką się dalej, drogą prowadzącą do Kowla. Rozkaz brzmi dosłownie: wszystko co żywe maszerować w kierunku Kowla.

Jakaś grupka kilkudziesięciu żołnierzy pod dowództwem sierżanta zabiera kilkudziesięciu spośród nas z sobą.

— Prowadzimy was do Kowla! Tam zrobimy z wami porządek!

Dopiero po południu pojawiają się na mieście oddziały spośród załogi twierdzy. Są to żołnierze, którzy jeszcze nie zetknęli się z frontową rzeczywistością.

Tymczasem wielu spośród nas pomaszerowało samodzielnie, względnie zostało uprowadzonych wraz z całym tłumem w kierunku Kowla. Taki marsz do Kowla jest oczywiście niebezpieczny, ponieważ jesteśmy bez jakichkolwiek dokumentów, na drogach czyha śmierć, kula grozi z ręki każdego uzbrojonego opryszka, który gotów jest strzelić „niemieckiemu szpiegowi" w łeb, aby „ratować" zagrożoną ojczyznę.

Ja iść nie mogę. Zresztą nie mam dokąd i po co iść dalej. Siedzę pod bramą więzienną — bezradny, bezsilny, głodny... Otacza nas jakaś milicja, pojawia się jakiś groźny pan, który krzyczy, że jest „szefem bezpieczeństwa publicznego" i że zrobi z nami porządek.

— Jesteś niemieckim szpiegiem? — krzyczy do mnie.

— Nie.

— Kim jesteś?

Milczę. I cóż mam odpowiedzieć temu człowiekowi?!

— I tak wiemy, kim jesteś!

Podnoszą mnie, ciągną nad sam brzeg rzeczki, do odległego o sto metrów od więzienia białego domku. To już twierdza. Zamykają jeszcze z jakimiś trzema Niemcami, którzy prawie ani słowa po polsku nie umieją. W sąsiedniej celi jest także kilku. Zdaje się, że nas razem jest jedenastu albo dwunastu. Teraz dopiero domyślam się, iż wśród nas musieli być prowokatorzy, wywiadowcy „drugiego oddziału", udający również więźniów. Przecież cała straż więzienna uciekła, nikogo nie ma, kto by nas znał, a tym-



— Jesteś niemieckim szpiegiem? — krzyczy do mnie.

czasem ten „szef bezpieczeństwa“ jest dobrze o mnie poinformowany. Do moich towarzyszy również ustosunkował się niezwykle wrogo.

— Poniesiesz zasłużoną karę, ty łotrze — krzyczy do mnie. —

Tacy jak ty sprowadziliście nam tych bandytów na kark! Osłabiliście nas, robiąc za Hitlerem propagandę! Czekaj ty!!!

Zwołano nas znów razem, aby zawiadomić, że o naszym losie zadecyduje wojenno-ludowy sąd. Jesteśmy „szpiegami" i jako takich dziś wieczorem osądzą nas.

Przez kraty widzę kilkunastu niemieckich żołnierzy, otoczonych przez polską eskortę. Prowadzili ich w kierunku głównego fortu. Kilku spośród nich jest rannych.

Do nas coraz to inni ludzie przychodzą. Orientuję się, iż sytuacja miasta jest beznadziejna, że niemieckie oddziały są w pobliżu.

Po południu rozpoczyna się artyleryjska strzelanina. Niemcy strzelają na twierdzę. Robią to z niebywałą precyzją. Każdy pocisk, przeleciawszy nad naszymi głowami, pada w sam środek twierdzy. A mimo to ani jeden pocisk nie trafił w szpital, który znajduje się w pobliżu. Jak się potem dowiedziałem, niemieckie samoloty wywiadowcze dokładnie podały położenie szpitala, zanim jeszcze rozpoczęto ogień artyleryjski. Wyjaśnili mi też później oficerowie niemieccy, iż Brześć był doskonale umocnioną twierdzą o nowoczesnych fortyfikacjach. Mimo to niemieckiej artylerii potrzeba było zaledwie jednej doby, aby zmusić twierdzę do poddania się. I to — jak mnie zapewniano — nie użyto wcale dział najcięższego kalibru, podobnie jak w ogóle w całej polskiej kampanii.

Ten ogień artyleryjski jest również dla mnie jednym z najbardziej niezapomnianych przeżyć tamtych dni.

Nad wieczorem jakiś oficer wpadł do naszej celi i zapisał nasze nazwiska w notesie.

— Co, trzęsiecie się ze strachu... — wodził po nas wściekłymi oczyma. — Dopiero na Brześciu połamią sobie Niemcy zęby.

Powiedział nam, że dziś wieczorem będzie rozpatrywana nasza sprawa, że się zrobi z nami jakiś porządek.

... Kanonada wzmaga się z minuty na minutę. Całe morze ognia przelewa się nad naszymi głowami. Widzę dziwne pociski żółtego i czerwonego koloru, które przez chwilę zawisają w powietrzu nad twierdzą, po czym eksplodują i spadają na dół w tysiącach odłamków. Takich pocisków spadło kilkaset w przeciągu dwu godzin.

Z nastaniem nocy strzelanina nie ustaje. Odróżniamy wśród huku armat poszczególne karabinowe strzały i serie karabinu maszynowego. Walka toczy się niedaleko, może już na zachodnich przedmieściach miasta...

Około północy do naszej celi wchodzi kilku mężczyzn: jakiś wojskowy, dwu cywilów i nasz „szef bezpieczeństwa", zachowujący się tym razem stosunkowo grzecznie.

Czytają nam wyroki...

Groza tamtych godzin splata się w moich wspomnieniach z nieustannym hukiem artyleryjskiej kanonady.

Trzej moi towarzysze zostali skazani na śmierć...

(Tamtej nocy postarzałem się o wiele, wiele lat... Przestrach śmierci jest czymś strasznym, ale zarazem doraźnym, krótkotrwałym. Jest jedynie wstrząsem, wydarzeniem, załamaniem się świata... Natomiast świadomość śmierci, świadomość nieodwołalnej konieczności rozstania się z życiem — jest męką... Straszną, niewypowiedzianą męką. Człowiek jest bezradny, dlatego świadomość śmierci jest w nim wielokrotnie spotęgowana...)

Zostałem skazany na śmierć. Utrata na zawsze praw obywatelskich i honorowych...

... sąd uznał winę za udowodnioną i postanowił wymierzyć karę śmierci...

— — — słyszę coraz bliżej serie karabinów maszynowych — albo może mi się tylko tak wydaje, że to bliżej — — —

... działalność szpiegowska na rzecz wroga...

— — — jeśli jeszcze godzinę potrwa ten huraganowy ogień artylerii, twierdza wyleci w powietrze — — — tam gdzieś w tej chwili umierają tysiące — — — śmieszni ludzie, którzy bawią się teraz w odczytywanie wyroków śmierci — — —

Rudolf R. z Torunia, wysoki barczysty blondyn, modli się w kącie. Wydaje się, że go nic nie obchodzi fakt, iż ma za parę godzin umrzeć.

Właściwie kiedy po nas przyjdą?...

Nie odzywamy się do siebie ani słowem.

Myślę teraz o mojej matce. Może przyjdzie ktoś do mojej matki, uściśnie jej dłoń i powie, że śmierć jej syna przydała się jednak, była potrzebna, stała się jeszcze jednym ogniwem w łańcuchu dowodów, iż Polska Rydza-Śmigłego i rodziny Mościckich była państwem z nieprawdziwego zdarzenia i że tak jak było, dalej trwać nie mogło. Kto właściwie ukoi tam ból mojej matki?... Matka moja będzie płakała. Chciałbym bardzo, żeby jej ktoś powiedział te słowa: Polacy nie rozumieli syna pani, zdradzili go, oszukali, skrzywdzili strasznie, oskarżając o zdradę. Może pocieszy ją tymi słowy... Matka moja będzie płakała. Mamo, moja mamo kochana, nie płacz. Moja śmierć jest jedna — a tyle innych niepotrzebnych



Trzej moi towarzysze zostali skazani na śmierć...

widziałem!... Mamo, nie ty jedna płakać będziesz. Gdzieś w Rzeszy zapłacze matka Freiheita. Jesteście takie podobne do siebie, gdy płaczecie — wy, matki... Wszystkie matki są podobne do siebie...

Zwracam moje myśli ku Matce...

Nie umiem odtworzyć dziejów tamtej nocy.

Rudolf R. wciąż się modli. Śmierć go nic nie obchodzi.

Artyleria nieustannie grzmi.

— — — — — — — — — — —

Co nastąpiło wcześniej — świt czy atak niemieckiej piechoty? Do dzisiejszego dnia nie umiem na to pytanie odpowiedzieć.

W każdym razie atak nastąpił wówczas, gdy ja pogodziłem się z myślą, że za chwilę albo za godzinę przyjdą po nas, by wykonać ów wyrok śmierci, który wydał na nas jakiś anonimowy sąd.

Ten nocny atak niemieckich oddziałów pozostanie na zawsze w mojej pamięci.

Było to prawdziwe piekło.

Kule uderzały o nasz gmach, granaty wybuchały pod oknami — Niemcy byli dosłownie o kilkaset metrów...

Można sobie wyobrazić, jakie uczucia nurtowały w nas, gdyśmy leżeli jeden obok drugiego na podłodze naszej małej celi, wsłuchując się w gwizd pocisków, w głuche odgłosy uderzających o mury kul... Niemcy są o kilkaset metrów od nas. Wolność jest o kilkaset metrów od nas!...

Wprawdzie na korytarzach nie słychać ludzi, mimo to nie ryzykujemy wyłamywania drzwi. — — — A co będzie, jeśli Polacy, zanim cofną się, wejdą tutaj i wystrzelają nas?... Albo może uda im się odeprzeć niemiecki atak?...

Wolność jest o kilkaset metrów od nas...

Wreszcie przyszła taka chwila, gdy coraz rzadziej strzelano. Uciszyło się, jedynie artyleria nieustannie grzmiała, ale do huku armat przyzwyczailiśmy się i nie robił on na nas żadnego wrażenia.

Zamieniliśmy się w słuch.

Żaden z nas nie waży się spojrzeć przez okno. Jaki nas czeka los? Czy Polacy odparli niemiecki atak, czy też... Myśl o tym, iż Niemcy mogliby za chwilę otworzyć zamki naszych cel, przepełnia nas uczuciem, którego nie da się wypowiedzieć żadnymi słowy.

— — — — — — — — — — —

Płyną minuty śmiertelnego niepokoju i pełnego napięcia oczekiwania.

Wreszcie słyszymy na korytarzu odgłos wybijanych drzwi, kroki żołnierskich butów, szczęk broni, kilka rewolwerowych wystrzałów.

Rozbijają nasze drzwi...

Niemieccy żołnierze... Żołnierze... Wolność!... Wolność!... — — Wolność...

Szybkie pytania... bezładne odpowiedzi, drżące słowa...

Nie mogę iść... nie mogę iść... nie mogę iść.

Nie mogę wyjść o własnych siłach na wolność. Nie mogę poruszać się — — moje nogi przepadły... może na zawsze...

Żołnierze podnoszą mnie, biorą na ręce, ostrożnie niosą... Na wolność...

Nad moją głową gwiżdżą kule. To Polacy, cofnąwszy się za fosę, strzelają do nas.

Obok mnie pada żołnierz. Mój oswobodziciel.

Pod gradem kul, osłaniając, przenoszą mnie niemieccy żołnierze za pierwszą linię frontu. Jakiś oficer zbliża się do mnie, ściska moją dłoń: — Zdążyliśmy was uratować — uśmiecha się życzliwie i dopiero teraz spostrzegam, że jest ranny w lewe ramię, które ociekając krwią, zwisa bezwładnie.

Niosą mnie jeszcze sto metrów, usadawiają w samochodzie, w towarzystwie dwu oficerów, ruszamy do sztabu dywizji.

W samochodzie piję gorącą kawę — zapalam papierosa — częstują mnie czekoladą — — — nad głowami gwiżdżą polskie kule. Jestem wolny — — — wolny — — — wolny — — — wolny...

— — — — — — — — — — —

Sztab X Panzerdivision. Przesłuchanie. Na stole leży tablica z drzwi mojej celi. „Stanisław Brochwicz. Niemiecki szpieg wojenny". Śmiejemy się. Gratulacje z powodu szczęśliwego uwolnienia.

Palę papierosa po papierosie. Nareszcie mogę zapalić...

Przybywa lekarz. Badanie. Z uwagą i niedowierzaniem oglądają moje posiniaczone, zmasakrowane ciało. Stan moich nóg wymaga natychmiastowego zabiegu.

Szpital polowy. Zabiegu chirurgicznego dokonywuje Stabsarzt dr Becker.

W nocy wyruszam w dalszą drogę, wraz z transportem rannych. Do Prus Wschodnich.

Mijamy baterie, ziejące ogniem w kierunku polskich pozycyj.

Kolejno jestem w szpitalach polowych w Czernowczycach, Bielsku, Białymstoku, gdzie znów zabieg chirurgiczny ratuje moje ropiejące nogi i wreszcie Zambrowo.

Mijam dawną polską granicę. Jeszcze kilkanaście kilometrów i — przywitanie w Johannisburgu. Mam uczucie absolutnej wolności.

Wreszcie pociąg sanitarny przybywa do Tapiau. Ostpreussen.

Pierwsza kąpiel... Czysta bielizna, pościel, pisma, cisza...

Po nocach zrywam się, krzyczę, płaczę... Czyżbym dopiero teraz miał zmysły postradać?...

— Ma pan za sobą piekło — powiada w zadumie, badając mnie, Stabsarzt dr Kopas, lekarz, którego opiece i wiedzy niewątpliwie zawdzięczam życie.

Uśmiecham się. Bo i jakimiż słowami opowiedzieć mogę temu człowiekowi wszystko to, co przeżyłem w ciągu ostatnich kilku miesięcy, poprzedzających polską tragedię roku 1939?... Dlatego milczę.

Dlatego tak wiele braków znajdzie czytelnik na stronicach tej książki, ponieważ niepodobna spokojnie opowiadać o sprawach, które stały się przekleństwem naszych dni... męką naszego życia...

Milczałem o wielu sprawach dni wrześniowych ubiegłego roku. Milczałem, nie chcąc powiększać materiału oskarżycielskiego przeciw narodowi polskiemu.

Naród polski otrzyma wyrok z ust Historii. Właściwie ten wyrok już zapadł. I jeśli o tym mówię tutaj, to dlatego, iż chcę zwrócić uwagę na jedną okoliczność łagodzącą: jest polska pieśń patriotyczna, która prosi Boga, by karał rękę, nie ślepy miecz.

Naród polski był niewątpliwie przede wszystkim takim mieczem. Zbrodnicza ręka zostanie ukarana. Historia jest sprawiedliwa: zbrodniarzy ukarzą ci, przeciw którym wzniesiono polski miecz.

Stanie się tak, albowiem Bóg jest w Historii.

Nie było go jedynie w sercach tych, którzy we wrześniu 1939 zadecydowali o losach polskiego narodu...





p. Czerniatowicz

Nacz. Dyrekcja Bibliotek

28.VI-49.





630596

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018268391